

CLIFFORD D. SIMAK
**REZERWAT
GOBLINÓW**

SCIENCE FICTION

Spis treści

Karta tytułowa

.. 1 ..
.. 2 ..
.. 3 ..
.. 4 ..
.. 5 ..
.. 6 ..
.. 7 ..
.. 8 ..
.. 9 ..
.. 10 ..
.. 11 ..
.. 12 ..
.. 13 ..
.. 14 ..
.. 15 ..
.. 16 ..
.. 17 ..
.. 18 ..
.. 19 ..
.. 20 ..
.. 21 ..
.. 22 ..
.. 23 ..
.. 24 ..
.. 25 ..

Clifford D. Simak

**REZERWAT
GOBLINÓW**

Tłumaczenie:
Andrzej Leszczyński
Ewa Włodarczyk

ALFA

1992

.. 1 ..



Inspektor Drayton siedział rozparty za biurkiem i czekał. Był to kościsty mężczyzna o twarzy przypominającej maskę wystruganą tępym dłutem z dużego sękatego pniaka. Jego oczym krzesiwa zdawały się od czasu do czasu sypać iskrami. Był zły i zdenerwowany, lecz Peter Maxwell wiedział doskonale, że taki człowiek jak on nigdy nie pozwoli, by jego nastrój miał jakikolwiek wpływ na wykonywaną pracę. Poza widoczną jak na dłoni wściekłością było w inspektorze coś, co świadczyło o naturze buldożera, który nieustannie prze do przodu i nie przeszkodzi mu w tym nawet zły humor.

Maxwell uświadomił sobie, że właśnie znalazł się w sytuacji, jakiej nigdy sobie nie wyobrażał. Teraz stało się dla niego całkiem jasne, że spodziewał się zbyt wiele. Oczywiście zdawał sobie sprawę, że jego niedotarcie do miejsca przeznaczenia, co wydarzyło się jakieś sześć tygodni temu, wywoła tu na Ziemi pewną konsternację, jednakże nadzieja na nie zauważone prześlizgnięcie się do domu była płonna. W efekcie znalazł się twarzą w twarz z człowiekiem wpatrującym się w niego zza biurka i musiał trzymać nerwy na wodzy.

— Nie wydaje mi się, bym pojmował do końca, dlaczego mój powrót na Ziemię zainteresował Służbę Bezpieczeństwa zwrócił się do oficera siedzącego naprzeciwko. — Nazywam się Peter

Maxwell i jestem członkiem grona profesorskiego Katedry Zjawisk Nadprzyrodzonych Uniwersytetu Wisconsin. Widział pan moje dokumenty...

— Pańska tożsamość nie budzi moich zastrzeżeń — stwierdził Drayton. — Może jest nieco szokująca, ale zastrzeżeń nie budzi. Niepokoi mnie co innego. Czy mógłby pan, profesorze Maxwell, opowiedzieć mi dokładnie, gdzie pan przebywał?

— Niewiele mogę panu powiedzieć — odparł Peter Maxwell. — Znalazłem się na jakiejś planecie, ale nie potrafię podać ani jej nazwy, ani położenia. Równie dobrze mogłem być nie dalej niż rok świetlny od Ziemi, jak też gdzieś na krańcach Wszechświata.

— W każdym bądź razie nie dotarł pan do miejsca przeznaczenia, które zostało wyszczególnione w pańskiej karcie podróży — podsumował Drayton.

— Nie — przyznał Maxwell.

— Czy może pan wytłumaczyć, co się stało?

— Mogę tylko przedstawić własne przypuszczenia. Wydaje mi się, że mój wzorzec falowy uległ odchyleniu. Możliwe też, że został on przechwycony, a potem skierowany pod inny adres. Początkowo podejrzewałem błąd transmitera, ale to raczej nieprawdopodobne. Transmitery są w użyciu od setek lat. Wszystkie błędy musiały zostać przez ten czas wyeliminowane.

— Czyżby sugerował pan porwanie?

— Może pan to potraktować i w ten sposób.

— I nadal nic mi pan nie powie?

— Wyjaśniłem już, że niewiele mam do powiedzenia.

— Czy ta planeta może mieć coś wspólnego z Kołowcami? Maxwell pokręcił głową.

— Nie mogę stwierdzić z całą pewnością, ale nie wydaje mi się to prawdopodobne. Na pewno nie spotkałem tam żadnego z nich

i nic nie wskazywało na to, żeby mieli z tą planetą coś wspólnego.

— A czy kiedykolwiek widział pan Kołowca, Profesorze Maxwell?

— Tylko raz, kilka lat temu. Jeden z nich spędził miesiąc czy dwa w Instytucie Czasu. Widziałem go przelotnie.

— Zatem poznałby pan Kołowca, gdyby go pan zobaczył?

— Tak, z pewnością — odparł Maxwell.

— Mam zapisane, że wybierał się pan na jedną z planet Systemu Jenociej Skóry.

— Zrobił się tam szum wokół sprawy smoka — wyjaśnił Maxwell. — Niczym zresztą nie uzasadniony. Właściwie otrzymaliśmy bardzo skąpe informacje, zdecydowałem się jednak sprawdzić to na miejscu...

— Smoka? — spytał Drayton, unosząc wysoko brwi.

— Rozumiem, że komuś nie związanemu z moją dziedziną trudno jest pojąć doniosłość problemu smoka — powiedział Maxwell. — Rzecz w tym, że nie dysponujemy żadnymi zapisami, na podstawie których można by przeprowadzić dowód istnienia takiego stworzenia. A przecież legendarna postać smoka jest niezwykle głęboko zakorzeniona w folklorze Ziemi i kilku innych planet. Czarodziejki, gobliny, trolle, a nawet banshee — wszystkie te istoty są nam dzisiaj dobrze znane, ale nie możemy tego powiedzieć o smoku. Najzabawniejsze jest to, że korzenie owej legendy na Ziemi nie są związane bezpośrednio z ludźmi. Smok występuje również w podaniach niziołków. Czasem wydaje mi się, że to właśnie oni przekazali nam legendę. Ale tylko legendę. Nie ma żadnych dowodów...

Maxwell urwał nieco zmieszany. Cóż tego tępego policjanta po drugiej stronie biurka mogła obchodzić legenda o smoku?

— Przepraszam, inspektorze — rzekł. — To moja pasja. Dałem

się ponieść entuzjazmowi.

— Słyszałem, że legenda smoka mogła narodzić się z odziedziczonych po przodkach wspomnień o dinozaurach.

— Znam tę opinię, choć przyznam, że wydaje mi się z gruntu błędna. Dinozaury wyginęły na długo przed pojawieniem się człowieka.

— Zatem niziołki...

— Możliwe, ale mało prawdopodobne — wtrącił profesor. — Znam niziołki i rozmawiałem z nimi na ten temat wiele razy. To stara kultura, z pewnością dużo starsza od naszej, ale nic nie wskazuje, żeby mogła powstać w tak bardzo odległej przeszłości. A jeżeli nawet, to pamięć o tamtych czasach zaginęła bezpowrotnie. Wydaje mi się, że ich legendy i podania mogły bez trudu przetrwać parę milionów lat. Oni są wyjątkowo długowieczni, niemal nieśmiertelni. Tradycja przekazywana z ust do ust powinna być u nich najtrwalsza.

Drayton machnął ręką, jakby chciał uwolnić się od widm smoków i niziołków.

— Wybierał się pan do Systemu Jenociej Skóry, lecz nie dotarł pan tam — zmienił temat.

— Zgadza się. Znalazłem się na planecie, o której już wspominałem. Na przykrytej sklepieniem, krystalicznej planecie.

— Krystalicznej?

— Jej grunt był krystaliczny. Może to był kwarc, trudno mi powiedzieć. To mógł być również jakiś metal.

— Wyruszając, nie wiedział pan, oczywiście, że znajdzie się na owej planecie? — zapytał Drayton łagodnym tonem.

— Jeżeli podejrzewa pan jakąś zmowę, to jest pan w błędzie — rzekł Maxwell. — Byłem zupełnie zaskoczony. Ale pan chyba nie jest? Cekał pan przecież na mnie.

— Trudno mówić o zaskoczeniu — odparł Drayton. — Coś podobnego zdarzyło się już wcześniej dwukrotnie.

— Przypuszczam zatem, że wie pan coś niecoś o tej planecie.

— Absolutnie nic — stwierdził Drayton. — Wiem tylko, że istnieje gdzieś planeta posługująca się nierejestrowanym transmittersem i odbiornikiem, używająca pozakatalogowego sygnału. Kiedy operator na stacji Wisconsin odebrał sygnał poprzedzający transmisję, kazał im czekać pod pretekstem przeciążenia wszystkich odbiorników. W tym czasie skontaktował się ze mną.

— A tamte dwa przypadki?

— Oba miały miejsce właśnie tutaj, na stacji Wisconsin.

— Lecz jeśli tamci wrócili...

— Chodzi o to, że nie wrócili — rzekł Drayton. — To znaczy, w zasadzie wrócili, ale nie było żadnej możliwości porozumienia się z nimi. Ich wzorce falowe napłynęły zdeformowane, nie udało się ich prawidłowo zmaterializować. Poza tym wzorce były wysłane pod niewłaściwy adres. Obaj byli nieziemcami, na dodatek tak bardzo zniekształconymi, iż upłynęło wiele czasu, zanim udało się ustalić, skąd pochodzą. Do dziś nie jesteśmy tego pewni.

— Byli martwi?

— Martwi? Oczywiście. Przeżyliśmy wstrząs. Pan miał szczęście.

Maxwell z pewnym trudem powstrzymał drżenie ramion.

— Tak. Chyba tak — powiedział.

— Pewnie myśli pan, że nie uczyniliśmy wszystkiego, co w naszej mocy, żeby zaalarmować nadawcę o wystąpieniu błędów. Znamy tylko te dwa przypadki, a przecież mogły mieć miejsce przechwycenia wzorców, w wyniku których z ich

odbiornika wyszły istoty zniekształcone.

— Powinniście o tym wiedzieć — stwierdził Maxwell. Zostalibyście powiadomieni o jakichkolwiek stratach. Każda stacja jest zobowiązana zgłosić natychmiast fakt nieprzybycia podróżnego na miejsce przeznaczenia.

— I w tym właśnie cały szkopuł — powiedział Drayton. Nie zgłoszono żadnych strat. Jesteśmy zupełnie pewni, że obaj nieziemcy, których odebrano na Ziemi martwych, dotarli również do miejsc swojego przeznaczenia. Absolutnie nikt nie zaginął.

— Ale ja przecież wyruszyłem do Systemu Jenociej Skóry. Na pewno zgłoszono...

Maxwell urwał w pół zdania, jak gdyby otrzymał cios pięścią między oczy.

Drayton przytaknął ruchem głowy.

— Spodziewałem się, że pan się domyśli. Peter Maxwell dotarł do Jenociej Skóry i prawie miesiąc temu powrócił na Ziemię.

— To musi być jakaś pomyłka — niepewnie zaprotestował Maxwell.

Nie mieściło mu się w głowie, że może ich być dwóch, że drugi Peter Maxwell, identyczny w każdym szczególe, przebywa gdzieś na Ziemi.

— Nie może być mowy o pomyłce — rzekł Drayton. W każdym razie nie takiej, o jakiej myślimy. Owa planeta nie przechwyciła wzorca, ona go po prostu skopiowała.

— Więc musi być nas dwóch! Możliwe...

— Już nie — przerwał Drayton. — Jest pan tylko jeden. Mniej więcej w tydzień po powrocie na Ziemię, Peter Maxwell uległ śmiertelnemu wypadkowi.

.. 2 ..



Kiedy Maxwell wyszedł z małego pokoiku, w którym rozmawiał z Draytonem, znalazł za rogiem korytarza rząd wolnych krzeseł. Ostrożnie usiadł na jednym z nich, stawiając swój skromny bagaż na podłodze.

Stała się rzecz niewiarygodna, pomyślał. Niewiarygodny był fakt istnienia dwóch Peterów Maxwellów, z których w dodatku jeden nie żył. Niewiarygodny był fakt obecności na krystalicznej planecie aparatury zdolnej do przechwycenia i skopiowania fali wzorcowej, poruszającej się z prędkością większą od prędkości światła — o wiele większą, jako że w żadnym, choćby najodleglejszym punkcie Galaktyki, oplecionej siecią transponderów materii, nie obserwowano różnicy czasu pomiędzy transmisją i materializacją. Tak, odchylenie i przechwycenie fali wzorca było technicznie wykonalne, ale skopiowanie takiego wzorca to zupełnie inna sprawa.

Dwie rzeczy niewiarygodne. Dwa wydarzenia, które nie powinny mieć miejsca. Chociaż, na dobrą sprawę, drugie z nich było jedynie konsekwencją pierwszego. Oczywiście następnym skopiowaniem wzorca falowego było istnienie dwóch Maxwellów — tego, który odbył wyprawę do Systemu Jenociej Skóry, oraz tego, który został zmaterializowany na krystalicznej planecie. Ale jeśli tamten Peter Maxwell rzeczywiście znalazł się

w Systemie Jenociej Skóry, powinien przebywać tam do dziś lub co najwyżej szykować się dopiero do powrotu. Planował przecież pobyt sześciotygodniowy, a nawet dłuższy, gdyby okazało się, że sprawie smoka trzeba poświęcić więcej czasu.

Stwierdził, że drżą mu dłonie. Zawstydzony ścisnął je mocno i schował między kolanami.

Nie wolno poddać się panice, stwierdził w duchu. Niezależnie od tego, co go jeszcze czekało, musiał zachować spokój. Właściwie nie miał żadnych dowodów. Żadnych. Wiedział tylko tyle, ile powiedziano mu w Wydziale Bezpieczeństwa, a nie było to jeszcze nic pewnego. Może zastosowano zwykłą policyjną sztuczkę, mającą na celu zmuszenie go do mówienia. Niewykluczone jednak, że wszystko wydarzyło się naprawdę. Nie było to przecież nierealne!

Nawet jeżeli Drayton nie kłamał, musiał zachować zimną krew. Miał przecież przed sobą niezwykle ważną misję — zadanie, którego nie wolno mu było spartaczyć.

Należało spodziewać się teraz pewnych kłopotów, na przykład z powodu ciągłej inwigilacji, chociaż nic nie wskazywało na to, by zamierzali go śledzić. Możliwe także, że nie będzie to miało większego znaczenia. Najtrudniejszą częścią jego planu było z pewnością zaaranżowanie spotkania z Andrewem Arnoldem. Rektor Uniwersytetu Planetarnego nie należał do osób, z którymi można było po prostu umówić się na spotkanie. Miał, oczywiście, o wiele ważniejsze zajęcia od wysłuchiwanie wyjaśnień jakiegoś tam profesora nadzwyczajnego. Tym bardziej, że ów profesor nie mógł wcześniej wyjawić szczegółów swojej sprawy.

Dłonie przestały mu już drżeć, lecz nadal trzymał je mocno zaciśnięte. Potrzebował jeszcze chwili, zanim będzie mógł wynieść się stąd, dojść do pasa komunikacyjnego i znaleźć wolne

miejsce na jednym z wewnętrznych pasów pośpiesznych. Tylko godzina drogi dzieliła go od przytulnego mieszkania w starym miasteczku uniwersyteckim. Tam przekona się, czy Drayton mówił prawdę. Znajdzie się znów wśród przyjaciół — Alleya Oopa, Ducha, Harlowa Sharpa, Allena Prestona oraz całej reszty. Znów czekały go hałaśliwe nocne popijawy “Pod Świnią i Świstawką”, długie spacery cienistymi alejkami starego parku, pływanie czółnem po jeziorze. Powrócą nie kończące się dyskusje, powtarzane stare opowieści i nudna akademicka rutyna, stanowiąca przecież treść jego życia.

Po chwili zrozumiał, że ogarnia go tęsknota na myśl o czekającej podróży, której trasa wiodła wzdłuż linii wzgórz Rezerwatu Goblinów. Nie były to tereny zamieszkane jedynie przez gobliny; można tam było spotkać wielu innych przedstawicieli niziołków, a wszystkich ich zaliczał do grona swoich przyjaciół. W każdym bądź razie większość z nich była jego przyjaciółmi, jako że czasem trudno było znaleźć wspólny język z trollami, a nawiązanie prawdziwej przyjaźni z takim indywiduum jak banshee wydawało się wręcz niewykonalne.

Pomyślał, że o tej porze roku wzgórza w Rezerwacie muszą wyglądać prześlicznie. Kiedy wyruszał do Jenociej Skóry, było późne lato i wzgórza ciągle jeszcze stały w swej ciemnozielonej szacie. Ale teraz, w połowie października, musiały już płonąć pełną gamą kolorów jesieni. Winna czerwień dębów, połyskliwy amarant i żółć klonów, rozsiana z rzadka ognista purpura dzikiego wina — powinny przeplatać się z innymi kolorami. Powietrze musiało być przepełnione tą dziwną, odurzającą jak zapach jabłeczniaka wonią, która emanuje z lasów tylko wówczas, gdy zaczynają opadać liście.

Siedział, wspominając jak dwa lata temu, wraz z panem

O'Toole, wybrali się czółnem w górę rzeki, w północne ostępy, mając nadzieję, że gdzieś na szlaku uda im się nawiązać jakiś rodzaj kontaktu z duchami opisanymi w starych legendach Odzibwejów. Płynęli po kryształowo czystej wodzie, wieczorami rozpalali ogniska na skraju mrocznych borów sosnowych, szykowali kolacje ze złowionych ryb, poszukiwali dzikich kwiatów kryjących się na leśnych polankach i tropili różne zwierzęta oraz ptaki. Jednym słowem mieli wspaniałe wakacje, chociaż nie spotkali żadnych duchów, czego zresztą należało się spodziewać. Rzadko komu udawało się nawiązać kontakt z przedstawicielami niziołków, zamieszkującymi Amerykę Północną, gdyż byli to autentyczni mieszkańcy dzikich ostępów i w niczym nie przypominali na poły cywilizowanych, zaprzyjaźnionych z ludźmi duszków z Europy.

Siedział zwrócony twarzą na zachód i przez wysokie, całościenne okno mógł podziwiać rzekę oraz rozciągające się za nią urwiska, wzdłuż których biegła niegdyś granica historycznego stanu Iowa — potężne, zabarwione ciemną purpurą ściany skalne stały zwieńczone niczym aureolą jasnym błękitem jesiennego nieba. Na skraju jednego z urwisk dostrzegł nieco jaśniejszą plamę Instytutu Magii, którego personel w dużej części stanowiły ośmiornicopodobne istoty z Centaura. Spoglądając na niewyraźne zarysy budynków, Maxwell przypomniał sobie, ile to razy zamierzał wziąć udział w jednym z letnich seminariów instytutu, co mu się — oczywiście — nigdy nie udało.

Sięgnął po walizkę i przysunął ją bliżej, chcąc podnieść się z krzesła, lecz pozostał na miejscu. Wciąż brakowało mu oddechu i czuł dziwną słabość w nogach. To, co usłyszał od Draytona, wstrząsnęło nim o wiele bardziej niż początkowo

przypuszczał, a strach nie opuszczał go, wywołując takie właśnie, spóźnione reakcje. Stwierdził, że przede wszystkim musi się opanować, nie mógł dać się ponieść panice. To wszystko nie mogło być prawdą — z pewnością nie było. Nie powinien się tak bardzo przejmować, dopóki jeszcze istniała szansa odkrycia prawdy na własną rękę.

Powoli wstał, schylił się i dźwignął walizkę, lecz zawahał się jeszcze przez chwilę przed wkroczeniem w sam środek rozgardiaszu i hałasu wypełniającego poczekalnię. Podróżni — tak ludzie jak i nieziemcy — biegali tam i z powrotem w gorączkowym pośpiechu, bądź też stali w mniejszych czy większych grupkach. Jakiś starszy jegomość z siwą brodą, w eleganckim, czarnym ubraniu — profesor, sądząc po wyglądzie — stał otoczony przez grupę odprowadzających go studentów. Na kilku dywanach, przeznaczonych dla stworzeń niezdolnych do zajęcia pozycji siedzącej, rozłożyła się cała rodzina gadów. Dwoje dorosłych spoczywało nieruchomo, twarzą przy twarzy i rozmawiało cicho tak charakterystycznym dla gadów, pełnym syczących zgłosek językiem, podczas gdy dzieciaki pełzały po dywanach i po podłodze pod nimi, kręcąc się w jakiejś sobie tylko znanej zabawie. W rogu niewielkiej niszy spoczywał na boku osobnik o wyglądzie beczki z piwem, powoli przetaczając się od ściany do ściany. Owo przetaczanie się miało prawdopodobnie ten sam charakter i służyło tym samym celom, co nerwowe przechadzanie się ludzi. Opodal spoczywały naprzeciwko siebie dwa pająkoksztaltne stworzenia, których ciała przypominały bardziej groteskowe patykowate rusztowania niż solidne organizmy z krwi i kości. Na podłodze między sobą wyrysowały kawałkiem kredy coś, co musiało być swego rodzaju planszą do gry, stało bowiem na niej wiele przedmiotów

o dziwnych kształtach, które istoty przesuwały szybko we wszystkie strony, popiskując z podniecenia w miarę rozwoju sytuacji.

Maxwell przypomniał sobie nagle, iż Drayton pytał go o Kołowców. Czyżby istniał jakiś związek między Kołowcami i krystaliczną planetą?

Zawsze zwała się na Kołowców, pomyślał. Stało się to już obsesją. Może faktycznie należało się ich obawiać, brak jednak było konkretnych powodów. Poznano ich w niewielkim stopniu. Pochodzili z niezbadanych, odległych rejonów przestrzeni, gdzie stworzyli potężną cywilizację, rozprzestrzeniającą się szybko po całej Galaktyce, od czasu do czasu wchodząc w kontakt z najdalej wysuniętymi przyczółkami ekspandującej kultury ziemskiej.

Przypomniał sobie swoje pierwsze i jedyne spotkanie z Kołowcem — studentem, który przyjechał z Instytutu Anatomii Porównawczej w Rio de Janeiro na dwutygodniowe seminarium w Instytucie Czasu. Pamiętał, że wydarzenie to całkowicie zelektryzowało miasteczko uniwersyteckie Wisconsin. Kołowiec stanowił jedyny temat rozmów, chociaż mało kto miał okazję nawet przelotnie rzucić okiem na to legendarne stworzenie, jako że niemal nie opuszczało ono pomieszczeń seminaryjnych. Maxwell dostrzegł je przez chwilę, jak toczyło się wzdłuż korytarza, kiedy szli wraz z Harlowem Sharpem na lunch. Przypomniał sobie, że przeżył wówczas nieomal szok.

A wszystko przez te koła, pomyślał. Żadna inna istota w poznanej części Galaktyki nie posiadała kół. Było to pękate stworzenie, coś w rodzaju pulchnej bryły ciasta zawieszanej pomiędzy dwoma kołami, których piasty sterczały mniej więcej w połowie wysokości korpusu. Koła były pokryte futrem, a ich brzegi zrogowaciały. Dolna, kulista część pulchnego ciała, wisiała

poniżej osi kół jak wypchany worek. Z bliska wyglądało to jeszcze gorzej. Zwisająca część ciała była całkowicie przezroczysta, a wypełniała ją wijąca się bezustannie masa, przypominająca ni mniej, ni więcej cebrzyk różnobarwnych robaków.

Maxwell wiedział, że pełzające wewnątrz tego obleśnego, pękatego brzuszyska obiekty są — jeśli już nie robakami, to w każdym razie jakimś rodzajem insektów, a przynajmniej stworzeniami, stanowiącymi w pewnym stopniu ekwiwalent tej formy życia na Ziemi. Kołowcy byli w gruncie rzeczy ulami, ich cywilizacja została stworzona przez społeczeństwo uli, a populacja składała się z oddzielnych kolonii owadów lub też zwierząt równoważnych insektom.

Po spotkaniu z tego typu stworzeniem nietrudno było uwierzyć w budzące grozę opowieści, które docierały z dalekich i niespokojnych rejonów przygranicznych. Jeśli opowieści te miały okazać się prawdziwe, to można było wysnuć wniosek, iż oto, po raz pierwszy od czasu wyjścia w przestrzeń kosmiczną, człowiek stanął twarzą w twarz z owym hipotetycznym wrogiem, którego istnienie przepowiadano już od wielu lat.

W całej Galaktyce człowiek stykał się z różnymi dziwnymi, a czasami nawet przerażającymi stworzeniami, ale żadne z nich nie mogło chyba dorównać owemu zawieszonemu na kołach ulowi pełnemu insektów. Już sama myśl o takiej budowie ciała przyprawiała wszystkich o mdłości.

W tych czasach mieszkańcy różnych zakątków Galaktyki zjeżdżali na Ziemię tysiącami, aby wstępować do któregoś z instytutów i brać udział w pracach nad takim czy innym problemem, jako że cała planeta przemieniła się w wielki galaktyczny uniwersytet. Po jakimś czasie, myślał Maxwell, być

może wśród tego różnorodnego tłumu, zapełniającego sale instytutów, pojawią się również Kołowcy. Przedtem jednak musiał zostać nawiązany z nimi kontakt, prowadzący do przynajmniej częściowego, wzajemnego zrozumienia, gdyż jak do tej pory taki kontakt nie istniał.

Maxwell nie mógł się nadziwić, dlaczego sama myśl o Kołowcach drażniła ludzi. Przecież wszystkie nacje zamieszkujące Galaktykę, z którymi Ziemianie do tej pory nawiązali kontakty, nauczyły się znakomicie współżyć i współpracować ze sobą.

Tutaj, w poczekalni, można było ujrzeć wszelkie formy istoty skaczące, pełzające, pływające, wijące się i toczące, pochodzące z wielu różnych planet krążących dokoła tysięcy różnych słońc. Ziemia stała się galaktycznym tygłem, miejscem, gdzie stykały się i mieszały ze sobą doświadczenia i dokonania tysięcy odmiennych kultur.

— Numer pięć—sześć—dziewięć—dwa — rozległ się przenikliwy głos z megafonu. — Pasażer numer pięć—sześć—dziewięć—dwa, pozostało zaledwie pięć minut do odjazdu. Kabina numer trzydzieści siedem. Pasażer pięć—sześć—dziewięć—dwa proszony jest o natychmiastowe zajęcie miejsca w kabinie trzydziestej siódmej.

Ciekawe, dokąd udaje się numer pięć—sześć—dziewięć—dwa? pomyślał Maxwell. Do dżungli Planety Bólu Głowy nr 2? Do ponurych, smaganych wiatrami lodowych miast planety Nędza IV? A może na jedną z pustynnych Planet Morderczych Słońc? Każda z tysięcy poznanych już, spiętych wspólną siecią transponderów planet była do osiągnięcia z tego właśnie miejsca w czasie krótszym niż mgnienie oka, a przecież stworzenie owej sieci kryło w sobie długie lata wypraw eksploracyjnych,

w trakcie których statki zwiadowcze musiały przedzierać się przez mroki wiecznej pustki. Statki nadal przecinały przestrzeń, powoli i mozolnie poszerzając horyzonty znanego człowiekowi wszechświata.

W poczekalni huczało i grzmiało od głosów, od nerwowych nawoływań spóźnionych lub zagubionych pasażerów, od gwaru rozmów prowadzonych w setkach różnych języków, dźwięków wydobywających się z setek różnych gardeł, odgłosów szurania, stukania i człapania setek stóp po podłodze.

Maxwell pochylił się, dźwignął swój bagaż i skierował się do wyjścia.

Po niespełna trzech krokach zatrzymał się, aby przepuścić wózek holujący zbiornik wypełniony ciemnym płynem. Wewnątrz zbiornika, w mętnej cieczy dostrzegł zarysy jakiegoś przysadzistego stworzenia — prawdopodobnie mieszkańca którejś z planet pokrytych w całości oceanem, choć prawie na pewno nie oceanem wody. Wszystko wskazywało, że był to naukowiec, który przybył na Ziemię z wizytą, może do któregoś z instytutów filozofii albo jednej z placówek naukowych.

Gdy wózek ze zbiornikiem przejechał, Maxwell poszedł dalej, minął drzwi wyjściowe i wkroczył na pięknie brukowaną, opadającą tarasami w dół esplanadę, u stóp której usytuowany był ciąg pasów komunikacyjnych. Z zadowoleniem stwierdził, że nie było kolejki oczekujących, co ostatnio zdarzało się niezbyt często.

Wciągnął głęboko powietrze w płuca — czyste, świeże powietrze z ostrym posmakiem chłodnej jesieni. Wspaniałe powitanie po tygodniach spędzonych w nieruchomej, zatęchłej atmosferze krystalicznej planety.

Ruszył schodami w dół i z daleka już zauważył ogłoszenie,

umieszczone na tablicy tuż przy wejściu na pasy komunikacyjne. Olbrzymi napis, wykonany literami staroangielskiego kroju, głosił z dostojeństwem:

WILLIAM SHAKESPEARE, ESQ.

ze Stratford—on—Avon, Anglia

“Jak to się stało, że nie pisałem sztuk?”

Pod egidą Instytutu Czasu

22.10, godz. 20.00 Audytorium Muzeum Czasu

Bilety do nabycia we wszystkich agencjach

— Maxwell! — usłyszał za sobą okrzyk i odwrócił się. Od wyjścia biegł w jego stronę jakiś mężczyzna.

Postawił bagaż, uniósł nieco rękę w geście powitania, lecz opuścił ją powoli, skonstatowawszy, że nie rozpoznaje tego człowieka.

Mężczyzna zwolnił, przechodząc w trucht, a potem szybki chód.

— Profesor Maxwell, nieprawdaż? — spytał, gdy znalazł się bliżej. — Jestem pewien, że się nie mylę.

Maxwell skinął sztywno głową, nieco zmieszany.

— Monty Churchill — przedstawił się tamten, potrząsając ręką profesora. — Spotkaliśmy się przed mniej więcej rokiem na jednym z przyjęć u Nancy Clayton.

— Jak się pan miewa, panie Churchill? — spytał Maxwell dość oziębło.

Teraz przypomniał sobie tego mężczyznę; choć twarz nadal wydawała mu się obca, to odżyło w jego pamięci nazwisko.

Chyba prawnik, pomyślał, choć nie pamiętał dokładnie. Tamten zajmował się jakimiś interesami, jakiegoś typu pośrednictwem czy spisywaniem umów. Był jednym z tych, którzy są w stanie zaparafować wszystko, byle tylko klient odpalił im należną dołę.

— Doskonale! — odparł Churchill z radością w głosie. Właśnie wracam z podróży. Z krótkiej podróży, ale to cudownie być z powrotem na Ziemi. Wszędzie dobrze, ale w domu najlepiej, dlatego właśnie zawołałem pana. Pierwsza znajoma twarz, jaką widzę od kilku tygodni.

— Bardzo mi miło — odrzekł Maxwell. — Czy wraca pan do miasteczka?

— Tak, właśnie szedłem do pasa komunikacyjnego.

— Nie ma potrzeby — stwierdził Churchill. — Mam tu swój autolot, zaparkowany niedaleko. Wystarczy miejsca dla nas obu. Będzie pan w miasteczku dużo szybciej.

Maxwell zawahał się. Nie lubił tego człowieka, ale kusila go perspektywa znacznego skrócenia czekającej go podróży. A przecież chciał być w domu tak szybko, jak tylko to możliwe. Czekwały na niego sprawy wymagające niezwłocznego wyjaśnienia.

— To bardzo uprzejmie z pańskiej strony — powiedział. Jeżeli rzeczywiście ma pan dość miejsca...

.. 3 ..



Silnik zachłysnął się i zgasł. Z dyszy wydobywały się jeszcze przez chwilę głucho pomruki, po czym nastąpiła cisza. Tylko powietrze uderzało ze świstem w metalową osłonę.

Maxwell spojrział szybko na siedzącego obok mężczyznę. Churchill zeszywniał, może ze strachu, a może tylko ze zdumienia. Przecież nawet Maxwell doskonale zdawał sobie sprawę, że coś podobnego nie miało prawa się wydarzyć — było po prostu nie do pomyślenia. Tego typu autoloty cieszyły się sławą całkowicie niezawodnych.

Pod nimi znajdowały się poszarpane turnie i skalne urwiska, a drzewa porastające gęsto wzgórze, których wierzchołki sterczały w górę jak włócznie, przytulały się do nagich skał. Po lewej stronie płynęła rzeka — srebrzysta wstążka, wijąca się dnem zalesionej doliny.

Zdawało mu się, że czas zwolnił, wydłużył się, jakby jakaś magiczna siła przemieniła każdą sekundę w minutę. Wraz z rozciągnięciem się czasu przyszła świadomość tego, co ich czeka — chłodna, rzeczowa ocena sytuacji, jakby dokonywana przez obserwatora z zewnątrz, jakby wszystko to dotyczyło kogoś innego, a nie jego samego. Wiedział jednak, gdzieś w zakamarkach jego umysłu tkwiła pewność, że później pojawi się panika, a kiedy ona zapanuje, czas odzyska swój normalny

rytm i autolot runie w dół wprost na drzewa i skały.

Pochylił się do przodu i uważnie lustrował rozciągające się przed nimi tereny. W pewnej chwili wzrok jego padł na niewielką polankę, przypominającą maleńką wyrwę, drobną jasnozieloną plamkę w ciemnej ścianie lasu.

Stuknął Churchilla w ramię i wskazał na nią. Ten popatrzył uważnie, po czym skinął głową i zaczął powoli, ostrożnie obracać kołem, jakby nie będąc pewnym reakcji statku, jakby chciał wyczuć najdrobniejszą zmianę kursu.

Autolot zakołysał się nieco, przechylił i wszedł w zakręt. Nadal spadał powoli, ale poddawał się manewrom. Przez moment myśleli, że wymknął się spod kontroli, zaczął ześlizgiwać się bokiem, gwałtowniej tracąc wysokość, lecz szybko wyrównał, szybując w stronę szczeliny między drzewami.

Odnieśli wrażenie, że las runął na nich z niesamowitą prędkością. Ze wszystkich stron otoczyły ich jesienne kolory listowia — nie była to już ciemna plama lasu, ale feeria czerwieni, złota i brązów. Długie, czerwone kopie wierzchołków drzew skierowały się w ich stronę, a okryte złotymi liśćmi ramiona zdawały się wyciągać ku nim, by zamknąć ich w uścisku.

Autolot otarł się o górne gałęzie dębu, zawahał się jakby, prawie zawisł w powietrzu, po czym zaczął się ześlizgiwać w kierunku przygodnego lądowiska na niewielkiej, śródleśnej polanie.

Polanka czarodziejek, pomyślał Maxwell. Sala taneczna wróżek, która chwilowo musiała im służyć za lądowisko. Odwrócił na moment głowę, spojrzął na Churchilla skupionego nad przyrządami, a następnie znów wbił wzrok w zbliżającą się plamkę jasnej zieleni.

Pomyślał, że powinna być gładka, pozbawiona wyboi, dziur czy jakichkolwiek innych nierówności. Pamiętał, że plany rozmieszczenia zieleni w Rezerwacie mówiły wyraźnie o wyrównywaniu powierzchni polan.

Pojazd uderzył o ziemię, odbił się i przez przerażający moment zakołysał w powietrzu. Po chwili jednak opadł ponownie i zaczął sunąć łagodnie po murawie. Drzewa na drugim, odległym końcu polany zbliżały się do nich z niezwykłą szybkością.

— Trzymaj się! — krzyknął Churchill. W tej samej chwili wehikuł obrócił się, zakręcił i zaczął ostro hamować. Zatrzymał się zaledwie cztery metry od linii drzew zamykających polanę.

Siedzieli w milczeniu. Otaczała ich głucha cisza, która zdawała się przykrywać ich szczelnym, jakby namacalnym pancerzem, będącym integralną częścią kolorowego lasu i skalistego urwiska.

— Udało się — przerwał ciszę Churchill.

Uniósł się z fotela, otworzył właz i wyskoczył na zewnątrz. Maxwell pośpieszył za nim.

— Nie mogę zrozumieć, co się stało? — zastanawiał się głośno Churchill. — To bydlę ma w sobie więcej obwodów zabezpieczających, niż kiedykolwiek byłbym w stanie sobie wyobrazić. Oczywiście, można zostać trafionym przez piorun, czy też rozbić się na skałach, podobne wypadki mogą się przydarzyć. Można także wpaść w trąbę powietrzną i kręcić się w kółko, co także nie jest wykluczone. Ale silnik nie ma prawa zgasnąć! Nigdy! Można go zatrzymać jedynie wyłączając!

Podniósł rękę i otarł czoło rękawem koszuli.

— Czy wiedział pan o istnieniu tej polany? — zapytał. Maxwell zaprzeczył ruchem głowy.

— Nie, nie znam jej, chociaż wiedziałem o istnieniu takich

przecinek. Gdy zakładano Rezerwat, plany przewidywały tereny zielone. Przede wszystkim polanki taneczne dla wrózek. Nie rozglądałem się za jakimś konkretnym miejscem, ale gdy ujrzałem tę wolną przestrzeń między drzewami, domyśliłem się, co to za polana.

— Kiedy wskazał mi ją pan, musiałem zaufać, że zna pan to miejsce — rzekł Churchill. — Nigdzie w pobliżu nie było innej otwartej przestrzeni dogodnej do lądowania, musiałem więc ryzykować...

Maxwell uniósł dłoń, uciszając go.

— Co to takiego? — spytał.

— Przypomina tętent konia — mruknął Churchill. — Kto, do licha, mógłby tutaj jeździć konno? Zbliża się stamtąd, z góry.

Odgłos miękkiego uderzenia końskich kopyt o ziemię się przybliżał. Okrążyli autolot i oczom ich ukazała się ścieżka, wspinająca się na stromy, urwisty grzbiet, na szczycie którego piętrzyło się masywne zwalisko leżącego w ruinie zamku.

W dół ścieżki ciężko galopował gruby perszeron. Dosiadał go niski i przysadzisty jeździec, którego wierzchowiec przy każdym skoku zabawnie wyrzucał w górę. Szeroko rozstawione, poruszające się jak para skrzydeł ramiona nie przydawały mu elegancji.

Koń zbiegł ciężkimi susami na sam dół i zakręcił na trawiastej polanie. Nie był wcale zgrabniejszy od swego jeźdźca ciężki, kudłaty perszeron, który uderzając potężnymi jak wielkie młoty kopytami, rozkopywał darni, odrzucając jej kępy daleko za siebie. Pędził wprost na autolot, jakby z zamiarem przeskoczenia go, ale w ostatniej chwili skręcił niezgrabnie i stanął jak wmurowany. Jego boki poruszały się niczym miechy kowalskie, a z obwisłych chrap wydobywały się kłęby pary i chrapliwy oddech.

Jeździec zsunął się niezdarnie z końskiego grzbietu i gdy tylko dotknął ziemi, wybuchnął niepohamowanym gniewem: — To znowu oni, ci leniwi włóczędzy! — huknął. — To te wszawe trolle! Tyle razy im powtarzałem: latają te ożogi, to niech latają. Ale oni nie słuchają. Zawsze robią kawały. Rzucają na nie te swoje czary.

— Panie O'Toole! — wykrzyknął Maxwell. — Czy pan mnie poznaje?

Goblin odwrócił się raptownie i spojrzał z ukosa czerwonymi oczami krótkowidza.

— Profesor! — wrzasnął. — Nasz dobry przyjaciel! Och, jaki straszny wstyd. Obiecuję panu, że pozdzieram skóry z tych obrzydliwych trolli i poprzybijam ćwiekami do wierzei, a obcięte uszy porozwieszam na drzewach.

— Czary? — wtrącił się Churchill. — Czy pan mówił o czarach?

— A cóż by to mogło być innego? — parsknął O'Toole. Co innego mogłoby ściągnąć na ziemię latającą miotłę? Przysunął się bliżej Maxwella i zaczął mu się przyglądać z niepokojem.

— Czy to rzeczywiście pan? — zapytał z troską w głosie. W prawdziwie cielesnej postaci? Słyszeliśmy, że pan nie żyje. Przesłaliśmy wieniec z jemioly i ostrokrzewu, aby wyrazić nasz głęboki żal.

— Tak, to ja — odrzekł Maxwell, przechodząc gładko na dialekt niziołków. — Najprawdziwszy. Słyszeliście tylko plotki.

— To naprawdę wspaniale! — wykrzyknął O'Toole. — Zatem dla dopełnienia radości możemy teraz wszyscy trzej pójść opróżnić parę kufli mocnego, październikowego piwa. Warzenie właśnie zakończone, a więc zapraszam was z całego serca, dżentelmeni, do wzniesienia wraz ze mną pierwszego toastu.

Na ścieżce pojawiło się kilka innych goblinów zbiegających na

dół. O'Toole zamachał energicznie ręką, nakazując im pośpiech.

— Zawsze się spóźniają — zaczął lamentować. — Nigdy na czas. Zawsze, gdy się zjawiają, są co najmniej trochę spóźnieni. Dobrze chłopaki, wszyscy jak jeden, z sercem na dłoni, ale zatracili swą czujność, a ona jest przecież znakiem rozpoznawczym prawdziwych goblinów, takich jak ja.

Dyszące ciężko gobliny wbiegły susami na polankę i ustawiły się przed O'Toole'em.

— Mam dla was zadanie — rzekł do nich stanowczo. Zbiegnijcie najpierw na most i przekażcie tym obrzydliwym trollom, że żadnych czarów robić im więcej nie wolno. Mają zaprzestać całkowicie i ostatecznie. Powiedźcie, że to ich ostatnia szansa. Jeśli spróbują raz jeszcze, rozbierzemy ich parszywy most kamień po kamieniu, a wszyściutkie kamienie rozrzucimy po całym świecie tak, żeby nie miały szansy odbudować go raz jeszcze. Mają natychmiast zdjąć swoje czary z owej latającej miotły, żeby mogła latać jak nowa. Inni muszą odszukać wróżki i wytłumaczyć powód zeszczenia ich polanki, ale na pewno całą winę za to trzeba przypisać parszywym trollom. Musicie im obiecać, że na kolejne tańce przy pełni księżyca murawa będzie naprawiona i ułożona jak nowa. A jeszcze inni niech zaopiekują się Dobbinem. Uważajcie, żeby jego ciężkie kopyta nie zniszczyły murawy, a potem zadajcie mu owsa i może wiązkę lub dwie tej długiej trawy, jeżeli uda wam się ją znaleźć. Biedne zwierzę, nieczęsto ma szansę uraczyć się czymś takim.

Odwrócił się do Maxwella i Churchilla, zacierając ręce na znak dobrze wykonanej roboty.

— A teraz, panowie, chodźcie ze mną na wzgórze, gdzie poprobujemy, co da się wyciągnąć ze słodkiego październikowego piwa. Proszę was tylko o wyrozumiałość

i powolny chód, jako że mój brzuch urósł ostatnio niemiłosiernie, w następstwie czego cierpię srodze z powodu zadyszki.

— Prowadź nas, drogi przyjacielu — rzekł Maxwell. Z wielką ochotą dostosujemy nasze kroki do twoich. Tak dawno już nie spijaliśmy razem październikowego piwa.

— No, proszę, coś takiego! — wtrącił Churchill nieco słabym głosem.

Wyruszyli ścieżką pod górę. W oddali, na tle bladego nieba, majaczyły na szczycie grani ruiny ponurego zamczyska.

— Muszę panów na wstępie przeprosić za stan zamku powiedział O'Toole. — To bardzo przewiewne miejsce, sprzyjające przeziębieniom, infekcjom kataralnym i innym różnorodnym dolegliwościom. Wiatr hula po nim nikczemnie, a wszędzie czuć wilgoć i pleśń. Nie mogę w ogóle zrozumieć, dlaczego wy, ludzie, budując dla nas zamek, nie pomyśleliście, żeby był bardziej odporny na warunki atmosferyczne i nieco wygodniejszy. To, że dawnymi czasy zamieszkiwaliśmy ruiny i zgliszcza, nie musi oznaczać rezygnacji z wszelkiego komfortu i wygody. Mieszkaliśmy w nich, zaiste, ponieważ było to najlepsze, co biedna Europa miała nam do zaoferowania.

Zrobił dłuższą przerwę dla złapania oddechu, a po chwili tłumaczył dalej:

— Doskonale pamiętam, że jakieś dwa tysiące lat temu mieszkaliśmy w nowo wybudowanych zamkach. Dość ubogich wprawdzie, gdyż ówcześni prości ludzie nie potrafili budować lepiej, byli tłumokami, nie posiadającymi odpowiednich narzędzi i żadnych maszyn, i w ogóle stanowili rasę słabeuszy. Zmuszeni byliśmy kryć się w zakamarkach i szczelinach zamków, gdyż nieoświeceni ludzie z tamtych lat bali się i przy całej swojej ignorancji nie cierpieli nas. Powodowani tą samą ignorancją

próbowali stosować przeciwko nam swoje zaklęcia. Nie wiedzieli, że zwykli śmiertelnicy nie mogą odnosić korzyści ze stosowania zaklęć — dodał z niekłamaną satysfakcją. — Mogliśmy spokojnie pozwolić na te ich Nocki—klocki i pokonać śmieszne czary bez najmniejszego wysiłku.

— Dwa tysiące lat? — zdziwił się Churchill. — Nie chciał pan chyba powiedzieć...

Maxwell błyskawicznie pokiwał głową w jego kierunku, starając się go uciszyć.

Pan O'Toole zatrzymał się w pół kroku na środku ścieżki i posłał Churchillowi miazdzące spojrzenie.

— Pamiętam dobrze, jak z zabagnionych ostępów, które obecnie nazywacie Centralną Europą, wyszły zastępy barbarzyńców, tych najbardziej prymitywnych, i ruszyły kruszyć swe liche żelazne miecze na murach samego Rzymu. Wieści te dotarły do naszych siedzib w głębinach puszczy, a byli wówczas wśród nas tacy, dziś już nieżyjący, którzy na własne uszy słyszeli nowiny, w kilka zaledwie tygodni po fakcie, o wielkiej bitwie pod Termopilami.

— Proszę mu wybaczyć — wtrącił Maxwell. — Nie wszyscy są tak dobrze zaznajomieni z niziołkami...

— Zatem proszę go zaznajomić — rzekł oschle O'Toole. — To szczerą prawdą — zwrócił się Maxwell do Churchilla. — A w każdym razie jest uważana za prawdę. Nie są nieśmiertelni, czasem umierają, ale są bardziej długowieczni niż jakiegokolwiek inne znane nam stworzenia. Narodzin jest mało, rzeczywiście wyjątkowo mało. W przeciwnym razie zabrakłoby dla nich miejsca na Ziemi. Za to dożywają wyjątkowo podeszłego wieku.

— Dzieje się tak, ponieważ ukrywamy się w ostępach leśnych i nie marnujemy drogocennych sił witalnych naszych dusz na te

codzienne drobnostki, które wyniszczają żywoty i rujną nadzieje ludzi — dodał O'Toole. — Ale to wszystko rzeczy smutne, na które szkoda marnować tak wspaniałe jesienne popołudnie. Skierujmy nasze myśli raczej na inne tory i skupmy je, wkładając w to całą siłę woli, na piniącym się piwie, które czeka na nas na szczycie wzgórza.

Zamilkł i zaczął ponownie wspinać się ścieżką, szybszym niż poprzednio krokiem.

Nagle pojawił się przed nimi drobny goblin, pędzący na łeb na szyję od strony ruin. Jego wielobarwna, zbyt duża koszula łopotąła na wietrze.

— Piwo! — krzyczał. — Piwo!

Zatrzymał się gwałtownie przed wspinającą się trójką.

— Co z piwem? — wysapał O'Toole. — Czyżbyś miał śmiałość zakomunikować mi, że kosztowałeś go?

— Ono skwaśniało! — jęknął mały goblin. — Cała zaczarowana kadź jest kwaśna!

— Ale przecież piwo nie może skwaśnieć — zaprotestował Maxwell, próbując pojąć sens tragedii, jaka się wydarzyła. Pan O'Toole zaczął miotać się po ścieżce w niepohamowanym gniewie. Jego twarz zmieniała się z brązowej poprzez czerwoną do purpurowej. Sapał i dyszał coraz głośniej.

— Właśnie że może! — wrzasnął. — Przeklęte! Najgorszym przekleństwem czarnoksięstwa!

Odwrócił się gwałtownie i zaczął zbiegać ścieżką w dół, a mały goblin ruszył jego śladem.

— Niech te wszawe trolle wpadną mi w ręce! — wykrzykiwał O'Toole. — Niech tylko zacisnę palce na ich plugawych gardłach. Wygrzebię je spod ziemi tymi oto rękoma i powywieszam na słońcu, żeby zostały z nich tylko szczapy. Obedrę je ze skóry.

Dam im taką lekcję, jakiej nigdy nie zapomną...

Jego wrzaski cichły powoli, zamieniały się w niezrozumiałe dudnienie, w miarę jak niezgrabnie kłusował ścieżką w dół, kierując się w stronę mostu, pod którym mieszkały trolle.

Dwaj ludzie stali, spoglądając za nim z podziwem i zrozumieniem dla jego słusznego oburzenia.

— Cóż, tak znikają nasze szanse na słodkie, październikowe piwo — powiedział Churchill.

.. 4 ..



Zegar na budynku Filharmonii zaczął wybijać szóstą, gdy Maxwell, jadąc jednym z powolnych, zewnętrznych pasów komunikacyjnych, osiągnął skraj miasteczka. Churchill pojechał innym pasem, z czego Maxwell był bardzo zadowolony. Nie tylko dlatego, że odczuwał niechęć do tego człowieka, ale przede wszystkim chciał być teraz sam. Miał ochotę na taką powolną przejażdżkę, z opuszczoną osłoną od wiatru, w ciszy, bez konieczności podtrzymywania konwersacji, z możliwością sycenia się widokiem i atmosferą tych kilkudziesięciu kilometrów kwadratowych budynków i promenad — wracał do domu, do jedyne miejsca, które kochał.

Zmrok zapadał nad miasteczkiem jak dobroczynna mgła, wysubtelniając ostre kontury budynków, a banalne ulice przemieniając w miejsca wyjęte żywcem z romantycznych opowieści.

Tu i tam w pasażach stały grupki dyskutujących z pasją studentów, dźwigających wypchane torby lub ściskających książki pod pachami. Siwowłosa mężczyzna siedział na ławce i obserwował parę hasających na trawniku wiewiórek. Dwie gadokształtne istoty sunęły powoli jedną z ocienionych promenad, całkowicie pochłonięte rozmową. Naprzeciwko nich maszerował energicznym krokiem student, Ziemianin, którego

głośne pogwizdywanie rozbrzmiewało echem w cichych zaułkach. Kiedy zbliżył się, a następnie mijał gady, uniósł rękę w geście powitania. Wszędzie dookoła rosły drzewa — gigantyczne, wiekowe wiązy, które stały tu od niepamiętnych czasów, niczym wszechmocni opiekunowie wielu pokoleń.

W takiej właśnie scenerii olbrzymi zegar zaczął wybijać godzinę, a jego spiżowy dźwięk niósł się daleko. Maxwell miał wrażenie, że za pośrednictwem zegara miasteczko śle mu powitanie. Pomyślał, że ten zegar obwieszcza przyjaźń — nie tylko jemu, ale wszystkim, do których docierał jego głos, głos całego miasteczka. Każdego wieczora, kiedy leżał w łóżku przed zaśnięciem, wsłuchiwał się w dźwięk dzwonu, odmierzającego upływający czas. Dla niego było to znacznie więcej niż tylko odmierzanie godzin, przypominało mu donośny głos nocnej straży, świadczący o tym, iż wszystko jest w porządku.

Z mroku wyłonił się potężny kompleks Instytutu Czasu masywne bloki z plastiku i szkła górowały nad wszystkimi zabudowaniami i uliczkami miasteczka. W wielu oknach instytutu paliły się światła. U jego podnóża widniał przycupnięty niewielki budynek muzeum. Falujący na wietrze prostokąt umieszczonego nad wejściem afisza odcinał się bielą płótna w zapadających ciemnościach. Z tej odległości profesorowi udało się odczytać tylko jedno słowo: SHAKESPEARE.

Uśmiechnął się do siebie. Jakże musi huczeć teraz w Katedrze Literatury Angielskiej, pomyślał. Stary Chenery i cała jego paczka nigdy nie wybaczyli Instytutowi Czasu tego, iż dwa lub trzy lata temu udowodniono, że to nie Shakespeare a Książę Oxfordu był autorem wszystkich sztuk. Ściągnięcie tu słynnej osobistości ze Stratford—on—Avon było niczym innym jak sypaniem soli na daleką jeszcze od zagojenia ranę.

W oddali na wzgórzu w zachodniej części miasteczka Maxwell dostrzegł masywną bryłę budynku sekcji administracyjnej — mającą niewyraźnym cieniem na tle ostatnich pasm czerwieni na niebie.

Pas unosił go dalej, minął Instytut Czasu z przyklejonym do niego muzeum i powiewającym na wietrze transparentem. Zegar skończył już obwieszczać mijającą godzinę, ostatnie echa uderzeń zamierały w oddali.

Szósta. Za kilka minut miał opuścić pas komunikacyjny i skierować się do Winston Arms, który był jego domem przez ostatnie cztery... nie, pięć lat. Wsunął rękę do prawej kieszeni kurtki i jego palce odszukały małe kółko z kluczami, schowane w niewielkim etui.

Po raz pierwszy od opuszczenia dworca Wisconsin jego myśli skierowały się ku sprawie istnienia drugiego Petera Maxwella. Cała ta historia mogła wydarzyć się w rzeczywistości, chociaż jemu wydawała się całkowicie niewiarygodna. Najprawdopodobniej był to jedynie wybieg zastosowany przez Urząd Bezpieczeństwa w celu wymuszenia na nim zeznań. Lecz jeżeli był to tylko trik, dlaczego nie odebrano żadnego raportu z Jenociej Skóry o niedotarciu profesora na miejsce przeznaczenia? Po chwili uzmysłowił sobie, że ta wiadomość także pochodziła od Inspektora Draytona, podobnie jak dalsze informacje o dwóch analogicznych przypadkach, które jakoby miały się wydarzyć w przeszłości. Jeżeli miał wątpliwości co do jednego stwierdzenia Draytona, dlaczego miałby wierzyć w pozostałe? Gdyby podobne przechwycenia wzorca falowego przez krystaliczną planetę faktycznie miały miejsce, on, podejrzewany o udział w całej tej aferze, w ogóle nie powinien zostać o nich powiadomiony. Uświadomił sobie jednak, że to

również niczego nie dowodzi. Niewątpliwie mieszkańcy krystalicznej planety przekazali mu tylko te wiadomości, które chcieli mu przekazać.

Wszystkie rewelacje, które usłyszał od Draytona, nie zaniepokoiły go tak bardzo, jak jedno krótkie zdanie wypowiedziane przez pana O'Toole: "Posłaliśmy wieniec z jemioly i ostrokrzewu, aby wyrazić nasz najgłębszy żal". W innych okolicznościach z pewnością zapytałby zaprzyjaźnionego goblina o szczegóły, ale w tym zamieszaniu nie miał szans zamienić z nim nawet kilku słów w cztery oczy.

To wszystko może poczekać, postanowił. Już za kilka minut, kiedy znajdzie się w domu, będzie mógł zatelefonować do któregośkolwiek z przyjaciół i dowiedzieć się prawdy. Zaczął się zastanawiać, z kim najlepiej byłoby porozmawiać. Przed oczyma stanęły mu twarze Harlowa Sharpa z Czasu, Dallasa Gregga, kierownika jego wydziału, a nawet Xigmu Maon Tyre'a, starego Erydańczyka o śnieżnobiałym futrze i bezdennych fioletowych oczach, spędzającego większość czasu w swoim maleńkim pokoiku w instytucie, pochłoniętego w całości przez analizę strukturalną mitów. Po chwili wspomniął też Allena Prestona, zaprzyjaźnionego adwokata. Stwierdził w duchu, że jest to chyba najlepsza kandydatura. Gdyby miało się okazać, że opowiedziana przez Draytona historia wydarzyła się w rzeczywistości, mogły wyniknąć pewne nieprzyjemne kwestie prawne natury formalnej.

Zirytował się. W myślach zganił siebie za tego typu rozważania. Już wierzył, a w każdym razie zaczynał wierzyć w te brednie. Jeśli tak dalej pójdzie, wkrótce będzie przekonywał sam siebie, będzie dowodził, że wszystko to zdarzyło się naprawdę.

Zbliżał się już do przecznicy wiodącej w kierunku Winston

Arms. Podniósł się więc z siedzenia, wziął swój bagaż i przeskoczył na ledwo sunący pas zewnętrzny. Odczekał jeszcze chwilę, po czym na wysokości Winston Arms zszedł na chodnik.

Nie zauważył w pobliżu żywej duszy. Przemierzył szerokie kamienne schody i wszedł do przedsionka. Pogrzebał w kieszeni, wyjął etui z kluczami, odszukał właściwy i otworzył zewnętrzne drzwi. Winda czekała na dole. Wszedł do niej i nacisnął guzik siódmego piętra.

Klucz bez przeszkód dał się wsunąć w zamek i kiedy go przekręcił, drzwi jego mieszkania stanęły otworem. Wkroczył do ciemnego pomieszczenia. Za jego plecami drzwi automatycznie zamknęły się z cichym trzaskiem. Zaczął sunąć ręką po ścianie w kierunku włącznika światła.

Nagle znieruchomiał. Coś tu było nie w porządku. Ogarnęło go dziwne uczucie, wrażenie obcości, wyczuł dziwny zapach. Właśnie, to nie był zapach jego mieszkania. W powietrzu unosił się ledwie wyczuwalny, niezwykle tutaj zapach perfum...

Dotknął dłonią kontaktu i pokój zalało światło.

Nie był to ten sam pokój. Umeblowanie zostało zmienione, a ściany pokrywały krzykliwe obrazy. Nigdy takich nie miał, nie zawiesiłby nigdy podobnych bohomazów w swoim pokoju!

Usłyszał za sobą szcęk zamka i odwrócił się błyskawicznie. W otwartych drzwiach pojawił się szablozębny tygrys.

Na widok Maxwella olbrzymie kocisko przysiadło i warknęło, ukazując ostre kły piętnastocentymetrowej długości. Maxwell zaczął wycofywać się ostrożnie. Kot skradał się za nim, ciągle warcząc. Profesor zrobił jeszcze jeden krok do tyłu, kiedy nagle coś podcięło mu nogi. Wykonał gwałtowny półobrót, próbując odzyskać równowagę, ale nie miał już szans powstrzymać upadku. Kątem oka dostrzegł stojący na środku pokoju taboret —

powinien był pamiętać o jego obecności. Wlazł na niego tyłem, potknął się i teraz przebierał nieporadnie nogami, naprężając jednocześnie wszystkie mięśnie, by choć trochę zamortyzować upadek. Nie upadł jednak na podłogę. Jego plecy oparły się o coś miękkiego i zorientował się, że wylądował na stojącym za taboretem tapczanie.

Kot poszybował w powietrzu w pełnym gracji skoku, z położonymi uszami, na wpół otwartym pyskiem i masywnymi przednimi łapami wysuniętymi na kształt taranów. Maxwell uniósł ramiona w bezwolnym geście obrony, lecz te zostały zignorowane i rozsunięte na boki, jakby ich w ogóle nie było, a kocie łapy oparły się na jego piersiach, przyszpilając go do tapczanu. Wielki koci pysk z połyskującymi kłami zawisł wprost nad jego twarzą. Powoli, z niezwykłą delikatnością, kot pochylił ciężki łeb i długim, różowym, szorstkim jęzorem przeciągnął po twarzy Maxwella.

Po chwili zaczął po kociemu mruścić.

— Sylwester! — rozległ się głos od strony drzwi. — Sylwester, przestań!

Kocur raz jeszcze przejechał po twarzy Maxwella wilgotnym, chropowatym językiem, po czym przysiadł na zadzie i z zagadkowym półuśmiechem na pysku oraz sterczącymi czujnie w górę uszami zaczął przyglądać się człowiekowi, a w jego oczach widniało przyjazne, wręcz entuzjastyczne zainteresowanie.

Maxwell uniósł się na łokciach z plecami częściowo opartymi na poduszce i ramionami wbitymi w zagłówek.

— Kim pan jest? — spytała stojąca w otwartych drzwiach wejściowych dziewczyna.

— Cóż, ja...

— Proszę się zachowywać spokojnie — ostrzegła.

Sylwester mruknął trochę głośniej.

— Proszę mi wybaczyć, ale to moje mieszkanie — odparł Maxwell. — A przynajmniej to było moje mieszkanie. To lokal numer siedemset dwadzieścia jeden, prawda?

— Tak, rzeczywiście — rzekła. — Wynajęłam je dopiero tydzień temu.

Maxwell pokiwał głową.

— Powinienem się był domyślać — mruknął. — Zupełnie zmienione umeblowanie...

— Kazałam gospodarzowi usunąć te rupiecie. Były po prostu okropne...

— Proszę mi pozwolić zgadnąć — wtrącił Maxwell. — Stary, zielony szezlong był najbardziej zniszczony.

— Orzechowy barek także — dodała. — Do tego jeszcze ten monstrualny pejzaż morski i...

Maxwell pokiwał ze znużeniem głową.

— To wystarczy — stwierdził. — Pani wyrzuciła wszystkie moje rzeczy.

— Nie rozumiem — powiedziała. — Gospodarz poinformował mnie, że poprzedni lokator nie żyje. Jakiś wypadek, o ile pamiętam.

Maxwell podniósł się powoli. Wielkie kocisko poderwało się, zbliżyło do niego i zaczęło pieszczotliwie ocierać grzbietem o jego nogi.

— Sylwester, przestań! — krzyknęła dziewczyna. Sylwester łąsił się nadal.

— Musi mu pan wybaczyć — stwierdziła. — On jest jak duże dziecko.

— Biomech?

Skinęła głową.

— Najbardziej drapieżny ze wszystkich żywych stworzeń. Chodzi ze , mną wszędzie, ale rzadko sprawia kłopoty. Nie wiem, co w niego wstąpiło. Wygląda na to, że polubił pana.

Mówiąc to spoglądała na kota, lecz nagle uniosła rozszerzone oczy.

— Czy nic się panu nie stało? — rzuciła szybko. Maxwell pokręcił przecząco głową.

— Ma pan tak strasznie bladą twarz.

— To tylko lekki szok — wyjaśnił. — Miałem dzisiaj dzień pełen wrażeń. Wszystko, co pani mówiłem, jest prawdą. Mieszkałem tu kiedyś, jeszcze parę tygodni temu. Teraz sprawy się tak zagmatwały...

— Proszę usiąść — rzekła. — Czy ma pan ochotę na coś mocniejszego?

— Tak, dziękuję, chyba mi dobrze zrobi. Nazywam się Peter Maxwell i jestem członkiem grona profesorskiego...

— Zaraz, zaraz. Pan powiedział: Maxwell? Peter Maxwell? Teraz sobie przypominam. To nazwisko...

— Tak, wiem — wtrącił. — Tego nieżyjącego człowieka.

Usiadł ostrożnie na brzegu tapczanu.

— Przyniosę drinka — powiedziała dziewczyna.

Sylwester przysunął się bliżej i delikatnie położył łeb na kolanach Maxwella. Ten zaczął drapać go za uchem, a olbrzymi kocur, pomrukując głośno, zabawnie przekrzywił głowę, domagając się dalszych pieszczot.

Dziewczyna wróciła ze szklaneczką, podała ją Maxwellowi i usiadła obok.

— Nadal nie mogę tego zrozumieć — zagadnęła. — Jeżeli pan jest tym człowiekiem, który...

— To wszystko jest zbyt skomplikowane.

— Muszę przyznać, że nieźle się pan trzyma. Wygląda pan na nieco przerażonego, ale nie załamał się pan.

— No cóż, jeśli mam być szczerzy, powinienem był się z tym pogodzić, zostałem poinformowany o wydarzeniach, tyle że nie we wszystko uwierzyłem. Po prostu podświadomie nie dopuszczałem do siebie podobnych myśli.

Podniósł szklanę.

— Pani nie pije?

— Jeśli z panem wszystko w porządku i czuje się pan dobrze, to przyniosę sobie szklaneczkę — odparła.

— Och, tak! Czuję się dobrze — stwierdził. — Mam nadzieję, że jakoś to przeżyję.

Spojrzał na dziewczynę i po raz pierwszy miał okazję ocenić jej urodę. Miała ciemne, gładkie, starannie przystrzyżone i upięte włosy, długie rzęsy, wystające kości policzkowe i oczy, które śmiały się do niego.

— Jak się pani nazywa? — zapytał.

— Carol Hampton. Jestem historykiem w Czasie.

— A więc, panno Hampton, przepraszam za to zamieszanie — rzekł. — Byłem w podróży poza Ziemią. Właśnie wróciłem. Mój klucz pasował do drzwi, a przed wyjazdem było to moje mieszkanie...

— Proszę się nie tłumaczyć — przerwała mu.

— Zatem wypijmy — zaproponował. — A potem wstanę i pójdę sobie. Chyba, że...

— Chyba, że co?

— Chyba, że zechce pani zjeść ze mną kolację. Powiedzmy, że da mi pani szansę zrehabilitowania się w jej oczach. Przecież mogła pani wybiec stąd, alarmując wszystkich dookoła.

— A jeśli to wszystko pic? — zapytała z powagą. — Jeśli pan...

— Nie, to nie pic. Jestem zbyt głupi, aby coś takiego wymyślić.
A poza tym skąd miałbym klucz?

Przez chwilę przyglądała mu się uważnie.

— To było głupie z mojej strony, ale zgadzam się —
stwierdziła. — Tyle że Sylwester będzie musiał pójść z nami. Nie
mogę go zostawić samego.

— Jasne, wcale nie myślałem o tym, żeby go tu zostawić rzekł
Maxwell. — Przecież jesteśmy już kumplami.

— Ale jego obecność będzie pana kosztowała dodatkowy
befsztyk — ostrzegła. — On jest wiecznie głodny, a jada
wyłącznie najlepsze befsztyki. Duże i krwiste.

.. 5 ..



W knajpie “Pod Świnia i Świstawką” panował półmrok, a gwarna atmosfera była ciężka od dymu. Pomiedzy pozsuwanymi w większe zespoły stolikami widniały jedynie wąskie przejścia. W ściennych kandelabrach migotliwymi płomykami paliły się świece. Pod wiszącym nisko stropem głośny pomruk wielu mówiących jednocześnie osób zmieniał się w hałaśliwe brzęczenie.

Maxwell zatrzymał się i rozejrzał, próbując wypatrzeć wolny stolik. Dopiero teraz uświadomił sobie, że powinien był wybrać jakiś inny lokal, ale chciał zjeść właśnie tutaj, w knajpie uczęszczanej przez studentów oraz wielu pracowników uniwersytetu — w miejscu stanowiącym dla niego nieodłączną część miasteczka.

— Może pójdziemy gdzie indziej? — zwrócił się do Carol Hampton.

— Nie, zaczekajmy. Zaraz powinien ktoś podejść i wskazać nam wolny stolik — stwierdziła. — Taki tu ruch. Obsługa ma pełne ręce roboty. Sylwester, przestań! Proszę mu wybaczyć zwróciła się do ludzi siedzących przy najbliższym stoliku. On jest fatalnie wychowany, nie mogę go nauczyć żadnych manier, zwłaszcza zachowania przy stole. Chwyta wszystko, co znajdzie się w jego zasięgu.

Sylwester oblizywał się i wyglądał na uszczęśliwionego.

— Nic się nie stało — stwierdził mężczyzna z wielką brodą. — Właściwie nie miałem ochoty na befszytk. Zamawiam je z czystego przyzwyczajenia.

— Pete! Pete Maxwell! — krzyknął ktoś z drugiego końca sali.

Maxwell spróbował dostrzec coś poprzez półmrok i dym. Przy najdalszym, wsuniętym w kąt stoliku, ktoś podniósł się i wymachiwał obiema rękoma. Maxwell rozpoznał go po chwili. Był to Alley Oop. Obok niego dojrzał spowitego w biały całun Ducha.

— To twoi przyjaciele? — spytała Carol.

— Tak! Na pewno chcę, żebyśmy się do nich przysiedli. Czy masz coś przeciwko temu?

— To neandertalczyk? — zapytała.

— Znasz go?

— Nie. Widywałam go tu i tam parę razy i nawet myślałam o tym, żeby się z nim spotkać. A ten obok to Duch?

— Oni są nierozłączni — odparł Maxwell.

— Cóż, zatem skorzystajmy z zaproszenia.

— Możemy się tylko przywitać i zaraz stąd wyjść.

— W żadnym wypadku! — zaprotestowała. — To miejsce wygląda interesująco.

— Nie byłaś tu nigdy przedtem?

— Nie odważyłam się — wyznała.

— Idź za mną, będę przecierał szlak.

Zaczął z trudem przeciskać się między stolikami. Dziewczyna i tygrys ruszyli jego śladem.

Alley Oop rzucił się do przejścia, by powitać Maxwella. Chwycił go w objęcia i uściskał. Po chwili ujął go za ramiona, odsunął od siebie na odległość wyprostowanych rąk i obrzucił

uważnym spojrzeniem jego twarz.

— Czy to ty, stary Peter? — zapytał. — Nie nabierasz nas?

— Oczywiście, to ja, Peter — odparł Maxwell. — A kim według ciebie miałbym być?

— Cóż, chciałbym tylko wiedzieć, kim był człowiek, którego ciało pogrzebaliśmy w czwartek, przed trzema tygodniami — rzekł Oop. — Byliśmy tam obaj, ja i Duch. Jesteś nam w takim razie winien dwudziestkę za kwiaty, które złożyliśmy na grobie. Tyle nas kosztowały.

— Lepiej usiądźmy — wtrącił Maxwell.

— Boisz się, że zrobię ci scenę? — wyskoczył Oop. — Przecież ta buda jest stworzona do awantur. Nie ma godziny, żeby nie poszły w ruch pięści, albo też ktoś nie wskoczył na stół i nie pieprzył coś od rzeczy.

— Oop! — skarcił go Maxwell. — Jest między nami dama, spróbuj więc poskromić swój język i zachowywać się jak człowiek cywilizowany. Panna Carol Hampton. A ten wielki gamoń to Alley Oop.

— Jestem zachwycony, że mogłem panią poznać, panno Hampton — zaczął Alley Oop. — A cóż to pani przyprowadziła ze sobą? Niech mnie kule biją, toż to szablożębny! Muszę pani powiedzieć, że kiedyś podczas zamieci, kiedy szukałem schronienia w jaskini, zetknąłem się sam na sam z takim olbrzymim kotem, a nie miałem przy sobie nic z wyjątkiem tępego, kamiennego noża. Bo, widzi pani, właśnie wtedy straciłem swoją maczugę przy spotkaniu z niedźwiedziem i...

— Opowiesz o tym kiedy indziej — przerwał mu Maxwell. — Pozwól nam wreszcie usiąść. Jesteśmy głodni i nie chcemy, żeby nas stąd wyrzucono.

— Ależ, Peter, to wielki zaszczyt być wyrzuconym z tej spelunki — oznajmił Alley Oop. — Nie będziesz miał odpowiedniej pozycji społecznej, dopóki nie zostaniesz stąd wywalony.

Mrucząc coś pod nosem poprowadził ich jednak do stolika i podsunął Carol krzesło. Sylwester usadowił się pomiędzy Maxwellem i Carol, położył pysk na stoliku i spoglądał groźnie na Oopa.

— Ten kot mnie nie lubi — oznajmił Oop. — Prawdopodobnie domyśla się, jak wielu jego przodków zgładziłem w epoce kamienia łupanego.

— To niemożliwe, on jest tylko biomechem — zaprotestowała Carol.

— Nie wierzę w ani jedno słowo — mruknął Oop. — On nie może być biomechem. Ma w ślepiach takie same złe błyski, jakie miały prawdziwe szablozębne.

— Proszę cię, Oop — wtrącił się Maxwell. — Wstrzymaj się choć na chwilę. Panno Hampton, ten dżentelmen to Duch, mój długoletni przyjaciel.

— Miło mi poznać pana, panie Duchu — powiedziała Carol.

— Tylko nie: panie — zaprotestował gwałtownie Duch. Po prostu: Duchu. Jestem tylko duchem, niczym więcej. A najgorsze w moim przypadku jest to, że nawet nie wiem, czym jestem duchem. Niezmiernie miło mi panią poznać. To tak przyjemnie siedzieć przy stoliku we czwórkę. Jest coś czarownego i uspokajającego w liczbie cztery.

— A teraz, kiedy już poznaliśmy się nawzajem, przejdźmy do konkretów — odezwał się Oop. — Najpierw proponuję się czegoś napić. Picie w pojedynkę nastraja pesymistycznie. Rzecz jasna, kocham Ducha za jego niewątpliwe zalety, ale nienawidzę ludzi,

którzy nie piją.

— Wiesz przecież, że ja nie mogę pić — wtrącił Duch. Ani jeść, ani też palić. Jest tak niewiele rzeczy, które może robić duch. Ale prosiłem cię przecież, żebyś nie wytykał mi tego za każdym razem, kiedy się z kimś spotykamy.

— Wydaje się pani być zdziwiona, że barbarzyński neandertalczyk może posługiwać się współczesną mową tak swobodnie jak ja — Oop zwrócił się do Carol.

— Zdziwiona? To za mało. Całkowicie zaskoczona — odparła.

— Oop w ciągu ostatnich dwunastu lat spędził w szkołach więcej czasu niż jakikolwiek przeciętny człowiek — wyjaśnił Maxwell. — Zaczynał na dobrą sprawę od poziomu przedszkola, a teraz pracuje już nad doktoratem. W dodatku nie zamierza na tym poprzestać. Można powiedzieć, że jest jednym z naszych najlepszych studentów.

Oop podniósł rękę i pomachał, przywołując kelnera.

— Tutaj! — wrzasnął. — Są tu ludzie, których trzeba natychmiast obsłużyć. Umieramy z pragnienia w strasznych męczarniach.

— Zawsze byłem pełen podziwu dla jego skromnej, nieśmiałej natury — stwierdził Duch.

— Kontynuuję studia wcale nie dlatego, że odczuwam tak wielki głód wiedzy — oznajmił z dumą Oop — ale przede wszystkim dla satysfakcji, jaką czerpię z oglądania niedowierzania i zdumienia, malującego się na twarzach wszystkich głupich wykładowców i ich nierozgarniętych studentów.

A zwracając się do Maxwella dodał:

— Nie chcę przez to powiedzieć, że wszyscy profesorowie są głupimi zarozumialcami.

— Dziękuję ci — odparł Maxwell.

— Są tacy, którzy wydają się myśleć, że przedstawiciel gatunku Homo sapiens neanderthalensis nie może być nikim innym, jak tylko głupim bydłem — kontynuował Oop. — Jak by nie patrzeć, gatunek wymarł, nie był w stanie przetrwać walki o byt, a to samo w sobie jest dla nich wystarczającym dowodem, że stanowił gatunek podrzędny. Obawiam się, że będę musiał poświęcić resztę swojego życia na udowodnienie, iż...

Obok ramienia Oopa wyrósł kelner.

— To znowu pan — powiedział. — Powinienem się być domyślać, kto może tak wrzeszczeć. Pan jest pozbawiony wszelkich manier, Oop.

— Jest tutaj człowiek, który właśnie wrócił z zaświatów powiedział Oop, ignorując zniewagę. — Uważam, że będzie absolutnie na miejscu, jeśli uczymy jego zmartwychwstanie prawdziwie po bratersku.

— Zgaduję, że chcecie coś do picia.

— Otóż to. Zatem czy nie może pan po prostu przynieść butelki dobrego trunku, koszyczka z lodem i czterech... nie, trzech szklanek? Duch, jak pan wie, nie pije.

— Tak, wiem — mruknął kelner.

— To wszystko, chyba że panna Hampton życzy sobie któryś z tych wymyślnych koktajli.

— Nie jestem żadną nadzwyczajną personą, żeby z mojego powodu kielbasić coś w zamówieniu. Co wy pijecie? — spytała Carol.

— Burbona — odparł Oop. — My z Petem najbardziej gustujemy w tym płynie.

— Niech będzie burbon — zgodziła się Carol.

— W porządku — mruknął kelner. — Ale będziecie musieli

zapłacić rachunek, kiedy tylko przyniosę wam butelkę. Pamiętam, że kiedyś...

— Jeśli zabraknie mi paru groszy — przerwał mu Oop stary Peter z pewnością dołoży do sumy.

— Peter? — Kelner spojrzał na Maxwella. — Profesor! wykrzyknął. — Słyszałem, że pan...

— To właśnie usiłowałem panu powiedzieć — wpadł mu w słowo Oop. — Właśnie świętujemy jego powrót z tamtego świata.

— Ale ja nie rozumiem...

— Nie musi pan — stwierdził Oop. — Proszę tylko zakrzętnąć się szybko koło jakiejś butelki.

Kelner potruchtał z powrotem.

— A teraz powiedz nam, proszę, kim właściwie jesteś? zwrócił się Duch do Maxwella. — Nie jesteś duchem, to jasne, a jeśli tak, to nastąpił niezwykły postęp od czasu, kiedy człowiek, którego reprezentuję, zrzucił z siebie swą cielesną powłokę.

— Wydaje mi się, że jestem rozszczepioną osobowością objaśnił Maxwell. — Jeden z nas, jak rozumiem, zmarł wskutek jakiegoś wypadku.

— Przecież to niemożliwe — zaprotestowała gwałtownie Carol. — Rozdwojenie osobowości może wystąpić na poziomie psychiki, to wiemy. Ale fizycznie...

— Nie ma na niebie i ziemi niczego, co byłoby niemożliwe — wygłosił sentencjonalnie Duch.

— Ten cytat jest nie na miejscu — zgasił go Oop. — Poza tym to brzmiało zupełnie inaczej.

Uniósł dłoń do swej gęsto owłosionej piersi i podrapał się energicznie krótkimi, grubymi palcami.

— Proszę nie patrzeć z takim przerażeniem — odezwał się do

Carol. — Swędzi mnie. A ponieważ jestem z natury stworzeniem prymitywnym, więc się drapię. Poza tym nie jestem całkiem nagi, mam na sobie szorty.

— Jest wprawdzie udomowiony, ale tylko powierzchownie — objaśnił Maxwell.

— Wracając do tej rozdwojonej osobowości — zagadnęła dziewczyna. — Czy możesz wytłumaczyć nam, co się właściwie stało?

— Wyruszyłem w podróż do jednej z planet Systemu Jenocie Skóry. W czasie drogi mój wzorzec falowy uległ w jakiś sposób powieleniu i tak oto znalazłem się w dwóch miejscach jednocześnie.

— Czy mamy przez to rozumieć, że istniało dwóch Peterów Maxwellów?

— Właśnie tak.

— Gdybym był na twoim miejscu, podałbym tych z Transportu do sądu — stwierdził Oop. — Przecież to było morderstwo. Mógłbyś wyciągnąć od nich kunę forsy, a ja z Duchem świadczyłbym na twoją korzyść. Uczestniczyliśmy przecież w twoim pogrzebie.

— Poza tym my również powinniśmy ich zaskarżyć — dodał po chwili przerwy. — Za cierpienia moralne. Nasz najlepszy przyjaciel zimny i sztywny, ułożony w pudełku, a my, pogrążeni w żalu...

— Naprawdę tak było, możesz mu wierzyć — dodał Duch.

— Ależ wcale w to nie wątpię — zapewnił Maxwell.

— Muszę stwierdzić, że wszyscy trzej traktujecie to dziwnie lekko — wtrąciła Carol z oburzeniem. — Jeden z trzech serdecznych przyjaciół...

— Czego od nas oczekujesz? — wyskoczył Oop. — Może mamy

śpiewać Alleluja? Czy też wywalić gały i zachwycać się wspaniałością scenerii? Straciliśmy przyjaciela, a teraz on znów jest z nami...

— Ale jeden z nich nie żyje.

— No cóż, jeśli o nas chodzi, to zawsze znaleźliśmy tylko jednego Petera — zauważył Oop. — Niech już tak zostanie. Czy wyobrażasz sobie, w jak kłopotliwej znaleźlibyśmy się sytuacji, gdyby zjawilo się ich tu dwóch?

— A ty? — spytała, zwracając się do Maxwella.

Pokręcił głową.

— Dopiero za kilka dni będę mógł poważnie się nad tym zastanowić — rzekł. — Na razie próbuję nie zaprzętać sobie tym głowy. Prawdę mówiąc, sama myśl o tym po prostu mnie paraliżuje. Dajmy temu spokój. Jest wieczór, siedzę tu z piękną dziewczyną, dwoma starymi przyjaciółmi i wielkim kocurem. Mamy butelkę do opróżnienia. Potem trzeba będzie coś zjeść.

Uśmiechnął się do niej. W odpowiedzi wzruszyła ramionami.

— Nigdy nie spotkałam tak zwariowanej paczki — mruknęła. — Mam nadzieję, że będzie to miły wieczór.

— Już jest miły — stwierdził Oop. — Mówcie, co chcecie, ale ta wasza cywilizacja wykazuje kolosalny postęp w stosunku do czasów najdawniejszych. To był najszczęśliwszy dzień w moim życiu, kiedy ekipa z Czasu porwała mnie dokładnie w momencie, kiedy moi kochani współplemieńcy zamierzali zjeść mnie na obiad. Nie myślcie tylko, że ich specjalnie za to potępiam. Mieliśmy wtedy długą, ciężką zimę, głęboki śnieg i niezmiernie trudno było cokolwiek upolować, a niektórzy członkowie mojego plemienia chcieli wyrównać pewne drobne porachunki ze mną. Nie mam zamiaru was oszukiwać, że nie mieli ku temu poważnych powodów. Właśnie zamierzali dać mi w łeb i, co tu

dużo gadać, po prostu wrzucić do kotła.

— Kanibalizm! — krzyknęła Carol przerażona.

— Cóż, to całkiem naturalne — oznajmił Oop. — W tamtych odległych, trudnych czasach kanibalizm był powszechnie akceptowany. Rzecz jasna, wy tego nie jesteście w stanie zrozumieć. Nie wiecie, co to znaczy być głodnym, śmiertelnie głodnym, tak bardzo głodnym, że...

Przerwał swój wywód i rozejrzał się po sali.

— Największym osiągnięciem waszej kultury jest powszechny dostatek pożywienia — zadeklarował. — W tamtych czasach bywały lepsze i gorsze dni. Jeśli udało nam się upolować mastodonta, mogliśmy jeść aż do wymiotowania. Potem jedliśmy znowu...

— Nie sądzę, żeby był to najlepszy temat do rozmowy przy kolacji — zwrócił uwagę Duch.

Oop spojrzał na Carol.

— W każdym razie musisz przyznać, że postępuję uczciwie. Kiedy mam na myśli wymioty, to używam tego właśnie słowa, a nie stosuję kwiecistych określeń w rodzaju “zwracanie treści żołądkowej”.

Kelner przyniósł alkohol, z hukiem stawiając butelkę i naczynie z lodem na stoliku.

— Czy chcą państwo teraz złożyć zamówienie? — spytał.

— Nie zdecydowaliśmy jeszcze, czy będziemy jeść kolację w tej nędznej spelunie — odparł Oop. — Jest odpowiednia do tego, żeby coś wypić, ale...

— A zatem, sir — przerwał mu kelner kładąc rachunek na stoliku.

Oop poszperał po kieszeniach i wysupłał nieco bilonu. Maxwell przysunął do siebie naczynie z lodem oraz butelkę, po

czym zaczął przygotowywać drinki.

— My mamy zamiar zjeść tutaj, nieprawdaż? — zwróciła się Carol do Maxwella. — Nie ręczę za Sylwestra, jeżeli nie dostanie obiecane befszyka. Czuje tu jedzenie i tylko dlatego wykazuje tyle cierpliwości i spokoju.

— Przecież zjadł już jeden befszyk — zauważył Maxwell. — Ile on może jeść?

— Bez ograniczeń — odpowiedział Oop. — W dawnych czasach jeden z takich potworów był w stanie zrobić porządek z łosiem za jednym posiedzeniem. Nie wiem, czy kiedykolwiek wam opowiadałem...

— Jestem pewien, że mówiłeś — wtrącił Duch.

— Przecież złapał gotowane mięso, a on zdecydowanie woli surowe — zaprotestowała Carol. — Poza tym był to bardzo mały befszyk.

— Oop, zawołaj jeszcze raz kelnera — poprosił Maxwell. Jesteś w tym dobry, masz odpowiedni głos.

Oop zamachał muskularnym ramieniem i ryknął na kelnera. Odczekał chwilę, po czym wrzasnął ponownie, z równie znikomym skutkiem.

— Nie zwraca na mnie uwagi — warknął. — Może to nie nasz kelner? Nigdy nie jestem w stanie odróżnić tych małp. Dla mnie wszyscy są jednakowi.

— Nie podoba mi się towarzystwo w tym lokalu — stwierdził Duch. — Obserwowałem ich. Coś wisi w powietrzu.

— Co ci się nie podoba? — spytał Maxwell.

— Jest strasznie dużo tych kreatur z Anglistyki. To nie ich rewir. Na ogół przychodzi tu tylko Czas i Nadprzyrodzony.

— Myślisz, że to może mieć związek z tą aferą z Shakespeare'em?

— Tak, chyba o to chodzi.

Maxwell podał Carol szklanę, drugą natomiast pchnął przez stół do Oopa.

— To hańba, nie dać ci się napić — zatroszczyła się Carol o Ducha. — Czy nie mógłbyś chociaż powąchać, tylko troszeczkę?

— Nie zawracaj sobie tym głowy — wtrącił Oop. — Ten gość upija się promieniowaniem księżyca. Może tańczyć na tęczy. W porównaniu ze mną czy z tobą on i tak jest do przodu. Weź choćby pod uwagę, że jest nieśmiertelny. Czy istnieje coś, co mogłoby uśmiercić ducha?

— Nie byłbym taki pewny — mruknął Duch.

— Jest jedna rzecz, Duchu, która mnie bardzo interesuje zagadnęła Carol. — Nie pogniewasz się, jeśli cię o to zapytam?

— Skądże znowu! — odparł Duch.

— Podobno nie wiesz, czym jesteś duchem. Czy to prawda, czy po prostu kawał?

— Niestety, to prawda — przyznał Duch. — Nie muszę chyba dodawać, jakie to dla mnie kłopotliwe i deprymujące. Ale ja po prostu zapomniałem. Pochodził z Anglii, tyle jeszcze pamiętam. Lecz nazwisko zupełnie wypadło mi z głowy. Podejrzewam, że większość innych duchów...

— Przecież nie znamy innych duchów — zaproponował Maxwell. — Owszem, możemy się z niektórymi kontaktować, możemy prowadzić rozmowy czy robić wywiady, ale żaden inny duch nie zdecydował się zamieszkać wśród nas. A ty, Duchu, dlaczego postanowiłeś zostać z nami?

— Bo on jest zwykłym kombinatorem — wtrącił Oop. Zawsze robi dokładny rachunek zysków i strat.

— Nie masz racji — rzekł Maxwell. — My piekielnie mało możemy zrobić dla Ducha.

— Dzięki wam posiadam pełniejsze poczucie rzeczywistości — odparł Duch.

— Dobra, mniejsza o przyczyny. Bardzo się cieszę z twojej decyzji — podsumował Maxwell.

— Wy trzej jesteście przyjaciółmi chyba od dość dawna? zagadnęła Carol.

— Dziwi cię to? — spytał Oop.

— Cóż, tak... może... Sama nie wiem, co o tym myśleć? Od strony wejścia dały się słyszeć odgłosy szamotaniny. Carol i Maxwell odwrócili się i spojrzeli w tamtym kierunku, ale niewiele mogli dostrzec.

Jakiś człowiek wskoczył nagle na stół i zaintonował piosenkę:

Niech żyje stary Shakespeare,
Co w nosie sztuki miał;
On wolał z dziewczynkami grać
W te sprośne ram pam pam...

Zewsząd rozległy się drwiące okrzyki i gwizdy; ktoś cisnął jakimś przedmiotem, który przeleciał tuż obok śpiewaka. Część towarzystwa podchwyciła piosenkę:

Niech żyje stary Shakespeare,
Co w nosie sztuki miał...

— Do diabła ze starym Billem Shakespeare’em! — ryknął ktoś bawolim basem.

W całej sali wszczęło się nagłe poruszenie. W powietrzu zawirowały krzesła, a na stolikach pojawiły się kolejne osoby. Rozległy się wrzaski i rozpoczęły przepychanki. Poszły w ruch pięści. Najróżniejsze przedmioty zaczęły fruwać pod sufitem.

Maxwell zerwał się na równe nogi, schwycił Carol i przyciągnął do siebie, starając się ją osłonić. Oop z dzikim okrzykiem wojennym wskoczył na stół. Zamaszystym kopniakiem zmiotł z niego miseczkę, posyłając kostki lodu niczym pociski w tłum.

— Załatwię kilku, a ty postaraj się ściągnąć ich na jedną stronę — krzyknął do Maxwella.

Profesor dojrzał czyjąś pięść celującą w stronę jego nosa, wykonał więc błyskawiczny unik, kierując jednocześnie własną pięść w stronę, z której nadszedł cios. Trafił jednak w powietrze. Ponad jego barkiem wyrosło muskularne ramię Oopa, cios z głośnym młaśnięciem dosięgnął czyjejś twarzy i jedna z postaci po drugiej stronie stołu zwała się jak kłoda na podłogę.

Jakiś ciężki przedmiot przecinający ze świstem powietrze trafił Maxwella prosto między oczy i ten runął pod stół. Wszędzie dokoła niego chaotycznie poruszały się nogi walczących. Ktoś nadepnął mu na rękę, ktoś inny zwał się na niego. Gdzieś ponad sobą, jakby dochodzące z oddali, słyszał dzikie wrzaski Oopa.

Obrócił się, zrzucając przygniatające go ciało, i z trudem podniósł się na nogi.

Jakaś potężna dłoń zacisnęła się na jego ramieniu i odwróciła go w drugą stronę.

— Wynośmy się stąd, bo możemy zdrowo oberwać krzyknął neandertalczyk.

Carol schowała się w kącie za stolikiem. Pochylała się nad Sylwestrem, kurczowo wbijając palce obu dłoni w sierść na jego karku. Kot wspiął się na tylne łapy, a przednimi przebierał w powietrzu. Z jego gardła wydobywał się przytłumiony warkot, długie kły połyskiwały złowieszczo.

— Jeśli nie zabierzemy stąd natychmiast tego kota, to sam sobie wywalczy swój surowy befsztyk — krzyknął Oop. Rzucił się na tygrysa, objął go wpół ramieniem, ścisnął z całej siły, uniósł w górę i zaczął taszczyć za sobą.

— Zaopiekuj się dziewczyną — rzucił Maxwellowi. Gdzieś tu powinno być tylne wyjście. I nie zostawiaj tej butelki na stole. Jeszcze nam się przyda.

Maxwell posłusznie sięgnął za siebie i pochwycił butelkę. Nigdzie w pobliżu nie było widać Ducha.

.. 6 ..



— Jestem tchórzem — kajał się Duch. — Przyznaję, że zaczynam czuć pietra przy pierwszych oznakach gwałtowności.

— Ty?! Jedyne facet na świecie, któremu nikt nie może przyłożyć? — oburzył się Oop.

Siedzieli przy prymitywnym, nieco chybotliwym, kwadratowym stoliku, który Oop w przypływie gospodarskiej energii sklecił kiedyś z surowych desek. Carol odsunęła od siebie talerz.

— Co prawda umierałam z głodu, ale nie dam rady już nic zjeść — powiedziała.

— Nie tylko ty — zauważył Oop. — Spójrzcie na naszego kociaka.

Sylwester leżał rozciągnięty przed kominkiem z podwiniętym pod siebie krótkim ogonem i nosem wciśniętym między puszyste łapy. Tylko długie wąsy poruszały się rytmicznie w takt regularnego oddechu.

— Pierwszy raz w życiu widzę szablozębnego, który nie był w stanie spałaszować wszystkiego, co było do zjedzenia — dodał Oop.

Sięgnął po butelkę i potrząsnął nią. Z wnętrza nie dobiegł nawet najcichszy chlupot. Dźwignął się ociężale na nogi, przemierzył pokój, uklęknął i podniósł małą klapę umieszczoną

w podłodze. Pochylił się, usiłując wymacać coś w przestrzeni pod klapą. Wyciągnął w końcu szklany słoje po kompocie, który postawił obok siebie na podłodze. Po chwili wydobył drugi słoje i postawił go obok pierwszego. W końcu triumfalnie uniósł w górę znaną butelkę.

Schował słoje z powrotem i zamknął klapę. Wrócił do stołu, zębami wyciągnął korek z butelki, po czym sięgnął po opróżnione szklanki.

— Pewnie chcielibyście lodu — mruknął. — To trochę rozcieńczyłoby tę okowitkę, ale w tym lokalu nie podają lodu. Kciukiem wskazał przez ramię w kierunku klapy wpasowanej w podłogę.

— Moja kryjówka — oznajmił. — Zawsze trzymam tam jedną czy dwie butelki. Gdyby kiedyś się zdarzyło, że na przykład złamię nogę i lekarz zabroni mi pić...

— Na pewno nie zabroni ci z powodu złamanej nogi — zaprotestował Duch. — Nikt nie powinien zabraniać ci picia z powodu złamanej nogi.

— Cóż, zatem z jakiegokolwiek innego powodu — nie zrażał się Oop.

Siedzieli ukontentowani ze szklankami w dłoniach, Duch natomiast gapił się bezmyślnie w ogień. Na zewnątrz porywisty wiatr z hukiem uderzał w drewniane ściany chałupy.

— Nigdy nie jadłam czegoś tak wspaniałego — stwierdziła Carol. — Po raz pierwszy piekłam mięso na rożnie nad otwartym ogniem.

Oop czknął z lubością.

— Właśnie w ten sposób przyrządzaliśmy je kiedyś, w epoce kamienia łupanego. Albo po prostu jedliśmy na surowo, tak jak szablozębny. Nie mieliśmy żadnych piekarników, opiekaczy, ani

temu podobnych wymyślnych urządzeń.

— Mam wrażenie, że lepiej nie pytać, skąd wzięłeś tę wyżerkę — stwierdził Maxwell. — Domyślam się, że o tej porze wszystkie sklepy z mięsem były już zamknięte.

— Cóż, to fakt — przyznał Oop — ale znam taki sklep, gdzie przy tylnym wyjściu wisi tak banalnie prosta kłódka... — Któregoś dnia wpadniesz w poważne tarapaty — zauważył Duch.

Oop pokręcił głową.

— Nie sądzę. Nie tym razem. Życiowa konieczność... nie, to brzmiało jakoś inaczej. Człowiek głodujący ma prawo pożywić się wszędzie tam, gdzie znajdzie pożywienie. Takie prawo obowiązywało w czasach prehistorycznych. Wydaje mi się, że nadal te sprawy traktowane są przez prawo szczególnie. Swoją drogą pójdę tam jutro i wyjaśnię, co się stało. A propos, czy masz jakieś pieniądze? — zwrócił się na koniec do Maxwella.

— Można powiedzieć, że jestem nadziany — odparł Maxwell. — Wziąłem kupę forsy w podróż do Jenociej Skóry, ale nie wydałem tam ani grosza.

— Byłeś traktowany jak gość honorowy? — spytała Carol. — Myślę, że można to tak nazwać — stwierdził Maxwell. Nigdy nie próbowałem ustalać naszych wzajemnych relacji. — To byli mili ludzie?

— Cóż, chyba tak, mili... nie wiem tylko, czy ludzie. Ile będziesz potrzebował? — zapytał Oopa.

— Myślę, że stówka powinna załatwić sprawę. Będzie za mięso i zepsute drzwi, nie wspominając zranionych uczuć naszego przyjaciela, rzeźnika.

Maxwell wyjął z kieszeni portfel, odliczył kilka banknotów, po czym podał je Oopowi.

— Dziękuję. Kiedyś ci zwrócę — powiedział Oop.

— Nie, przyjęcie jest na mój rachunek — zaproponował Maxwell.
— Zaczęło się od zaproszenia Carol na kolację, tyle że sprawy przybrały nieco inny obrót.

Przy kominku Sylwester przeciągnął się, ziewnął, spał jednak dalej, leżąc teraz na grzbiecie z łapami dziwnie sterczącymi do góry.

— Jest pani gościem w miasteczku, panno Hampton? spytał Duch.

— Nie! — zdumiała się Carol. — Skąd ci to przyszło do głowy? Pracuję tutaj.

— Zasugerowałem się obecnością tygrysa — wyjaśnił Duch. — Mówiłaś, że to biomech, pomyślałem więc, że jesteś z Biomechu.

— Ach, tak, masz na myśli instytuty w Wiedniu lub Nowym Jorku?

— Jest również centrum gdzieś w Azji. W Ułan Baton jeśli dobrze pamiętam.

— Byłeś tam?

— Nie. Ale słyszałem o nim.

— Mógłby być i tam — wtrącił się Oop. — On może dostać się wszędzie w mgnieniu oka. Tylko dlatego spece z Nadprzyrodzonego tolerują go jeszcze. Cały czas mają nadzieję, że zdobędą jego tajemnicę. Ale stary Duch jest szczwany. Nic im nie powie.

— Prawdziwym powodem jego milczenia jest fakt, że figuruje także na liście płac w Transporcie — dodał Maxwell. Gotowi są płacić mu nie wiem ile, byle tylko zachował tajemnicę. Jeżeli ujawni swoją technikę podróżowania, Transport wyrzuci go na zbity pysk. Nic więcej od niego nie chcą. Przecież ludzie mogliby przemieszczać się wedle życzenia, dokądkolwiek zapragną, na własny rachunek, nieistotne czy na odległość kilometra, czy

milionów lat świetlnych.

— Duch jest uosobieniem taktu — wyjaśnił Oop. — Chciał powiedzieć, że taki szablony to bardzo droga impreza, o ile nie pracuje się w Biomechu i nie umie się samemu czegoś takiego wyprodukować.

— Tak, rozumiem — odparła Carol. — Jest w tym trochę prawdy. Rzeczywiście kosztuje to masę forsy, ale ja nie wydałam na niego ani grosza. Mój ojciec przed emeryturą pracował w Biomechu w Nowym Jorku. Sylwester jest wspólnym projektem grupy studentów, którą się opiekował. Podarowali go potem ojcu.

— Ciągle nie mogę uwierzyć, że faktycznie jest to tylko biomech — nie dawał za wygraną Oop. — Kiedy patrzy na mnie, w jego oczach pojawiają się te same dzikie błyski.

— Prawdę powiedziawszy, one wszystkie są teraz bardziej bio niż mech — wyjaśniła Carol. — Sama nazwa powstała wtedy, gdy konstrukcje zawierały wielce skomplikowany mózg elektronowy sprzężony ze specyficznym protoplazmatycznym układem nerwowym. Obecnie stosuje się jedynie te urządzenia mechaniczne, które zbyt szybko zużywałyby się, gdyby wykorzystano materiały naturalne, a więc serce, nerki, płuca i temu podobne. Natomiast ostatnie badania Biomechu koncentrują się wokół wytwarzania pewnych specyficznych form życia, ale na pewno wszyscy o tym wiecie.

— Owszem, krążą różne niesamowite opowieści — odezwał się Maxwell. — Podobno istnieje grupa nadludzi, których trzymają w zamknięciu. Słyszeliście o tym?

— Tak, coś słyszałam. Zawsze są jakieś plotki.

— A tam! Słyszałem ostatnio dużo lepszy numer — wtrącił Oop. — Prawdziwa rewelacja. Otóż ktoś opowiadał mi, że

Nadprzyrodzony nawiązał kontakt z Diabłem. Co ty na to, Peter?

— Nic mi o tym nie wiadomo — odparł Maxwell. — Przypuszczam, że podejmowano takie próby. Jestem prawie pewien, że ktoś tego próbował. Gdyby się powiodło, to faktycznie byłaby wielka rewelacja.

— Czyżbyś sądził, że Diabeł rzeczywiście istnieje? — zainteresowała się Carol.

— Dwa wieki temu ludzie dokładnie w ten sam sposób pytali, czy naprawdę istnieje coś takiego jak trolle i gobliny. — I duchy — dodał Duch.

— Mówicie poważnie? — wykrzyknęła Carol.

— Po prostu nie możemy wykluczyć istnienia Diabła — wyjaśnił Maxwell.

— Żyjemy w zdumiewających czasach — oznajmił Oop. Pewnie pamiętacie, że już wcześniej zwracałem na to uwagę. Rozprawiliście się z wszystkimi przesądami i gadaniem starych bab, wyłuskując z tego samą prawdę. A przecież moi współcześni doskonale wiedzieli o istnieniu trolli, goblinów i całej reszty. Po prostu opowieści o nich zawsze opierały się na faktach. Tylko później, kiedy człowiek ucywilizował się, tak to chyba nazywacie, zaprzeczył owym faktom. Nie mógł sobie pozwolić na wiarę w coś, czego nie umiał poddać swojej woli, mimo że stykał się z tym od dawna. Wszystkie niezrozumiałe postacie i zjawiska ukrył bezpiecznie w legendach i mitach. W związku z tym, podczas gdy populacja ludzka rozwijała się nadal, te istoty znalazły się w głębokim regresie. I dobrze się stało, bowiem w tamtych czasach nie były to tak czarujące postacie, jakimi wydają się wam dzisiaj.

— A co z Diabłem? — spytał Duch.

— Pewnie istnieje. Któż to może wiedzieć? Wiele z tych istot

udało się wam odkryć na nowo, wywabić z różnych kryjówek i pozwolić im żyć w specjalnie utworzonych rezerwatach. Ale istniały także rodzaje nie poznane przez was jeszcze, niektóre z nich przerażające, a wszystkie z pewnością wstrętne — zaperzył się Oop.

— Wygląda na to, że nie lubisz ich za bardzo — zauważyła Carol.

— Nie, panienko — przytaknął Oop.

— Wydaje mi się, że może to być znakomity temat badań Czasu — rzekł Duch. — Szczególnie, że istniało tak wiele gatunków owych istot. Ciekawe, czy wszystkie z nich można zaliczyć do Naczelnych?

— Myślę, że tak — zawyrokował Maxwell.

— Lecz są to chyba Naczelne zupełnie odmiennego pokroju niż mały i człowiek.

— Całkowicie odmiennego pokroju — dodał Oop. — Małe, złośliwe śmierzdziele.

— Jestem pewna, że Czas zajmie się kiedyś tą problematyką. Chyba sprawa jest wam dobrze znana? — upewniła się Carol.

— Musi być znana. Powtarzam im to wystarczająco często, w dodatku z odpowiednimi komentarzami — stwierdził Oop.

— Czas i bez tego ma pełne ręce roboty — przypomniał im Maxwell. — Zbyt obszerną tematykę i całą przeszłość do przeanalizowania.

— I do tego żadnego poważnego źródła finansowania dodała Carol.

— Tak mówi lojalny pracownik Czasu — oznajmił Maxwell.

— Ale to prawda! — krzyknęła. — Inne dyscypliny mogłyby wiele skorzystać z badań Czasu. Przekazom historycznym nie można wierzyć. W wielu przypadkach okazywało się, że historia

w takich czy innych szczegółach różniła się od zapisów. Często była to kwestia emfazy, uprzedzenia czy chociażby tylko interpretacji, co zawsze znajdowało odzwierciedlenie w przekazach historycznych. Czy więc jakiegokolwiek inne wydziały przekazują choć drobne fundusze na badania Czasu? Odpowiem na to pytanie. Nie przekazują. A w każdym razie rzadko które to czynią. Jak do tej pory znakomicie układała się współpraca z Wydziałem Prawa, ale to tylko jeden z wyjątków. Boją się. Nie chcą dopuścić do zrujnowania ich wygodnych, małych światów. Weźmy chociażby tę historię z Shakespeare'em. Można by sądzić, że Anglistyka powinna być wdzięczna za odkrycie, że to Oxford był autorem słynnych dramatów. Jak by nie patrzeć, spór o autorstwo dzieł toczył się od wielu już lat. A przecież kiedy Czas ujawnił prawdziwego autora sztuk, natychmiast rozległy się głosy oburzenia.

— A teraz Czas ściąga Shakespeare'a, żeby opowiedział wszystkim, dlaczego nie pisał sztuk — wtrącił Maxwell. — Nie sądzisz, że owo posunięcie zakrawa już na przesadę?

— Przecież nie o to chodzi — odparła Carol. — W założeniu ma to być wielkie widowisko historyczne, które powinno przynieść instytutowi trochę pieniędzy. Od początku był to główny cel przedsięwzięcia. Są gotowi na wszystko, co może przynieść jakiś dochód. A przy okazji psują sobie reputację, niczym banda klaunów. Nie przypuszczacie chyba, że dziekan Sharp lubuje się...

— Znam Harlowa Sharpa osobiście i możesz mi wierzyć, że czerpie z całego przedstawienia prawdziwą satysfakcję przerwał jej Maxwell.

— To bluźnierstwo! — wykrzyknął Oop z udanym przerażeniem. — Nie wiesz, że możesz być ukrzyżowany za takie

gadanie?

— Stroicie sobie ze mnie żarty — oburzyła się Carol. Kpicie ze wszystkich i wszystkiego. Ty także, Peterze Maxwellu.

— Przepraszam za nich — rzekł uspokajająco Duch. — Żaden z nich nie ma na tyle przyzwoitości, żeby to uczynić. Musiałabyś stykać się z nimi na co dzień przez dziesięć czy piętnaście lat, żeby zrozumieć, że w rzeczywistości nie mieli nic złego na myśli.

— Nadejdzie kiedyś taki dzień, że Czas będzie miał fundusze na realizację wszystkich pomysłów, wszystkich odkładanych od lat ukochanych projektów — dodała po chwili Carol. — Nie będzie nam wtedy zależało na współpracy z innymi wydziałami. Jeżeli tylko dojdzie do skutku ta transakcja...

Urwała gwałtownie. Zesztywniała i siedziała bez ruchu, najwyraźniej pragnąc zakryć dłonią usta, żeby zdusić świeżo wypowiedziane słowa, i tylko żelazna wola powstrzymywała ją przed uczynieniem tego gestu.

— Jaka transakcja? — spytał Maxwell.

— Chyba się domyślam, o co chodzi — odezwał się Oop. Dotarły do mnie pewne plotki, takie skromne, niewinne ploteczki, do których nie przywiązywałem wagi. Chociaż, rozważając to dokładniej, owe niejasne, ciche plotki są właśnie jedynymi, które potem okazują się być prawdą. Te bulwersujące, hałaśliwe, odrażające...

— Tylko nie zaczynaj przemowy, Oop — wtrącił Duch. Powiedz nam po prostu, co słyszałeś.

— To niewiarygodne! — ciągnął swoje Oop. — Nie uwierzylibyście w to nigdy. Nigdy, póki żyjecie...

— Och, przestań! — wykrzyknęła Carol. Wszyscy zapatrzyli się na nią z wyczekiwaniem.

— Wymknęło mi się — mruknęła. — Zagalopowałam się

trochę. Zapomnijcie o tym, proszę was bardzo. Nawet nie jestem pewna, czy to prawda.

— Jasne — stwierdził sarkastycznie Maxwell. — Byłaś narażona tego wieczoru na prymitywne, pozbawione manier towarzystwo i...

Rozpaczliwie pokręciła głową.

— Faktycznie, nie ma sensu prosić was o cokolwiek. Nie mam zresztą do tego prawa. Pozostaje mi jedynie powiedzieć wam wszystko i wierzyć w waszą dyskrecję. Właściwie gotowa jestem ręczyć za tę informację. Otóż Czas otrzymał ofertę na sprzedaż Artefaktu.

W pokoju zaległa nagle cisza. Wszyscy trzej siedzieli bez ruchu, niemalże wstrzymując oddechy. Dziewczyna przenosiła wzrok kolejno z jednej twarzy na drugą, nie pojmując przyczyn aż tak silnej reakcji.

W końcu Duch poruszył się nieznacznie i w zalegającej pokój niesamowitej ciszy rozległ się szelest, jak gdyby jego biały całun był autentycznym, szeleszczącym przy poruszeniu prześcieradłem.

— Nie jesteś w stanie pojąć ogromu przywiązania, jakie łączy nas trzech z Artefaktem — powiedział.

— Wprawiałaś nas w osłupienie — dodał Oop.

— Artefakt — wycedził Maxwell. — Artefakt, jedyne wielkie misterium, jedyna rzecz na tym świecie, która wszystkim i wszystkiemu urąga...

— Śmieszny kamyczek — wtrącił Oop.

— Dlaczego znowu kamyczek? — zapytał Duch.

— O co chodzi? — odezwała się zdezorientowana Carol. Może wreszcie wy mi wyjaśnicie, czymże jest ten Artefakt. Tego właśnie ani Duch, ani ktokolwiek inny nie był w stanie uczynić,

stwierdził w myślach Maxwell. Znaleziony dziesięć lat temu przez jedną z ekspedycji Czasu na szczycie wzgórza w epoce jurajskiej, przetransportowany został do teraźniejszości wielkim nakładem sił i środków. Przeniesienie w czasie tak wielkiej masy wymagało zastosowania odpowiednio potężnego źródła energii, a możliwe okazało się to jedynie poprzez wysłanie w przeszłość przenośnego reaktora atomowego, ten zaś musiał być transportowany w częściach i składany na miejscu. Potem trzeba było sprowadzić go z powrotem, jako że żaden przedmiot tego typu, choćby tylko z powodów etycznych, nie mógł być pozostawiony w przeszłości, nawet tak odległej jak jura.

Pierwszy odezwał się Duch:

— Nie umiem odpowiedzieć na twoje pytanie. Nikt nie jest w stanie tego wyjaśnić.

Duch miał rację. Nikt nie był w stanie powiedzieć cokolwiek sensownego o Artefakcie. Masywny blok z niewiadomego materiału, nie będącego, jak się ostatnio okazało, ani minerałem, ani metalem, chociaż początkowo sądzono, że jest to minerał, potem zaś, że metal — materiału, nie poddającego się żadnym badaniom. Masa czerni o długości dwóch metrów, a wysokości i szerokości jednego metra, która nie absorbowwała ani nie emitowała energii żadnego typu oraz w pełni odbijała światło i wszelkie inne rodzaje promieniowania, której nie można było ani rozciąć, ani rozłupać, natomiast strumienie lasera ginęły w niej bez śladu. Niczym nie można było go zarysować, nie było sposobu na pobranie próbki — nie udało się zdobyć na jego temat żadnej informacji. Spoczywał na postumencie w głównym holu Muzeum Czasu i był jedyną rzeczą na świecie, na temat której nawet przypuszczenia wydawały się bez wyjątku bezsensowne.

— Zatem skąd ta konsternacja? — spytała Carol.

— Ponieważ nasz Peter ma przecucie, że Artefakt mógł być kiedyś bogiem niziołków — wyjaśnił po swojemu Oop. Oczywiście, o ile te wszawe, małe śmierdziele były w ogóle w stanie wynaleźć boga.

— Przykro mi. Naprawdę mi przykro. Nie wiedziałam. Być może, gdyby Czas był zaznajomiony...

— Jak do tej pory brakowało wystarczających danych, by w ogóle o tym mówić — odezwał się Maxwell. — To tylko teoria, a raczej jedynie refleksja, wysnuta na podstawie pewnych uwag zasłyszanych wśród niziołków. Oni sami tego nie wiedzą. To było tak dawno temu.

Tak dawno, dodał w myślach. Na miłość boską, prawie dwieście milionów lat temu!

.. 7 ..



— Ach, ten Oop — odezwała się Carol. — On mnie po prostu oszołomił. Ten jego śmieszny domek na końcu świata...

— Czułby się obrażony, gdyby słyszał, że nazywasz to domkiem — stwierdził Maxwell. — To chałupa i on jest z niej bardzo dumny. Właśnie jako z chałupy. Przeskok z jaskini do budynku byłby dla niego po prostu szokiem. Prawdopodobnie czułby się bardzo nieszczęśliwy.

— Z jaskini? On rzeczywiście mieszkał w jaskini?

— Pozwól, że powiem ci coś o moim starym przyjacielu, Oopie. Jest strasznym łgarzem. Absolutnie nie wolno ci wierzyć we wszystko, co on opowiada. Weźmy chociażby kanibalizm...

— No, poczułam się trochę lepiej. Ludzie zjadający się nawzajem...

— Ależ nie, kanibalizm funkcjonował w rzeczywistości. Nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Ale to, czy Oop osobiście o mało co nie został wrzucony do kotła, jest zupełnie odrębną kwestią. Tylko w przypadku informacji ogólnych jego opowieści są wystarczająco wiarygodne. Kiedy natomiast zaczyna relacjonować swoje własne doświadczenia, należy bardzo krytycznie traktować jego słowa.

— Zabawne — powiedziała Carol. — Wielokrotnie widywałam go w instytucie i muszę przyznać, że nawet wzbudził moje

zainteresowanie, nie sądziłam jednak, że poznam go osobiście. Szczerze mówiąc, nigdy nie starałam się o to. Zaliczyłam go raczej do grupy ludzi, z którymi znajomość mogę sobie darować. Wydawało mi się, że powinien być nieokrzesany...

— Ależ on jest nieokrzesany — wtrącił Maxwell. — Ale niemniej czarujący — dodała.

Jasne, jesienne gwiazdy świeciły zimno w ciemnej głębinie nieba. Niemal całkowicie opustoszałe pasy komunikacyjne wiły się poprzez pasmo wzgórz. W głębokiej dolinie migotały porozrzucane światła miasteczka. Wiejący w stronę wzgórz wiatr niósł słaby zapach palonych liści.

— Ogień to wspaniała rzecz — powiedziała w zadumie Carol. — Powiedz mi, Peter, dlaczego nie używamy teraz ognia? Przecież tak łatwo go rozniecić. Postawienie kominka w każdym mieszkaniu nie powinno stanowić problemu.

— Były takie czasy, kilkaset lat temu, gdy w każdym domu, albo prawie w każdym domu znajdował się co najmniej jeden kominek — odparł Maxwell. — Czasami budowano je niemal w każdym pomieszczeniu. Wszystko to, cała zabawa w spędzanie czasu przy ogniu, była, oczywiście, już wówczas anachronizmem, wyrazem atawistycznego traktowania ogniska jako źródła ciepła oraz ochrony. W końcu jednak wyrośliśmy z tego.

— Nie sądzę, byśmy z tego wyrośli — zaprotestowała Carol. — Zarzuciliśmy ten zwyczaj i to wszystko. Odwróciliśmy się plecami do tego fragmentu naszej przeszłości. Potrzebę ognia odczuwamy nadal, choć jest to potrzeba czysto psychologiczna. Odkryłam to dziś wieczorem. Siedzenie przy ogniu było dla mnie bardzo ekscytujące, a jednocześnie uspokajało mnie. Może i jest to atawizm, ale on ciągle w nas tkwi.

— Oop nie może żyć bez ognia. Właśnie brak ognia przeżywał

najsilniej, gdy ekspedycja Czasu porwała go z przeszłości. Po pierwszych kontaktach z naszą rzeczywistością musiano go całkowicie odizolować na jakiś czas, był bardzo dokładnie strzeżony, bo nie chodziło przecież o uwięzienie go. Ale kiedy ponownie stał się panem samego siebie, że tak to nazwę, otrzymał na własność ów skrawek ziemi na krańcu miasteczka i wybudował sobie ten barak. Prymitywną chałupę, ale o taką mu właśnie chodziło. Z nieodzownym kominkiem. I, rzecz jasna, z ogrodem. Powinnaś zobaczyć jego ogród. Idea uprawiania ziemi była dla niego czymś zupełnie nowym, czymś, co nikomu w jego czasach nie przyszłoby nawet do głowy. Gwoździe, piła i młotek, a nawet zwykła deska, podobnie jak wiele innych rzeczy, to wszystko były dla niego nowości. Jednak jego zdolności adaptacyjne okazały się niezwykle wysokie. Zaakceptował te nowe narzędzia i nowe idee wyjątkowo gładko. Nic nie było w stanie go zdziwić. Zbudował swoją chatę z drewnianych belek, używając młotka, piły i gwoździ oraz reszty niezbędnych materiałów. Myślę jednak, że najwspanialszy ze wszystkiego wydał mu się ogród, a co za tym idzie możliwość hodowania roślin jadalnych, zamiast zbierania dzikich odmian. Zauważyłaś z pewnością, że nadal jest zafascynowany obfitością pożywienia i jego powszechną dostępnością.

— Jak i dostępnością alkoholu — dodała Carol. Maxwell zaśmiał się.

— Jeszcze jedna idea, którą przyjął bez zastrzeżeń. Można by wręcz powiedzieć, że stało się to jego hobby. Produkuje własny napitek. Posiada aparaturę ukrytą na tyłach komórki na drewno i produkuje najgorszą księżycówkę, jaka kiedykolwiek sączyła się przez twoje gardło. Wyjątkowo ohydna krzakowa.

— Ale nie daje jej gościom. Dzisiaj zaserwował przecież

whisky.

— Najpierw musi się z tobą zaprzyjaźnić, zanim pozwoli ci spróbować swego specjału — wyjaśnił Maxwell. — Te słoiki na przetwory, które wyjmowałam...

— Zdziwiłam się, po co mu te słoje. Wyglądały na puste. — Czysta, najpodlejsza księżycówka, oto co w nich było. — Mówiłeś, że kiedyś trzymano go pod nadzorem. A teraz?

Jak ściśle jest związany z Czasem?

— Znajduje się pod opieką instytutu, ale nie jest to żaden formalny związek. Nie byłabyś jednak w stanie się go pozbyć. Jest bardziej lojalnym stronnikiem Czasu niż ty sama.

— A Duch? Mieszka tutaj, w Nadprzyrodzonym? Instytut także sprawuje nad nim pieczę?

— Skądże. Duch to zbłąkany kocur. Przebywa wszędzie tam, gdzie chce. Ma przyjaciół w każdym zakątku planety. O ile się orientuję, jest ważną postacią w Instytucie Religioznawstwa Porównawczego na Uniwersytecie Himalajskim. Wpada tu tak często, jak tylko ma na to ochotę. On i Oop przypadli sobie do gustu właściwie od momentu, gdy Nadprzyrodzony nawiązał pierwszy kontakt z Duchem.

— Nazywacie go Duchem, Peter. A kim on właściwie jest?

— Cóż, po prostu duchem.

— Ale czym duchem?

— Nie wiem. I nie sądzę, by ktoś to wiedział.

— Przecież jesteś z Nadprzyrodzonego.

— Tak, oczywiście, ale wszystkie moje prace związane są z niziołkami, a w szczególności z goblinami, choć w zasadzie interesuję się wszystkimi rodzajami. Nawet banshee, a nie ma istoty bardziej podłej i bezrozumnej niż banshee.

— Ale są przecież także specjaliści od duchów. Co oni o nim

mówią?

— Z tego co wiem, mają kilka teorii. Istnieją całe tony literatury na temat duchów, ale nigdy nie miałem czasu, żeby się zainteresować tym problemem. Wiem, że dawniej, we wczesnych wiekach panował pogląd, iż każdy po śmierci przeistacza się w ducha. Obecnie, zdaje się, teoria ta została całkowicie odrzucona. Muszą zaistnieć specjalne warunki, w których człowiek po śmierci zamienia się w ducha, ale nie wiem jakie.

— Największe wrażenie robi jego twarz — powiedziała Carol. — Jest to trochę przerażające, ale także fascynujące. Musiałam się ostro pilnować, żeby nie przyglądać mu się uporczywie. Owa mroczna czeluść wyzierająca spod prześcieradła, choć nie przypuszczam, żeby to było faktycznie prześcieradło. Tylko od czasu do czasu błysk oczu. Drobne ogniki, które mogłyby być oczami. A może mi się wydawało?

— Nie, ja też to widziałem.

— Czy mógłbyś dźwignąć mojego głupiego kota i postawić go w jakiś sposób na nogi? Zawsze po żarciu śpi jak zabity i nie sposób go poruszyć. A spać może zawsze i w każdym miejscu. W zasadzie interesuje go wyłącznie jedzenie i spanie.

Maxwell pochylił się i dźwignął kocura na nogi, ten zamruczał i cicho warknął, ale spał dalej.

Maxwell wyprostował się i opadł z powrotem na krzesło, po czym zapatrzył się w niebo.

— Popatrz na gwiazdy — rzekł. — Nie ma nic piękniejszego niż niebo oglądane z Ziemi. Cieszę się, że jestem tu z powrotem.

— Co będziesz teraz robił?

— Kiedy odstawię cię bezpiecznie do domu, zabiorę swój bagaż i wrócę do Oopa. On pewnie wyciągnie jeden z tych gustownych słoików, odkręci, po czym przegadamy całą noc,

popijając jego specjał, aż może gdzieś o świcie uda mi się położyć do łóżka, które Oop trzyma dla gości, on natomiast zwinie się w kłębek na swoim stosie liści...

— Zauważyłam tę kupę liści w rogu i zżerała mnie ciekawość, nie śmiałam jednak zapytać o nie.

— Od początku sypia na liściach, tłumacząc, że w łóżku mu niewygodnie. Nic dziwnego, w jego czasach posłanie z liści uważane było za szczyt luksusu...

— Znowu próbujesz mnie nabierać?

— Skądże znowu — zaprotestował. — To szczerą prawdą. — Poza tym nie pytałam o to, co zrobisz dzisiejszego wieczora. Chciałam wiedzieć, co będziesz robił dalej? Nie zapominaj, że umarłeś.

— Będę tłumaczył — odparł Maxwell. — Będę bez przerwy wyjaśniał. Jestem pewien, że gdziekolwiek bym się nie obrócił, wszędzie będę się natykał na ludzi zadających to samo pytanie: co się naprawdę stało? Możliwe nawet, że wszczęte zostanie dochodzenie, chociaż żywię głęboką nadzieję, że obejdzie się bez tego. Przypuszczam jednak, że nie zostawią mnie w spokoju.

— To przykra historia — odezwała się Carol. — Chociaż, z drugiej strony, cieszę się, że szczęśliwie było was dwóch.

— Gdyby Transport potrafił rozpracować problem, mógłby zrobić świetny interes. Każdy z nas mógłby mieć ukrytego gdzieś, na wypadek niebezpieczeństwa, sobowtóra...

— Moim zdaniem to niemożliwe — stwierdziła Carol. Na pewno nie w tym sensie, w jakim to przedstawiłeś. Ten drugi Peter Maxwell był przecież drugim człowiekiem... och, sama nie wiem, jak to wyrazić. Jest już zbyt późna godzina na podobne rozważania, wydaje mi się jednak, że pomysł jest niewykonalny.

— Tak, chyba masz rację — zgodził się Maxwell. — To był

głupi pomysł.

— Spędziłam bardzo miły wieczór. Dziękuję ci za wszystko. Ubawiłam się setnie.

— Ponadto Sylwester dostał mnóstwo befsztyków.

— Jasne, na pewno nie zapomni ci tego. Uwielbia ludzi, którzy dają mu befsztyki. Jest strasznym żarłokiem.

— Mam jeszcze jedną sprawę — zagadnął Maxwell. — Nie powiedziałaś nam wszystkiego, a mianowicie: kto taki zgłosił chęć zakupu Artefaktu?

— Nie mam pojęcia. Wiem tylko, że napłynęła taka oferta, jak sądzę, wystarczająco korzystna dla Czasu, skoro jest rozważana. Po prostu usłyszałam przypadkiem fragment rozmowy, której nie powinnam była słyszeć. A czy ta informacja cokolwiek by zmieniła?

— Niewykluczone.

— Coś sobie przypominam — powiedziała. — Padło tam nazwisko, ale nie było to nazwisko składającego ofertę, a jedynie pośrednika. W każdym razie takie odniosłam wrażenie. Wypadło mi to z pamięci, dopóki o to nie spytałeś. Ten człowiek nazywa się Churchill. Mówi ci to coś?

.. 8 ..



Kiedy Maxwell wrócił, dźwigając swoją torbę, Oop siedział przed kominkiem i obcinał paznokcie u nóg za pomocą wielkiego scyzoryka.

Wskazał nożem w kierunku łóżka i powiedział:

— Walnij to tam, a potem chodź i siadaj koło mnie. Właśnie wrzuciłem do ognia dwie nowe szczapy i mam tu słoik, opróżniony ledwie do połowy, a w zapasie dwa pełne.

— Gdzie podział się Duch? — spytał Maxwell.

— Och, rozpląnął się gdzieś. Nie mam pojęcia, dokąd go wywiało, nigdy się nie opowiada. Ale z pewnością wkrótce wróci. Zwykle znika na krótko.

Maxwell położył torbę na łóżku, podszedł do kominka i usiadł, opierając się o obmurowanie z surowych polnych kamieni.

— Błaznowałeś dzisiaj zdecydowanie więcej niż zwykle. Co ci strzeliło do głowy? — spytał.

— Wszystko przez jej wielkie oczy — odparł Oop, szczerząc zęby. — Kiedy dostrzegłem w nich pierwsze oznaki przerażenia... Wybacz Peter, ale po prostu nie mogłem się powstrzymać.

— Cała ta gadka o kanibalizmie i wymiotach... To było dość wulgarne.

— Cóż, chyba trochę mnie poniosło. Ale ludzie właśnie tego

spodziewają się po prymitywnym neandertalczyku — przyznał.

— Ta dziewczyna nie jest głupia — stwierdził Maxwell. Tak zgrabnie podsunęła nam opowieść o Artefakcie, że nigdy nie spodziewałbym się po niej czegoś podobnego.

— Podsunęła?

— Przecież to oczywiste. Nie sądzisz chyba, że po prostu wymknęło jej się, jak usiłowała nam to zasugerować?

— Może masz rację, nie zastanawiałem się nad tym. Ale po cóż miałyby to robić?

— Podejrzewam, że nie podoba jej się pomysł sprzedaży Artefaktu. Wykoncypowała, że jeżeli opowie to takiemu gadule jak ty, już jutro przed południem będzie o tym głośno w całym miasteczku. Doszła widocznie do wniosku, że wielki szum wokół sprawy może przyczynić się do zerwania transakcji.

— Przecież doskonale wiesz, Peter, że ja nie jestem plotkarzem.

— Ja wiem. Ale dziś wieczorem zachowywałeś się jak najgorszy plociuch.

Oop złożył scyzoryk i wsunął go do kieszeni, po czym odkręcił opróżniony do połowy słoik i wręczył go Maxwellowi. Profesor uniósł go do ust i pociągnął spory łyk. Ognisty płyn spłynął po jego gardle jak cięcie noża, wywołując natychmiastowe krztuszenie się. Pomyślał, że chciałby choć raz móc napić się tego świństwa bez takich atrakcji. Odstawił słoik i siedział, starając się wyrównać oddech i opanować dreszcze.

— Mocna rzecz — powiedział Oop. — Najlepsza partia, jaką udało mi się wyprodukować od dłuższego czasu. Zwróciłeś uwagę, jaki klarowny?

Maxwell skinął głową, nie mogąc wydobyć z siebie głosu.

Oop sięgnął po słoik, podniósł do ust i przechylił, obniżając

poziom płynu o dobre trzy centymetry. Wreszcie opuścił go i przytulił czule do owłosionej piersi. Wypuścił powietrze z taką siłą, że płomień w kominku zatańczyły. Wolną ręką pogładził szkło.

— Paliwo pierwsza klasa — powiedział.

Otarł wargi wierzchem dłoni i zapatrzył się w ogień.

— Za to ciebie z pewnością nie mogła wziąć za gadułę odezwał się w końcu. — Zauważyłem, że zrobiłeś parę finezyjnych uników, gdy rozmowa zaczynała dotyczyć twojej osoby. Cały czas lawirowałeś wokół prawdy.

— Może dlatego, że sam nie znam całej prawdy — odparł Maxwell. — Nie wiem też, co z tym wszystkim robić. Chcesz posłuchać mojej historii?

— Jasne, jeśli naprawdę tego chcesz. Nie musisz mi o niczym opowiadać tylko z powodu naszej starej przyjaźni. Wiesz doskonale, że pozostaniemy przyjaciółmi, nawet jeżeli nie piśniesz ani słowa. Ja nie odczuwam potrzeby poznania prawdy. Mamy tyle innych tematów, na które możemy porozmawiać. Maxwell pokręcił głową.

— Muszę ci opowiedzieć, Oop. Muszę podzielić się tym z kimś, a ty jesteś jedynym, któremu mogę zaufać. To zbyt wielki ciężar, bym mógł go sam udźwignąć.

Oop podał mu słoik.

— Łyknij sobie jeszcze i zacznij, kiedy tylko zechcesz. Jedno, czego nie mogę pojąć, to dlaczego skrewił Transport? Nie mieści mi się to w głowie. Należałoby się spodziewać, że kryje się za tym coś innego.

— Masz całkowitą rację — odrzekł Maxwell. — Otóż znajduje się gdzieś planeta, jak sądzę, gdzieś niezbyt daleko. Jest to planeta swobodnie rotująca, nie związana z żadną gwiazdą,

choć wydaje mi się, że gdyby tylko chciała, mogłaby wprowadzić się do Układu Słonecznego.

— Ale to spowodowałyby ogromne perturbacje. Zostałyby zakłócone orbity wszystkich planet.

— Niekoniecznie. Nie musiałyby wybierać orbity w tej samej płaszczyźnie, na której znajdują się pozostałe planety. Wtedy efekt jej oddziaływania byłby znikomy.

Podniósł słoik, zamknął oczy i pociągnął tęgi łyk. Mimowolnie głowę poderwało mu daleko do tyłu, a żołądek skoczył w górę jak piłka. Opuścił słoik i oparł się ponownie o prymitywną obmurówkę paleniska. W kominie wiatr jęczał i zawodził żałośnie, ale oni byli oddzieleni od tego ponurego wycia surowymi deskami ścian chałupy. W kominku osunął się jeden z pniaków, wyrzucając w górę snop iskier. Tańczące wysoko płomienie rozrzucały po całej izbie ganiające się po ścianach cienie.

Oop sięgnął i wyjął z rąk Maxwella słoik, ale nie zaczął od razu pić. Trzymał go na podołku, tuląc do ciała.

— Zatem tamta planeta przechwyciła i skopiowała twój wzorzec falowy — powiedział. — W ten sposób zrobiło się was dwóch.

— Skąd wiesz o tym?

— Dedukcja. Najbardziej logiczne wytłumaczenie tego, co zaszło. Musiało być was dwóch. Rozmawiałem z tamtym, który wrócił przed tobą, i był on dokładnie takim samym Peterem Maxwellem jak ty, który siedzisz obok mnie. Powiedział wtedy, że nie ma żadnego smoka i że cały ten szum wokół Jenociej Skóry to kupa bzdurnych plotek i nic więcej. Dlatego wrócił do domu poza kolejnością.

— Teraz rozumiem — wtrącił Maxwell. — Dziwiłem się,

dlaczego wrócił tak szybko.

— Szczerze mówiąc, jestem w głupiej sytuacji — wyznał Oop.
— Sam nie wiem, czy mam się cieszyć, czy rozpaczać. Pewnie jedno i drugie po trochu, z odrobiną zadumy nad dziwnymi drogami ludzkiego przeznaczenia. To byłeś ty, a więc kiedy umarłeś, straciłem przyjaciela. Nie ulega wątpliwości, że fizycznie i psychicznie była to istota ludzka, a jej życie dobiegło kresu w postaci tragicznej śmierci. Teraz zjawiłeś się ty i tak jak poprzednio straciłem przyjaciela, teraz utraconego przyjaciela odzyskałem, ponieważ jesteś równie prawdziwym Peterem Maxwelllem jak tamten.

— Mówiono mi, że był to wypadek.

— Nie jestem pewien. Wiele się nad tym zastanawiałem. A teraz, kiedy wróciłeś, mam jeszcze więcej wątpliwości. On schodził z pasa transportowego, potknął się i upadł, uderzając głową...

— Jak można się potknąć schodząc z pasa, jeśli nie jest się pijanym albo kaleką? Trzeba być wyjątkowym niezdara. Przecież pas zewnętrzny przesuwają tak powoli...

— Wiem — wtrącił Oop. — Policja też miała wątpliwości. Ale nie znaleziono niczego podejrzanego, a jak wiesz, musieli wpisać coś do protokołu, żeby można było zamknąć śledztwo. Stało się to na odludziu, mniej więcej w połowie drogi stąd do Rezerwatu Goblinów. Nie było żadnych świadków, na pasie musiało być wtedy zupełnie pusto. Niewykluczone, że w nocy. Ciało znaleziono około dziesiątej przed południem. Ludzie musieli przejeżdżać tamtędy już od szóstej rano, ale prawdopodobnie po szybszym, wewnętrznym pasie, skąd trudno jest dostrzec coś, co znajduje się tuż przy szlaku. Zwłoki mogły tam spoczywać przez wiele godzin, zanim je znaleziono.

— Myślisz, że nie był to wypadek? Że mogło to być morderstwo?

— Nie wiem, ale myśl ta nie daje mi spokoju. Był tam jeden dziwny szczegół, dla którego nie znaleziono żadnego wytłumaczenia. W najbliższym otoczeniu ciała czuć było jakiś dziwny zapach, wyjątkowo nieprzyjemny odór, którego nikt nie potrafił zidentyfikować. Czy nie sądzisz, iż ktoś mógł odkryć, że jest was dwóch, i z jakichś powodów mu się to nie podobało?

— Kto mógł wiedzieć, że zostałem zdublowany?

— Ludzie z tamtej planety. O ile byli tam jacyś ludzie...

— Owszem, byli — odparł Maxwell. — Chociaż wszystko było tam tak zdumiewające...

Wspomnienia ożyły, jakby znalazł się tam ponownie, i zaczął opowiadać. Krystaliczna planeta — a w każdym razie taka, która na pierwszy rzut oka wydawała się krystaliczna. Rozległa szklista równina ciągnąca się w nieskończoność i krystaliczne sklepienie podparte krystalicznymi filarami sięgającymi pozornie aż do nieba, chociaż ich szczyty ukryte były w mlecznobiałej poświacie — filarami wznoszącymi się w górę, aby podtrzymać ów dziwny nieboskłon. Pusta przestrzeń, przywodząca na myśl opustoszałą salę balową ogromnych rozmiarów, wysprzątaną i przygotowaną do balu, czekającą na muzykę i tancerzy, którzy nigdy się nie zjawili i nie zjawią; salę oszałamiającą swym splendorem i nikomu niepotrzebną wytwornością, która miała zostać pusta przez całą wieczność.

Tak, sala balowa — ale bez żadnych ścian, ciągnąca się w nieskończoność; nawet nie po horyzont, gdyż ledwo widoczną linię, gdzie owo dziwne, mlecznobiałe niebo stykało się z krystaliczną równiną, trudno było nazwać horyzontem.

Stał tam przytłoczony niepomiernym ogromem — przy czym

wrażenia tego nie wywoływała ani bezgraniczna otchłań nieba, gdyż to zdawało się aż nazbyt namacalne, ani też ogromne odległości, bo i one nie były niewyobrażalne; poczuł się tak, jakby znalazł się nagle w pokoju domu gigantów i chciał trafić do drzwi, nie mając jednak żadnego pojęcia, gdzie szukać wyjścia. Nie było tam żadnego punktu orientacyjnego każdy filar stanowił dokładną kopię sąsiedniego, ani jedna chmura nie przesuwała się po niebie (jeśli w ogóle było to niebo), a każdy, choćby najmniejszy kawałek powierzchni nie wyróżniał się niczym z całej reszty, tak samo płaski i tak samo pokryty krystaliczną powłoką, ciągnącą się monotonnie we wszystkich kierunkach.

Chciał krzyknąć na cały głos, by przekonać się, czy jest tam jakaś żywa dusza, ale powstrzymał się, ogarnięty jakąś bezpodstawną, dopiero po dłuższej chwili uświadomioną obawą, że jakikolwiek głośniejszy dźwięk mógłby ów zimny, błyszczący i skrzący się splendor zamienić w chmurę lodowych kryształków. Panowała nienaturalna, nie zakłócona najłżejszym nawet szmerem cisza. Absolutna cisza, wrażenie chłodu i osamotnienia — cały ten przepych oraz nieskazitelna biel zdawały się być zagubionymi w samotności.

Powoli, ostrożnie, bojąc się, że nawet odgłos jego kroków może obrócić cały ten świat w perzynę, odwrócił głowę i w tej samej chwili kątem oka złowił jakieś poruszenie — mignięcie, sprawiające wrażenie ruchu, jakby coś poruszało się tak szybko, że oko nie było w stanie uchwycić nawet samego ruchu. Zamarł, czując, jak jeżą mu się wszystkie włosy na karku. Nie wyczuwał jednak żadnego zagrożenia. Był pod tak silnym wrażeniem obcości, wręcz nierealności tego otoczenia, całkowicie odbiegającego od wszelkich ludzkich realiów, że zdawało mu się, iż w każdej chwili może postradać zmysły, nie mając nawet szans

na to, by odwrócić wzrok.

Ale nic się nie stało. Zaczął się odwracać dalej, ostrożnie, cal po calu, aż spostrzegł, że stał zwrócony plecami do czegoś, co wyglądało na jakiś mechanizm — silnik? przyrząd? maszyna?

Nagle zrozumiał. Oto miał przed sobą owo dziwne urządzenie, które zmaterializowało go na krystalicznej planecie — tutejszy odpowiednik ziemskiego transmitera i odbiornika materii.

Tym samym zyskał pewność, że znalazł się poza Systemem Jenociej Skóry. Nigdy nie słyszał o istnieniu podobnej planety, w całym poznanym wszechświecie nie było takiego miejsca. Wskutek jakiegoś błędu nie wylądował na jednym z globów Systemu Jenociej Skóry, stanowiącym cel jego podróży, ale w jakimś odległym, zagubionym zakątku wszechświata, w miejscu, do którego ludzie nie dotrą może nawet i za milion lat, tak daleko od Ziemi, że dzieliła go od niej wprost niewyobrażalna odległość.

Raz jeszcze pochwycił wrażenie ruchu, jakby po krystalicznej powierzchni przesuwwały się ledwie widoczne, żywe cienie. Na jego oczach zjawy zwolniły nagle, stały się wyraźniejsze i dostrzegł teraz, że było ich wiele — jakichś mglistych, rozedrganych sylwetek, dziwnie zlewających się ze sobą, a jednak stanowiących odrębne istoty. Pomyślał z przerażeniem, że stanął twarzą w twarz z duchami ludzi, z widmami byłych mieszkańców tej planety.

— Przyjąłem ich realność za pewnik — powiedział do Oopa. — Niejako założyłem, że są to mieszkańcy planety. Nie miałem zresztą innego wyjścia. Gdybym zwątpił w ich istnienie, zostałbym tam sam jak palec pośród nieskończonej, krystalicznej równiny. Być może ktoś inny, ktoś z ubiegłego stulecia nie pogodziłby się z tym faktem, uznałby owe cienie za wytwór

własnej wyobraźni, ale ja spędziłem zbyt wiele godzin z Duchem, żeby wątpić o realności zjaw. Zbyt wiele miałem do czynienia ze zjawiskami nadprzyrodzonymi, aby szukać jakichś pokrętnych uzasadnień istnienia stworzeń i środowiska nie mieszczących się w kategoriach ludzkiego rozumowania. A co najdziwniejsze, co jednocześnie podniosło mnie na duchu — one w jakiś sposób wyczuły, że ja zaakceptowałem ich naturę.

— I to cała tajemnica? — zapytał Oop. — Planeta duchów?

Maxwell pokiwał głową:

— Oto właśnie przykład klasycznego podejścia do sprawy. Pozwól jednak, że zadam ci pytanie. Czym według ciebie jest duch?

— Upiorem — mruknął Oop. — Zjawą.

— Ale co masz na myśli, mówiąc: upiór? Zdefiniuj mi zjawę.

— Dobra, dobra — zachnął się Oop. — Żartowałem tylko, więc nie stawiaj mnie od razu pod szubienicą. Zdaję sobie świetnie sprawę z tego, że nie wiemy dokładnie, czym jest duch. Nawet Duch na dobrą sprawę tego nie wie. Wie tylko tyle, że istnieje, a przecież kto jak nie on powinien znać prawdę. Wiem, że jego też to dręczyło, wielokrotnie się nad tym zastanawiał. Kontaktował się nawet z innymi duchami, ale nadal nic pewnego nie wiadomo. Wynika stąd, że w obliczu zjawisk nadprzyrodzonych musimy się poddać...

— Zjawisk niezrozumiałych — wtrącił Maxwell.

— Może to jakiś rodzaj mutacji? — zasugerował Oop.

— Tak właśnie uważał Collins, ale pozostał w tych sądach osamotniony. Ja też się z nim nie zgadzałem, ale teraz, po wizycie na krystalicznej planecie, nie uważam już jego teorii za bzdurę. Co się dzieje z gatunkiem, który osiągnie kres swego istnienia, gdy jako gatunek minie swoje dzieciństwo, wiek dojrzały,

a potem starość? Gatunki umierają podobnie jak jednostki, umierają ze starości. Co się wówczas dzieje? Oczywiście, należałoby się spodziewać, że nic; po prostu wymierają. Załóżmy jednak, że istnieje powód nie pozwalający tak po prostu umrzeć, zmuszający do tego, żeby trwać, żeby kurczowo trzymać się życia. Jakiś nadrzędny powód, na tyle istotny, że cała rasa nie może pozwolić sobie na luksus wymarcia.

— Jeżeli przeobrażenie się w ducha jest rzeczywiście mutacją, w dodatku mutacją świadomą, a ponadto sprawa dotyczy społeczeństwa na tyle rozwiniętego, że potrafiącego kontrolować mutację... — Oop przerwał i spojrzał pytająco na Maxwella. — Czy myślisz, że to możliwe?

— Chyba tak. Szczerze mówiąc, coraz bardziej jestem przekonany do tej teorii.

Oop wyciągnął w jego stronę słoik od przetworów.

— Napij się — powiedział. — Jak skończysz, ja też sobie jeszcze łyknę.

Maxwell wziął słoik, ale nie uniósł go do ust, wahając się przez chwilę. Oop sięgnął do sterty drzewa, olbrzymią dłonią objął polano i wrzucił je do ognia. W górę komina trysnął snop iskier. Na zewnątrz nocny wiatr zawodził między deskami okapu.

Uniósł słoik i napił się. Płyn spłynął mu przez gardło jak strumień lawy. Czknął, ponownie wyrażając w duchu życzenie, by choć raz mógł przełknąć ten trunek bez krztuszenia się. Wręczył słoik Oopowi. Ten uniósł go, ale nagle gwałtownie opuścił, zerkając sponad krawędzi szkła na Maxwella.

— Mówiłeś, że oni muszą żyć, że istnieje jakiś powód, który nie pozwala im po prostu umrzeć i każe trzymać się kurczowo życia wszelkimi dostępnymi środkami.

— Właśnie — odparł Maxwell. — Tym powodem jest

informacja. Wiedza. Cała planeta jest nafaszerowana informacją, jakby to był magazyn wszelkiej wiedzy. Wątpię, czy wszystko co wiemy, stanowi choć dziesiątą część tego, co tam zgromadzono. Cała reszta to wiedza nowa, nieznana nam, a pewna część tego materiału całkowicie wykracza poza granice naszej wyobraźni. Taki zasób wiadomości moglibyśmy osiągnąć na pewno nie wcześniej niż za milion lat, o ile w ogóle bylibyśmy w stanie ją zgromadzić. Jest tam zmagazynowana, jak przypuszczam, z wykorzystaniem elektroniki, w taki sposób, że każdy atom zawiera jeden bit informacji. Każde dzieło zostało przeniesione na arkusz metalowej folii, gdzie, na wzór kartek w książkach, poukładanych i sklejonych w odpowiedniej kolejności, oddzielne informacje zapisywane są w kolejnych warstwach atomów, nie wątpię bowiem, że ten typ zapisu wykorzystuje warstwową strukturę krystaliczną metalu. Kiedy przeczytasz treść pierwszej warstwy, przechodzisz do następnej. Dokładnie tak samo jak w zwykłej książce, każda warstwa atomów odpowiada jednej stronie, a kolejna, znajdującą się niżej, następnej stronie. Jedna książka w jednym, cieńszym albo grubszym arkuszu folii. Nie pytaj mnie tylko, ile warstw atomów zawiera taka folia, nie podejmuję się nawet zgadywać. Myślę, że co najmniej setki tysięcy.

Oop podniósł szybko słoik i pociągnął z niego sporą porcję. Strumyk alkoholu spłynął po jego owłosionej piersi. Pozwolił sobie na potężne beknięcie.

— Nie mogą zostawić zgromadzonej wiedzy na pastwę losu — kontynuował Maxwell. — Muszą przekazać ją komuś, kto będzie potrafił z niej skorzystać. To właśnie skłania ich do trzymania się życia, aż do chwili, kiedy przełożą bibliotekę w godne ręce. Na miłość boską, dokładnie w takiej sytuacji się znalazłem.

Upoważnili mnie do dokonania sprzedaży w ich imieniu.

— Do sprzedaży w ich imieniu!? Banda duchów, których istnienie wisi na włosku!? Cóż oni mogą chcieć? Jaką zaproponowali cenę?

Maxwell uniósł dłoń i otarł czoło, które niespodziewanie pokryło się kropelkami potu.

— Nie wiem — powiedział.

— Nie wiesz!? Jak możesz cokolwiek sprzedawać, jeśli nie znasz wartości towaru, nie wiesz, jaka jest cena wywoławcza?

— Stwierdzili, że przełożą mi później. Mówili, żeby znaleźć kogoś zainteresowanego i wtedy przyślą mi informację o cenie.

— To jakiś kretyński sposób załatwiania interesów stwierdził zde gustowany Oop.

— Tak, wiem — przyznał Maxwell.

— Nawet nie zasugerowali wielkości ceny?

— Nie, w najmniejszym stopniu. Próbowałem im to wytłumaczyć, ale oni nie mogli, a może raczej nie chcieli zrozumieć. Od tamtej pory już setki razy zastanawiałem się nad rodzajem i wielkością ewentualnej ceny, ale nie doszedłem do niczego sensownego. Wszystko zasadza się na pytaniu, czego mogłaby chcieć gromada takich jak oni istot. Jak mi życie miłe, nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie.

— Cóż, chyba jednak dobrze wiedzieli, na kogo zastawić swoje sidła. Jak masz zamiar się z tym uporać? — zapytał Oop.

— Pójdę i porozmawiam z Arnoldem.

— To nie będzie wcale łatwe.

— Zrozum, że muszę porozmawiać właśnie z Arnoldem, z nikim innym. Wszystko trzeba zachować w tajemnicy, nie można dopuścić do rozprzestrzenienia się plotek. Przyznasz, że sprawa jest co najmniej niezwykła. Jeżeli informacja o transakcji

dostanie się do środków masowego przekazu, czy chociażby dotrze do uszu zwykłych plotkarzy, uniwersytet będzie musiał obejść się smakiem. Jeśli wszyscy zaczną o tym gadać, tamci coś wyniuchają i nie dojdziemy do porozumienia, a sam rozumiesz, że nie można tego wykluczyć, przecież działam zupełnie na oślep, wtedy cała Galaktyka skrzyłaby się ze śmiechu. To musi pozostać pomiędzy Arnoldem i mną...

— Arnold jest wielkim, zarozumiałym głupcem, Peter. Wiesz o tym równie dobrze jak ja. To tylko urzędnik. Ma w swoich rękach losy uniwersytetu. Nie dbam o to, czy ma tytuł rektora czy nie, w rzeczywistości jest jedynie urzędnikiem. Sprawy naukowe uniwersytetu nie obchodzą go ani trochę. Nie licz na to, że nadstawi karku i za trzy planety pełne wiedzy.

— Rektor Uniwersytetu musi być urzędnikiem...

— Gdyby sprawa wynikła kiedy indziej, może miałbyś pewne szanse — stwierdził posępnie Oop. — Ale akurat teraz, kiedy Arnold balansuje na cienkiej linii, kiedy trwa jeszcze przeprowadzka administracji z Nowego Jorku do tego cholernego miasteczka...

— Miasteczka z wielkimi tradycjami liberalnymi i... — zachnął się Maxwell.

— Politycy uniwersyteccy mają w nosie tradycje liberalne czy jakiegokolwiek inne.

— Nie przypuszczam. Zresztą i tak muszę się zobaczyć z Arnoldem. Mógłbym sobie tylko życzyć, żeby na jego miejscu był ktoś inny. Nie mam odrobiny szacunku dla tego człowieka, ale właśnie on jest mi teraz potrzebny.

— Mogłeś się nie zgodzić.

— Na rolę pośrednika? Nie, nie mogłem, Oop. Żaden człowiek by nie odmówił. Gdyby zresztą musieli szukać kogoś innego,

mogliby tracić na jakąś ofertę. Nie chcę twierdzić, że najlepiej nadają się do tej roli, ale przynajmniej będę się starał. To ważne nie tylko dla nas, ale również dla nich.

— Polubiłeś tych ludzi?

— Trudno powiedzieć, że ich polubiłem. Na pewno podziwiam ich, może także trochę współczuję. Przecież zrobili, co mogli. Tak długo polowali na kogoś, komu mogliby przekazać tę wiedzę.

— Przekazać? Mówiłeś, że jest na sprzedaż?

— Tylko dlatego, że istnieje coś, czego oni pragną, albo potrzebują. Gdybym jeszcze wiedział, o co im może chodzić, moje zadanie byłoby znacznie łatwiejsze.

— Drobne pytanie. W jaki sposób porozumiewałeś się z nimi?

— Tabliczki — odparł Maxwell. — Mówiłem ci o tabliczkach, o arkuszach metalowej folii, na których została zgromadzona wiedza. Oni zapisywali swoje wypowiedzi na folii, a ja robiłem to samo.

— Ale jak mogłeś je odczytać...?

— Dali mi specjalne urządzenie, coś w rodzaju okularów, czy raczej gogli, choć to było nawet większe od gogli. Wielkie i ciężkie, prawdopodobnie zawierające skomplikowany mechanizm. Kiedy założyłem je na głowę, mogłem bez trudu odczytywać zapis na tabliczkach. Nie było to właściwie pismo, ale jak gdyby szeregi zawirowań w strukturze metalu. To trudno wytłumaczyć. W każdym razie, kiedy spoglądało się na owe zawirowania przez to urządzenie, od razu wiedziało się, jakie informacje zostały zapisane na arkuszu folii. Urządzenie można było nastawiać, jak się później przekonałem, na odczyt żądanej warstwy atomów. Ale na początku odczytywałem tylko to, co oni do mnie pisali, o ile można to nazwać pisaniem. Czasami w podobny sposób dzieciaki przekazują sobie wiadomości pisane

kredą na tabliczkach. Potem ja utrwaląłem odpowiedzi, przekazując bezpośrednio myśli do innego przyrządu, znajdującego się razem w zestawie z tą parą gogli, które miałem na głowie.

— Translator — rzucił Oop.

— To chyba właściwe określenie. Dwukierunkowy translator.

— Kiedyś próbowaliśmy skonstruować podobne urządzenie. Mówiąc: my, mam na myśli nie tylko nas, Ziemiaków, ale połączoną pomysłowość całej, jak to się zabawnie mówi, poznanej galaktyki — rzekł Oop.

— Tak, słyszałem o tym.

— A ci twoi widmowcy mają już coś takiego.

— Oni mają o wiele więcej. Sam nie wiem dokładnie, czym dysponują. Wypróbowałem kilka ich urządzeń. Wyrywkowo. Tylko tyle, żeby przekonać się, iż mówili prawdę o swoich osiągnięciach.

— Zastanawia mnie coś jeszcze — mruknął Oop. — Mówiłeś tylko o planecie. A co z gwiazdą?

— Otóż planeta jest przykryta sklepieniem. Przypuszczam, że krąży wokół jakiejś gwiazdy, ale nie można jej zobaczyć, a w każdym razie nie z powierzchni. Rzecz w tym, że gwiazda nie jest im potrzebna. Myślę, że znasz teorię oscylującego wszechświata.

— Wszechświat typu jo—jo. Powstały z wielkiego wybuchu, kończy żywot ponownym wybuchem.

— Właśnie — odparł Maxwell. — Chyba nie musimy już dłużej zastanawiać się nad słusznością tego modelu. Okazuje się prawdziwy. Krystaliczna planeta pochodzi z poprzedniego wszechświata, który istniał przed uformowaniem się obecnego. Oni rozpracowali to już dawno. Wiedzieli, że kiedyś nadejdzie taki czas, gdy wyczerpie się cała energia, a pozostała martwa

materia zacznie skupiać się powoli, aby uformować kolejne kosmiczne jajo, z którego, na drodze wybuchu, narodzi się nowy wszechświat. Wiedzieli, że zbliża się moment śmierci wszechświata i jeśli nie zostaną podjęte jakieś działania, będzie to także śmierć ich rasy. Wtedy rozpoczęli realizację swojego projektu — projektu na skalę planetarną. Wchłonęli energię i zmagazynowali ją — nie pytaj tylko, w jaki sposób ją wyekstrahowali, skąd ją wzięli, ani jak ją zmagazynowali. Zgromadzili ją w samym materiale planety i podczas gdy cały wszechświat wygasał i zamierał, oni posiadali odpowiednie zapasy energii. Nakryli planetę sklepieniem i uczynili z niej prawdziwy dom. Opracowali mechanizmy napędowe, dzięki którym mogli przemieszczać całą planetę, zmieniając ją w niezależne ciało poruszające się swobodnie w przestrzeni kosmicznej. Zanim jeszcze martwa materia rozpoczęła wsteczny ruch ku centralnemu punktowi skupienia, oni opuścili swoją gwiazdę, będącą już wówczas tylko bryłą martwego, czarnego żużlu, i wyruszyli w swoją drogę. Tak zostało do dziś, stali się reliktową rasą pokonującą przestrzeń na planetarnym statku kosmicznym. Widzieli śmierć starego wszechświata, poprzednika obecnego. Zostali sami w kosmosie, w pustce, pozbawionej śladu życia, najmniejszego refleksu światła czy odrobiny energii. Być może — tego nie wiem — obserwowali formowanie się nowiusieńkiego kosmicznego jaja. Musieli znajdować się bardzo daleko od tego miejsca. Lecz jeśli tak, to powinni widzieć również eksplozję, która dała początek temu wszechświatowi, w którym żyjemy — ów oślepiający błysk, gdzieś w niepojętej dali, wyrzucający nagromadzoną energię w przestrzeń. Widzieli pierwsze, rozpalające się czerwienią gwiazdy, nabierające kształtów galaktyki, a kiedy proces ich formowania dobiegł

końca, wkroczyli do zupełnie nowego wszechświata. Mieli możliwość udać się do dowolnej galaktyki, wejść na orbitę jakiegokolwiek gwiazdy. Mogli się przemieszczać, gdzie tylko im się zamarzy — byli cyganami wszechświata. Ale nadszedł ich koniec. Planeta, jak przypuszczam, mogła przetrzymać jeszcze bardzo wiele, a urządzenia kontrolujące energię pracowały bez zarzutu. Pewnie kiedyś i one przestaną działać, ale ten moment musi być jeszcze dość odległy. To gatunek doszedł do swojego kresu — rasa, która zgromadziła w zapisach wiedzę pochodzącą z dwóch wszechświatów.

— Pięćdziesiąt miliardów lat — jęknął Oop. — Pięćdziesiąt miliardów lat nauki.

— Co najmniej tyle. Możliwe, że znacznie więcej — dodał Maxwell.

Siedzieli w milczeniu, próbując ogarnąć myślami owe pięćdziesiąt miliardów lat. W gardzieli komina huczał ogień. W oddali rozległo się bicie zegara umieszczonego na gmachu Filharmonii — zegara odmierzającego ich czas.

.. 9 ..



Maxwell otworzył oczy.

Oop szarpał go za ramię. — Ktoś chce się z tobą widzieć. Maxwell odrzucił kołdrę, spuścił nogi na podłogę i zaczął po omacku szukać spodni. Oop podał mu je.

— Kto taki?

— Mówi, że nazywa się Longfellow. Paskudny, zadzierający nosa typ. Czeka przed drzwiami. Sam się przekonasz, że ktoś taki jak on w życiu nie zaryzykowałby przekroczenia progu chałupy.

— Zatem do diabła z nim — mruknął Maxwell, zamierzając z powrotem dać nura do łóżka.

— Ależ nie — zaprotestował Oop. — Wcale nie poczułem się urażony. Nie przejmuję się takimi rzeczami.

Maxwell z wysiłkiem naciągnął spodnie, wsunął stopy w buty i z trudem wbił w nie pięty.

— Nie domyślasz się, o co mu chodzi?

— Nie mam zielonego pojęcia.

Chwiejnym krokiem przemierzył pokój, podszedł do ławy znajdującej się pod ścianą, ze stojącego tu dzbanka nalał wody do miski, pochylił się i chlusnął nią na twarz.

— Która godzina? — spytał. — Parę minut po siódmej.

— Pan Longfellow musiał się bardzo śpieszyć, żeby spotkać się ze mną.

— Owszem. Wydeptuje ścieżkę przed drzwiami. Niecierpliwi się.

Longfellow rzeczywiście się niecierpliwił.

Ledwie Maxwell pojawił się w drzwiach, podskoczył do niego wyciągając dłoń.

— Bardzo się cieszę, że pana znalazłem, profesorze Maxwell — odezwał się. — Nie było to wcale łatwe. Powiedziano mi w końcu, że być może zastanę pana tutaj — obrzucił wzrokiem chałupę, a jego długi nos zmarszczył się nieznacznie. — No i udało się.

— Oop jest moim starym, oddanym przyjacielem — odparł cicho Maxwell.

— Może przeszlibyśmy się trochę — zaproponował Longfellow. — Mamy nadzwyczaj miły poranek. Czy jadł pan już śniadanie? Nie, przypuszczam, że nie.

— Może najpierw zdradziłby mi pan, kim jest? — zasugerował Maxwell.

— Jestem z Administracji. Nazywam się Stephen Longfellow. Osobisty sekretarz rektora.

— Z nieba mi pan spada. Chciałbym spotkać się z rektorem, najszybciej jak tylko to możliwe.

Longfellow pokręcił głową. — Mogę od razu odpowiedzieć, że jest to prawie niewykonalne.

Ruszyli powoli ścieżką prowadzącą w dół, w stronę pasa transportowego. Ze stojącego nie opodal orzecha włoskiego o grubych konarach opadały majestatycznie, dziwnie połyskliwe, żółte liście. Rosnący w dole, tuż przy pasie, płonący wszystkimi odcieniami szkarłatu klon silnie kontrastował z błękitem porannego nieba. Wysoko ponad ich głowami przesuwiał się klucz lecących na południe kaczek.

— Niewykonalne... — powtórzył Maxwell. — Zabrzmiało to jak

wyrok ostateczny, jakby odrzucił pan mój wniosek po dogłębnym rozpatrzeniu sprawy.

— Jeżeli chce się pan skontaktować z doktorem Arnoldem, proszę zrobić to drogą służbową — stwierdził Longfellow ozięble. — Musi pan zrozumieć, że rektor jest człowiekiem bardzo zajęтым i...

— Ja to rozumiem — przerwał mu Maxwell. — Wiem także, jak wygląda droga służbowa. Odsyłanie od drzwi do drzwi, przechodzenie podania z rąk do rąk. Po godzinie o moim wniosku będzie wiedziało pół Instytutu...

— Profesorze Maxwell — rzekł stanowczo Longfellow. Wydaje mi się, że nie ma sensu niczego owijać w bawełnę. Jest pan człowiekiem wytrwałym, domyślam się, że raczej nieustępliwym. Powiem więc otwarcie, prosto z mostu. Rektor nie może pana przyjąć. Nie może sobie pozwolić na to, żeby się z panem spotkać.

— Czy dlatego, że zostałem zdublowany? Dlatego, że jeden z nas nie żyje?

— Dzisiejsza prasa poranna pisze tylko o panu. Wszystkie nagłówki z pierwszych stron gazet mówią o człowieku, który wrócił z zaświatów. Czy słuchał pan radia lub oglądał telewizję?

— Nie. Nie miałem okazji.

— Cóż, przekonałby się pan, że zrobiono z tego cyrk na kółkach. Nie muszę chyba mówić, jakie to wszystko... krępujące.

— Chce pan powiedzieć, że to skandal?

— Sądzę, że można to tak nazwać. Administracja ma dość kłopotów bez konieczności zabierania głosu w takich sprawach jak pańska. Chociażby ta awantura z Shakespeare'em. Z tym się już nic nie da zrobić, lecz jeśli chodzi o pana, możemy jeszcze wykonać unik.

— To oczywiste, że takie przypadki jak Shakespeare’a czy mój, nie mogą przysłonić administracji wielu innych doniosłych problemów. Jak na przykład rozgrzebana ponownie sprawa pojedynku w Heidelbergu, albo dyskusja na temat etyki angażowania pewnych nieziemskich studentów do drużyn piłki nożnej i...

— Czy pan nie rozumie, że wszystko, co dzieje się w tym konkretnym miasteczku, ma wyjątkowe znaczenie? — jęknął Longfellow.

— Dlatego, że administracja została przeniesiona właśnie tutaj? Podczas gdy Oxford, California, Harvard i pół tuzina innych...

— Jeżeli chce pan znać moje zdanie — oznajmił chłodno Longfellow — to uważam tę decyzję części kolegium rektorskiego za nie przemyślaną. Administracja ma z tego powodu spore trudności.

— Co by się stało, gdybym po prostu poszedł na górę, wtargnął do administracji i zaczął walić pięścią w stół?

— Doskonale pan wie. Zostałby pan wyrzucony.

— A gdybym przyprowadził ze sobą paru chłopców z gazet i telewizji i kazał im czekać przed drzwiami?

— Przypuszczam, że wówczas nie zostałby pan wyrzucony. Niewykluczone, że nawet zobaczyłby się pan z rektorem. Mogę jednak zapewnić, że pod tego typu presją osiągnąłby pan zupełnie co innego, niż chciałby pan osiągnąć.

— A więc, tak czy inaczej, z góry jestem skazany na niepowodzenie.

— W istocie przybyłem z samego rana w zupełnie innej misji — oświadczył Longfellow. — Przynoszę dobre nowiny. — Mogę sobie wyobrazić te nowiny — burknął Maxwell.

A więc jaki ochłap na pożarcie jest pan gotów mi cisnąć, bylebym tylko zniknął?

— To nie żaden ochłap — stwierdził z kwaśną miną Longfellow. — Mam zaproponować panu posadę dziekana na eksperymentalnym wydziale, jaki Uniwersytet otwiera na planecie Gotyk IV.

— Chodzi o planetę zamieszkaną przez wiedźmy i czarowników?

— Dla kogoś o pańskiej specjalności jest to wyjątkowa okazja — zachwalał. — Magia rozwijała się tam bez ingerencji obcego intelektu, jak to miało miejsce na Ziemi.

— Sto pięćdziesiąt lat świetlnych stąd — rozważał na głos Maxwell. — Raczej na odludziu, a w dodatku dość ponurym, jak sędzę. Za to z dobrą pensją.

— Rzeczywiście, dosyć wysoką.

— Nie, dziękuję. Jestem zadowolony z mojej pracy tutaj.

— Pracy? — zdziwił się Longfellow.

— Oczywiście. Na wypadek, gdyby pan zapomniał, spieszę zauważyć, że jestem wykładowcą...

Logfellow pokręcił głową.

— Już nie — oznajmił. — Czyżby pan jakimś sposobem zapomniał? Przecież umarł pan ponad trzy tygodnie temu. Nie mogliśmy zostawić wakatu.

— Chce pan powiedzieć, że zatrudniliście kogoś na moim stanowisku?

— Ma się rozumieć — rzekł Longfellow z satysfakcją w głosie. — Jak się właśnie okazało, został pan bezrobotny.



Kelner przyniósł jajecznicę na bekonie, nalał kawy i odszedł, zostawiając Maxwella samego przy stoliku. Panoramiczne okno wychodziło na jezioro Mendota — płaszczyznę szklanego błękitu z niewyraźnym zarysem płonących purpurą wzgórz na przeciwległym brzegu. Wiewiórka, zbiegająca po pniu sękatego dębu, który wznosił się zaraz za szybą, zatrzymała się nagle, łebkiem w dół i wytrzeszczyła paciorkowate oczy na siedzącego przy stoliku mężczyznę. Z gałęzi dębu spływały powoli na ziemię brązowe i czerwone liście, kołysząc się w niewyczuwalnych prądach termicznych powietrza. Wzdłuż skalistego brzegu jeziora spacerowali, trzymając się za ręce, dziewczyna i chłopak.

Maxwell stwierdził w duchu, że przyjęcie zaproszenia Longfellowa do zjedzenia z nim śniadania byłoby niewątpliwie na poziomie i w dobrym tonie, ale od momentu, gdy nabrał pewności, że nie może niczego więcej oczekiwać od osobistego sekretarza rektora, marzył tylko o tym, by zostać sam. Chciał zyskać trochę czasu na ocenę sytuacji i przemyślenie wszystkiego — chociaż prawdopodobnie nie powinien teraz marnować ani minuty.

Oop miał rację. Musiał pozbyć się złudzeń, że uda mu się zaaranżować spotkanie z rektorem — nie tylko z powodu napiętego planu zajęć oficjela oraz obsesji jego personelu na

punkcie załatwiania wszystkiego drogą służbową. Z jakichś, nie do końca zrozumiałych powodów, sprawa zdublowania Petem Maxwella przyjęła rozmiary skandalu, a Arnold nie życzył sobie, by w jakikolwiek sposób wiązano go z tą aferą. Kiedy tak wpatrywał się w znieruchomiałą za oknem, wbijającą w niego wylupiaсте oczka wiewiórkę, przyszło mu na myśl, że postawa administracji może być wynikiem przesłuchiwania go przez Draytona. Czyżby służby bezpieczeństwa miały Arnolda na oku? Choć brzmiało to niewiarygodnie, nie można było wykluczyć tej ewentualności. Jak by nie patrzeć, istniała prosta zależność między stopniem zdenerwowania Arnolda a pośpiechem, z jakim zaproponowano mu posadę na Gotyku IV. Administracja nie tylko nie chciała nic zrobić w sprawie drugiego Petera Maxwella, ale pragnęła też pozbyć się go jak najszybciej z Ziemi, wysłać na odludzie, byle tylko w jak najkrótszym czasie zapomniano o jego istnieniu.

To rozumiało, że stanowisko wykładowcy w Nadprzyrodzonym zostało obsadzone zaraz po śmierci tamtego Petem Maxwella. Mimo wszystko zajęcia musiały się odbywać zgodnie z planem, nie mogło być luk w wykładach. Ale mogli przecież znaleźć dla niego jakąś inną posadę. Fakt, że tego nie zrobiono oraz pośpiech, z jakim zaproponowano mu stanowisko na Gotyku IV, nie zostawiały wątpliwości, iż jego obecność na Ziemi nie była pożądana.

Sprawy gmatwały się coraz bardziej. Do wczoraj administracja nie mogła wiedzieć o istnieniu dwóch Peterów Maxwellów. Nie istniał żaden problem, nie było podstaw do podejmowania jakichkolwiek kroków, aż do chwili dotarcia do nich tej informacji. Wynikało stąd, rozumował Maxwell, że ktoś bardzo szybko dotarł do administracji — ktoś, kto chciał się go pozbyć,

komu jego obecność wyraźnie przeszkadzała. Ale w czym mogła przeszkadzać? Odpowiedź na to pytanie nasuwała się sama, była aż tak oczywista, że instynktownie ją odrzucił. Szybko zaczął szukać innych wyjaśnień, ale nic sensownego nie przychodziło mu do głowy. Zostawało tylko to — ktoś musiał wiedzieć o zmagazynowanych na krystalicznej planecie zasobach informacji i chciał wykluczyć go z całej sprawy.

W grę wchodziła tylko jedna osoba. Carol wymieniła nazwisko Churchilla — był on w jakiś sposób powiązany z przedstawioną Czasowi ofertą kupna Artefaktu. Czy to możliwe, żeby Artefakt był kluczem do wiedzy zgromadzonej na krystalicznej planecie? Niewykluczone, chociaż trudno było powiedzieć cokolwiek pewnego, nikt przecież nie wiedział, czym w rzeczywistości był Artefakt.

Fakt, że w tę transakcję zaangażowany był właśnie Churchill, nie stanowił niespodzianki. Rzecz jasna, on tylko pośredniczył, występował w imieniu kogoś, kto nie chciał ujawnić swojej tożsamości. Przy tego typu transakcjach ktoś taki jak Churchill mógł oddać nieocenione usługi. Był zawodowym pośrednikiem i dobrze znał swój fach. Miał odpowiednie powiązania, a przez długie lata prowadzenia podobnych transakcji z pewnością udało mu się znaleźć dojścia do nieoficjalnych źródeł informacji w wielu różnorodnych, nierzadko ważnych instytucjach.

Jeśli tak właśnie miały się sprawy, stawało przed nim o wiele trudniejsze zadanie. Musiał nie tylko zabezpieczyć się przed istniejącymi w administracji przeciekami wiadomości, ale także zachować szczególną ostrożność, by żadna z posiadanych przez niego informacji nie dostała się w niepowołane ręce, by nie została wykorzystana przeciwko niemu.

Wiewiórka zbiegła już z pnia i teraz myszkowała na

opadającym ku brzegowi jeziora trawniku, krzątała się wśród leżących na ziemi liści w poszukiwaniu jakiegoś żołędzia, który mógł umknąć jej uwadze. Spacerująca para zniknęła z pola widzenia i tylko łagodny wietrzyk nieznacznie marszczył powierzchnię jeziora.

W stołówce zostało jedynie kilka osób; ci, którzy zajmowali stoliki, kiedy wchodził, w większości skończyli już śniadanie i wyszli. Ze znajdującej się piętro wyżej sali klubu dochodził stłumiony pomruk głosów i szuranie nóg — jak co dzień wypełniali go studenci młodszych roczników mający przerwy w zajęciach.

Znajdował się w jednym z najstarszych, a przy tym najwspanialszych budynków w miasteczku. Od ponad pięciu stuleci stanowił on ulubione miejsce spotkań, wypoczynku i nauki wielu już pokoleń, przy czym każdy kolejny rocznik w sposób naturalny przejmował tę funkcjonalną tradycję, która czyniła z owego miejsca drugi dom dla wielu tysięcy studentów. Można tu było znaleźć odpowiednie warunki i do rozmyślań, i do nauki; zaciszne kąty do prowadzenia intymnych rozmów, pomieszczenia do gry w bilard lub szachy, stołówki, sale widowiskowe, a także porozrzucane po całym budynku małe, wypełnione półkami z książkami czytelnie.

Maxwell odsunął krzesło od stolika, ale siedział jeszcze, czując nieprzepartą chęć pozostania tutaj — wiedział doskonale, że gdy wyjdzie ze stołówki, będzie musiał stawić czoło problemom, zbierającym się wokół niego jak chmury burzowe. Za oknem wstawał coraz cieplejszy, złocisty, jesienny dzień — pełen opadających, pozłacanych liści, otulający odległe wzgórza błękitną mgiełką, jakby przeznaczony wyłącznie do wychwalania kwitnących w ogrodach chryzantem oraz płomiennych astrów

i nawłoci porastających pola i nie zamieszkane parcele.

Za jego plecami rozległo się nietypowe postukiwanie wielu drobnych stóp o wyłożoną czerwonymi, kwadratowymi płytkami podłogę. Odwrócił się na krześle i ujrzał ich właściciela zmierzającego szybko w jego kierunku.

Osobnik ten przypominał wyrosniętą nad podziw, chodzącą, nie wiedzieć czemu po lądzie, krewetkę. Wyrastające z jednego miejsca odnóża, dziwnie ścięty tułów, cudaczne pręty sterczące z malutkiej głowy — niewątpliwie narządy zmysłów. Całe ciało odznaczało się niezdrową białą barwą, a na końcach długich, kiwających się anten widniały trzy kuliste czarne oczka.

Istota zatrzymała się przy stoliku, trzy długie czułki obróciły się i spojrzenie trojga oczu utkwilo wprost w Maxwellu.

— Poinformowano jestem, pan być profesor Maxwell stworzenie przemówiło wysokim, piskliwym głosem, a skóra, okrywająca gardło poniżej zdającej się być całkiem niepotrzebną głową, zatrzepotała nerwowo.

— Tak, to prawda. Jestem Peter Maxwell.

— Ja być mieszkaniem z zewnątrz, ze świata, który wy nazywać Grot Włóczni 27. Imię, które mam, nie jest ważne dla pana. Jawię się przed panem z komisją od mój pracodawca. Może pan wiedzieć, że ja być desygnowany przez panna Nancy Clayton.

— Tak, oczywiście — odparł Maxwell, przyznając w duchu, że zatrudnianie tego rodzaju nieziemca w charakterze chłopca na posyłki bardzo pasowało do charakteru Nancy Clayton.

— Ja pracować siebie dla nauki — wyjaśnił Krewetka. Robić wszystko co znaleźć:

— To bardzo chwalebne — przyznał Maxwell.

— Ja wprawiać się w matematyka czasu. Skoncentrować na światłach konfiguracja liniowa. Mieć z tym zmartwienie.

Krewetka nie wyglądał jednak na kogoś, kto ma jakiegokolwiek zmartwienia.

— Skąd te zainteresowania? — zapytał Maxwell. — Czy jest to coś związanego z twoją ojczyzną? A może z dziedzictwem kulturowym twojej rasy?

— O tak, rzeczywiście. Zupełnie nowa idea. W mój świat nie ma myśleć o czasie, żadna koncepcja taka rzecz jak czas. Ja być bardzo zaskoczony uczyć się o tym. I podekscytowany też. Ale ja za dużo dygresować. Ja przyjść tu z posłaniem. Panna Clayton życzyć sobie wiedzieć, czy pan może zaszczyścić przyjęcie wieczorem dziś dzień? Jej dom, ósma na zegarek.

— Wydaje mi się, że tak — odparł Maxwell. — Powiedz jej, proszę, że zawsze nadzwyczaj cenię sobie jej przyjęcia.

— Naduradowany — oznajmił Krewetka. — Ona tak bardzo chce pana tam. Pan być w temacie odpowiedni.

— Nie wątpię — stwierdził Maxwell.

— Pan ciężko znaleźć. Biegać ciężko i szybko. Pytać w wiele miejsc. W końcu zwycięsko.

— Przykro mi, że miałeś z mojego powodu tak wiele kłopotów.

Maxwell sięgnął do kieszeni i wyciągnął banknot. Stwór wysunął jedno z przednich odnóży, schwycił banknot w parę szczypców, złożył go starannie raz i drugi, po czym wcisnął do woreczka, którego koniec wystawał zza pancerza piersiowego.

— Pan uprzejmy nadoczekiwanie — zapiszczał. — Jeszcze jedna informacja. Okazja dla przyjęcia jest odkrycie obraz ostatnio zdobyty. Obraz zagubiony i zniknięty bardzo długo. Autora szanowny pan Albert Lambert. Triumf wielki dla panna Clayton.

— O tak, tego jestem pewien. Panna Clayton jest specjalistką od triumfów — zauważył profesor.

— On jak pracodawca był miłosierny — powiedział Krewetka z naganą w głosie.

— Nie mam co do tego wątpliwości.

Stworzenie oddaliło się błyskawicznie, pokonując stołówkę galopem. Maxwell zasłuchał się w klekotanie pancerza Krewetki na schodach, które umilkło dopiero wówczas, kiedy tamten znalazł się na parterze.

Wstał od stołu i skierował się do wyjścia. Stwierdził w duchu, że jeśli miał uczestniczyć w ceremonii odsłonięcia obrazu, wypadało wkuć coś niecoś na temat artysty. Pomyślał z uśmiechem, że dokładnie tym samym będą zajmować się w ciągu całego dnia niemal wszyscy zaproszeni na przyjęcie goście.

Lambert. Nazwisko obilo mu się o uszy. Czytał coś o nim, prawdopodobnie dawno temu. Chyba jakiś reportaż w jednym z tych czasopism, które kupuje się tylko na podróż.



Maxwell otworzył książkę.

Albert Lambert urodził się 11 stycznia 1973 roku w Chicago, w stanie Illinois — głośiła otwarta strona tekstu — Znany jako portrecista groteskowego symbolizmu. Prace z lat młodości nie znamionowały późniejszego wybitnego artysty. Odznaczały się, co prawda, znakomitym rzemiosłem i dogłębnym wejrzeniem w naturę tematu, nie wyróżniały się jednak niczym szczególnym. W groteskowy okres twórczości wkroczył dopiero po ukończeniu pięćdziesiątego roku życia. Nastąpiło to nieomal z dnia na dzień, tak jakby artysta rozwijał talent w tajemnicy, nie wystawiając płócien z tego okresu aż do momentu, w którym uznał nowy kształt swoich dzieł za w pełni satysfakcjonujący. W istocie nie ma żadnych dowodów, że tak właśnie było; przeciwnie, istnieją przesłanki, iż artysta...

Maxwell przerzucił pozostałe strony tekstu, dotarł do kolorowych reprodukcji i równie szybko przekartkował przykłady wczesnych prac artysty. Nagle, po odwróceniu kolejnej kartki, trafił na całkowicie odmienne malarstwo — odmianie uległo wszystko, koncepcja artystyczna, kolorystyka, a nawet, jak mu się zdawało, sposób malowania. Zupełnie jakby w książce przedstawiano prace dwóch różnych artystów, z których pierwszy intelektualnie związany był wyłącznie

z duchową potrzebą systematycznego uzewnętrzniania swych doznań, drugi zaś ogarnięty pasją, wręcz obsesją, natchniony przez jakieś wstrząsające doświadczenie, z którym usiłował się uporać, przelewając wrażenia na płótno.

Ponure, ciemne, przerażające piękno biło z tej ilustracji i Maxwellowi wydawało się, że w półmroku i ciszy czytelnik rozlega się łopot skórzastych, czarnych skrzydeł. Na tle niesamowitego krajobrazu widniały fantastyczne stwory, a zarówno pejzaż jak i postacie, co można było wyczuć na pierwszy rzut oka, nie były tylko wytworami fantazji, dziwaczными płodami wytraconego z równowagi umysłu, a ich zarysy wynikały z podstaw jakiejś solidnej, choć obcej geometrii, były spójne i logiczne, chociaż niepodobne do niczego bliskiego i znanego. Forma, kolorystyka, podejście do tematu i jego ujęcie nie stanowiły jedynie zniekształcenia ludzkiego widzenia świata; odnosiło się nieodparte wrażenie, że obraz jest uproszczonym przedstawieniem sytuacji pochodzącej z obszaru krańcowo odmiennego od wszystkiego, co znane było człowiekowi. Jeżeli był to groteskowy symbolizm, jak ów styl nazwał autor książki, to do czegoś podobnego, stwierdził w duchu Maxwell, można dojść jedynie w efekcie długotrwałych, mozolnych studiów.

Odwrócił kartkę. Druga reprodukcja była podobna, również nasuwała wrażenie czegoś całkowicie oderwanego od znanych człowiekowi pojęć. Odmienna sceneria, inne postacie na tle innego krajobrazu, lecz podobnie jak w poprzednim przypadku przesycona wstrząsającym ładunkiem realizmu. To nie mógł być wytwór wyobraźni, artysta musiał kiedyś spoglądać na ów pejzaż własnymi oczyma, a obraz stanowił jedynie próbę odtworzenia go na podstawie wspomnień. Jak człowiek usiłujący domyc ręce, który mydli je energicznie kawałkiem twardego, ostrego mydła,

szoruje raz za razem, bez końca, w desperackich próbach usunięcia przy pomocy fizycznego oddziaływania plamy istniejącej wyłącznie w jego psychice. Możliwe, że malarz faktycznie oglądał tę scenę, lecz nie własnymi, ludzkimi oczyma, lecz poprzez obce systemy optyczne jakiejś nieznanej, nie istniejącej już rasy.

Maxwell siedział wpatrzony w reprodukcję, zafascynowany i mimo szczerego pragnienia nie potrafił oderwać od niej oczu. Czuł się schwyty w pułapkę niesamowitego, zniewalającego piękna, jakiejś przerażającej, ukrytej, nie docierającej do niego logiki. Przypomnił sobie słowa Krewetki, że czas — będący, co prawda, czynnikiem uniwersalnym — nie stał się przedmiotem rozważań jego współziomków, nigdy nie odcisnął swego piętna na całej kulturze. Tu zaś, w tych wielobarwnych reprodukcjach, zawarte było coś, o czym z kolei nigdy nie myślała ludzkość, co wymykało się nawet ludzkiej wyobraźni.

Uniósł dłoń, żeby zamknąć książkę, ale zawahał się, jakby coś go powstrzymało — jakiś wewnętrzny głos nakazywał mu nie zamykać albumu, lecz nadal przyglądać się reprodukcjom.

Uświadomił sobie, że to właśnie owa intrygująca obcość nie pozwala mu oderwać wzroku od obrazu, że stała się ona denerwującym, nierozpoznawalnym świadomie czynnikiem, który zniewolił jego umysł.

Opuścił rękę i siedział dalej, wbijając oczy w ilustrację. Po chwili odwrócił powoli stronę, a kiedy spojrział na trzecią reprodukcję, wrażenie obcości w jednej chwili zniknęło. Miał przed sobą uwiecznione migotanie, oddane przy pomocy niezwyklej techniki artystycznej, jak gdyby obraz pokrywała miejscami jakaś dziwnie odbijająca światło substancja, w jednej chwili doskonale widoczna, w następnej znikająca niemal

całkowicie.

Z rozdziawionymi ustami gapił się w to migotanie — najprawdopodobniej złudzenie optyczne, lecz w jakże mistrzowski sposób wykorzystane w obrazie przez artystę. Nieważne zresztą, złudzenie czy nie, jego efekt bez trudu mógł być rozpoznany przez kogoś, kto zetknął się z widmowymi mieszkańcami krystalicznej planety.

Pośród zgęstniałej ciszy i półmroku, wypełniających czytelnę, w jego umyśle niczym krzyk rozbrzmiało pytanie: W jaki sposób Albert Lambert mógł wiedzieć cokolwiek o istotach z krystalicznej planety?

.. 12 ..



— Słyszałem o twoim przypadku i wydał mi się zupełnie niewiarygodny — odezwał się Allen Preston. — Ale źródła moich informacji wydawały się bez zarzutu, zatem poczyniłem starania, żeby się z tobą zobaczyć. Muszę przyznać, Peter, że twoja sytuacja trochę mnie niepokoi. Z prawnego punktu widzenia znalazłeś się w wyjątkowo kłopotliwym położeniu.

Profesor usiadł w fotelu przed biurkiem Prestona.

— Też tak sędzę — stwierdził. — Po pierwsze: okazało się właśnie, że straciłem pracę. Czy w takim przypadku jak mój można mówić o okresie wypowiedzenia?

— W przypadku takim jak twój? — adwokat powtórzył pytanie. — A jaki to jest właściwie przypadek? Nikt nic nie wie. Wszyscy o tym mówią, ale nikt nie wie nic konkretnego. Osobiście...

Maxwell uśmiechnął się z przekąsem. — Jasne. Sam chciałbyś znać prawdę. Jesteś dezorientowany, zakłopotany i niezbyt pewien, czy nie majaczysz. Zastanawiasz się właśnie, czy rzeczywiście jestem Peterem Maxwelllem.

— A jesteś? — spytał Preston.

— Tak, tego akurat jestem pewien. Nie potrafiłbym oszukać ani ciebie, ani kogokolwiek innego. Było nas dwóch. Coś stało się z wzorcem falowym. Jeden z nas trafił do Systemu Jenociej

Skóry, drugi w zupełnie inne miejsce. Ten, który dotarł do Jenocie] Skóry, wrócił na Ziemię i zginął. Ja wróciłem dopiero wczoraj.

— I odkryłeś, że w świetle prawa nie żyjesz.

Maxwell potwierdził skinieniem głowy. — Mieszkanie zostało wynajęte komu innemu, wszystkie moje rzeczy przepadły. Na uniwersytecie powiedziano mi, że obsadzono już moje stanowisko, zostałem więc bez pracy. Właśnie dlatego pytałem o okres wypowiedzenia.

Preston odchylił się na oparcie fotela i popatrzył na Maxwella w zamyśleniu. — Formalnie władzom uniwersytetu nie można nic zarzucić. Jesteś martwy. Nie może być mowy o żadnym okresie wypowiedzenia, przynajmniej do czasu ponownego uznania cię za żywego.

— W wyniku długotrwałego procesu prawnego?

— Tak, raczej tak. Trudno tu cokolwiek przesądzać, byłaby to sprawa bez precedensu. Istnieją precedensy w przypadkach mylnych identyfikacji, kiedy człowieka zmarłego błędnie utożsamia się z osobą nadal żyjącą. Ale w twoim przypadku nie ma żadnej pomyłki. Człowiek, który był bez wątplenia Peterem Maxwellem, jest bez wątplenia martwy, nie można w takim przypadku skorzystać z precedensu ponownego ustalenia tożsamości. Staniemy przed koniecznością stworzenia nowego precedensu na drodze mozolnego przedzierania się przez gąszcz argumentów prawnych. To może trwać latami. Prawdę powiedziawszy, nie mam nawet pojęcia jak i od czego zacząć. Na pewno można taką sprawę przeprowadzić, można dowieść swego, ale będzie to kosztowało mnóstwo pracy i wiele wysiłku. Na początku, rzecz jasna, musimy ustalić, kim z punktu widzenia prawa jesteś.

— Kim jestem!? Na miłość Boską, Al! Przecież obaj wiemy, kim jestem.

— Ale prawo tego nie wie. W chwili obecnej prawo nie może określić twojej tożsamości. Nie posiadasz osobowości prawnej. Absolutnie żadnej. Wszystkie twoje karty identyfikacyjne zostały przekazane do archiwum i tam zarejestrowane...

— Ale ja nadal mam swoje dokumenty — wtrącił nieśmiało Maxwell. — Tu, w kieszeni.

Preston spojrział na niego spod oka.

— Owszem, jeśli się nad tym zastanowić, to powinieneś je mieć. O Jezu, co za pasztet!

Wstał i zaczął przechadzać się po pokoju, kręcąc ze zdumienia głową. Doszedł do ściany, zawrócił i podszedł znów do biurka. Usiadł z powrotem.

— Pozwól, że przemyślę całą sprawę. Daj mi trochę czasu. Możliwe, że uda mi się coś wyszperać. Musimy coś wyszperać. Czeka nas mnóstwo pracy. Jest jeszcze kwestia twojego testamentu...

— Mojego testamentu? Zupełnie o nim zapomniałem. Nigdy nie przywiązywałem do tego wagi.

— Trwa procedura zatwierdzania. Ale chyba uda się uzyskać odroczenie.

— Zapisałem wszystko bratu, który pracuje w Służbie Eksploracyjnej. Spróbuję się z nim skontaktować, choć nie będzie to wcale łatwe. Najczęściej przebywa na pokładzie któregoś ze statków. Nie przewiduję jednak żadnych kłopotów z jego strony. Kiedy tylko dowie się, co zaszło...

— Może z nim nie będzie problemów — przerwał mu adwokat — ale sąd to zupełnie co innego. Oczywiście, wszystko da się załatwić, ale zajmie sporo czasu. Nie masz żadnych praw do

swojego majątku, dopóki nie zapadnie wyrok. Nie posiadasz niczego z wyjątkiem ubrania oraz rzeczy, które masz w kieszeniach.

— Uniwersytet zaproponował mi posadę na planecie Gotyk IV, stanowisko dziekana wydziału. Ale w chwili obecnej nie mam zamiaru jej przyjąć.

— Jak stoisz z pieniędzmi?

— W porządku. Przynajmniej na razie. Mam trochę gotówki, a Oop przyjął mnie pod swój dach. Jeżeli będę musiał, podejmę jakąś dorywczą pracę. Mógłbym chyba liczyć na pomoc Harlowa Sharpa. W ostateczności mogę wziąć udział w jednej z jego ekspedycji terenowych. To chyba nawet nie byłoby takie złe...

— Czy nie musiałbyś mieć jakiegoś stopnia naukowego w Czasie?

— Nie, jeśli zatrudnię się jako zwykły robotnik w ekspedycji. Przypuszczam, że byłoby to konieczne, gdybym chciał objąć stanowisko kierownicze.

— Zanim zacznę działać, muszę znać szczegóły — oznajmił Preston: — Dokładnie, po kolei, co się stało.

— Napiszę ci oświadczenie, nawet uwierzytelnię je u notariusza. Zrobię wszystko, co będzie potrzeba.

— Wydaje mi się, że możemy wytoczyć sprawę Transportowi. To oni wpakowali cię w tę kabałę.

Maxwell skrzywił się.

— Jeszcze nie teraz. Zastanowimy się nad tym później.

— A więc zabieraj się do pisania oświadczenia — rzekł Preston — a ja w tym czasie zastanowię się nad sprawą i poszukam w archiwach. Wtedy będziemy mogli zacząć działać. Czy czytałeś gazety lub oglądałeś telewizję?

Maxwell pokręcił głową. — Nie mam czasu.

— Dziennikarze szaleją. To cud, że jeszcze cię nie zdybali. Na pewno urządzili nagonkę. Jak na razie tylko prześcigają się w domysłach. Ostatniej nocy widziano cię “Pod Świnią i Świstawką”, wiele osób rozpoznało cię, tak przynajmniej twierdzą. :Wszystkie tytuły wykrzykują zgodnie, że właśnie wróciłeś z zaświatów. Na twoim miejscu trzymałbym się od nich z daleka. Jeżeli wpadniesz w ich szpony, absolutnie o niczym nie opowiadaj.

— Nie mam zamiaru.

Przez chwilę spoglądali na siebie w milczeniu.

— Co za historia! — odezwał się w końcu Preston. Prawdziwa rewelacja! Myślę, Peter, że ja na twoim miejscu miałbym niezłą zabawę.

— Jeszcze jedno — wtrącił Maxwell. — Nancy Clayton zaprosiła mnie na przyjęcie dziś wieczorem. Zastanawiam się, na ile to zaproszenie ma związek z całą sprawą. Chociaż nie musi. Nancy już przedtem zapraszała mnie od czasu do czasu. Preston uśmiechnął się.

— Cóż, jesteś teraz popularny. Musisz stanowić niezły kąsek dla Nancy.

— Nie byłbym tego wcale pewien. Musiała się przekonać, że nie mam najmniejszego zamiaru się ukrywać. Powoduje nią zwykła ciekawość.

— Oczywiście — przyznał z udawaną powagą Preston. Powoduje nią zwykła ciekawość.



Maxwell spodziewał się, że przed chałupą Oopa będzie czekał na niego tłum dziennikarzy. Nie było jednak nikogo. Widocznie plotka o jego tymczasowym miejscu pobytu nie rozniosła się jeszcze.

Chałupę otaczała cisza późnego popołudnia, a promienie jesiennego słońca lały się jak stopione złoto na poczerniałe od wiatrów i deszczu drewniane bale, z których była zbudowana. Nieliczne pszczoły brzęczały ospale nad grządką astrów rosnących w pobliżu wejścia, a ponad stokiem wzgórza, opadającym w kierunku pasa transportowego, unosiło się w lekkiej popołudniowej mgiełce kilka żółtych motyli.

Maxwell uchylił drzwi i wetknął głowę do środka. Wewnątrz nie było nikogo. Oop musiał gdzieś wyjść, a Duch widocznie jeszcze nie wrócił. W kominku czerwony żar pełzał po resztkach głowni. Profesor zamknął drzwi i usiadł na stojącej przed chałupą ławie.

Daleko na zachodzie jaśniało niczym drobniutka błękitna soczewka jedno z czterech okalających miasteczko jezior. Rozciągający się przed nim pejzaż tonął w żółto—brązowej powodzi zwiędłych— turzyc i wyschniętych traw. Rozrzucone tu i ówdzie skupiska drzew wyróżniały się na tym tle niewielkimi plamami jaskrawych kolorów.

Ciepło i bezpiecznie, pomyślał. Idealne miejsce do snucia marzeń. Jakże różny krajobraz od ponurych, mrocznych wizji, wychodzących wiele lat temu spod pędzla Lamberta.

Zaczął się zastanawiać, dlaczego owe pejzaże wywarły na nim tak kolosalne wrażenie, dlaczego utkwiły mu w pamięci jak zadra za paznokciem. Nie mógł się nadziwić, skąd artysta znał charakterystyczne migotanie widmowych mieszkańców krystalicznej planety. Nie wierzył, że był to zwykły zbieg okoliczności, człowiek nie umiałby czegoś takiego po prostu sobie wyobrazić. Rozsądek podpowiadał mu, że Lambert musiał widzieć owe widmowe istoty, ale ten sam rozsądek twierdził stanowczo, że to niemożliwe.

A co z wszystkimi innymi stworzeniami, z pozostałymi groteskowymi monstrami, które Lambert z premedytacją, w obsesyjny sposób rozmieszczał na swoich płótnach? Skąd one się wzięły, skąd mogły pochodzić? Czyżby stanowiły wyłącznie szalone płody wyobraźni, wydobyte żywcem z otchłani przeżywającego niezrozumiałe katusze umysłu? Czy zatem mieszkańcy krystalicznej planety to jedyne autentyczne istoty malowane przez Lamberta? Wątpliwe. A więc w taki czy inny sposób Lambert musiał także widzieć gdzieś pozostałe stworzenia. Z kolei krajobraz — czy był tylko wymyślony, miał podkreślać nastrój obrazu tworzony przez malowane postacie, czy też odtwarzał faktyczny wygląd krystalicznej planety w jakiejś zamierzchłej przeszłości, w czasach, zanim została ona zamknięta pod nieprzejrzystą kopułą, która na zawsze oddzieliła powierzchnię od całej reszty wszechświata? Ale to przecież niemożliwe, stwierdził w duchu. Owa przemiana dokonała się jeszcze przed narodzinami obecnego wszechświata! Przynajmniej dziesięć, a może i pięćdziesiąt miliardów lat temu!

Maxwell poruszył się niespokojnie. To wszystko nie miało sensu. Żaden z jego domysłów nie trzymał się kupy. Doszedł do wniosku, że ma dość kłopotów bez przejmowania się obrazami Lamberta. Stracił pracę, jego majątek był zabezpieczony w trakcie postępowania spadkowego, ponadto nie miał żadnego statusu prawnego jako człowiek...

W gruncie rzeczy to wszystko nie miało większego znaczenia, w każdym razie nie teraz. Najpierw należało zająć się skarbnicą wiedzy zgromadzonej na krystalicznej planecie. Całość bogactwa powinien przejąć uniwersytet — tamten zasób wiadomości z pewnością był szerszy od wszystkiego, co do tej pory zgromadzono w całej poznanej galaktyce. Na pewno w jakimś zakresie wiedza ta pokrywała się z odkrytymi już prawami, ale, bez wątplenia, obejmowała także olbrzymie obszary nieznanne jeszcze mieszkańcom wszechświata. Ów drobny fragment, z którym miał czas się zapoznać, utwierdzał go w tym przekonaniu.

Raz jeszcze wspomniał, jak pochyłał się nad maleńkim, przypominającym kawiarniany stolik, na którym ułożył stosik zdjętych z półek arkuszy metalowej folii, a urządzenie, będące czytnikiem, interpreterem, czy jak by tego nie nazwać, założył na głowę.

Znalazł metalowy arkusik opisujący umysł, ale nie w sposób metafizyczny czy filozoficzny, ale jako mechanizm, chociaż wielu użytych terminów i koncepcji nie potrafił nawet z niczym skojarzyć. Przekopywał się wówczas przez terminologię, zdając sobie sprawę, że ma przed sobą rozprawę naukową o olbrzymim znaczeniu, ale po pewnym czasie poddał się i odłożył ją na bok, przekraczała bowiem jego możliwości. Potem trafił na inny arkusz, inny podręcznik, zdający się zawierać podstawy

zastosowania pewnych twierdzeń matematycznych w naukach społecznych. Tutaj znów przedmiotu niektórych z wymienionych nauk mógł się tylko domyślać, śledząc po omacku wywody niczym ślepiec goniący za motylami. Przypomniawszy sobie opisy dziejów nie jednego, lecz dwóch wszechświatów; historię naturalną dotyczącą form życia tak fantastycznych, zarówno w swoich podstawach biologicznych jak i funkcjonowaniu, że wydawały się wręcz niewiarygodne; a także cieniutki arkusik metalowy — tak cienki, że giął się i skręcał w dłoniach niczym bibułka — którego zawartość na tyle wykraczała poza jego horyzonty zrozumienia, że do końca nie mógł się rozeznaczyć, czego dotyczyła treść. W dużo grubszym arkuszu natrafił na myśli i filozofie istot i kultur dawno obróconych w pył — koncepcje, które przyprawiały go o zawrót głowy, niezwykle, odrażające, obce i wstrząsające, a jednak przepełnione jakimś straszliwym pięknem, emanującym z nich w całkowitym nieczłowieczeństwie.

Wszystko to, a także o wiele więcej, tryliony razy więcej, czekało zgromadzone na krystalicznej planecie.

Teraz najważniejsze było wypełnienie misji, której się podjął. Zdobycie biblioteki krystalicznej planety stanowiło zadanie najwyższej wagi, a pomimo iż nie został wyznaczony żaden limit czasu, czuł, że musi uwinąć się z tym jak najszybciej. Był niemal pewien, że jeśli mu się nie uda, krystaliczna planeta przeniesie się gdzie indziej w poszukiwaniu innego kupca na swój towar, polecą do innego sektora galaktyki, a może nawet poza jej granice.

Możliwe, że ceną za zdobycie biblioteki miał być Artefakt, choć trudno było jeszcze powiedzieć cokolwiek pewnego. Sam fakt, że złożono podobną ofertę, a w dodatku zaangażowany był w tę

sprawę Churchill, przemawiał za prawdziwością podobnego wniosku. Rzecz jasna, na razie nie miał żadnych dowodów. Niewykluczone, że ktoś chciał zdobyć Artefakt w zupełnie innym celu, możliwe, że w końcu komuś udało się odkryć jego przeznaczenie. Próbował podążać dalej tym tropem, ale miał za mało danych i w końcu zawiodła go wyobraźnia.

Z nieba nadleciała na kształt wirującej chmury gromada kosów. Ptaki przemknęły tuż nad dachem chałupy i pożeglowały dalej wzdłuż pasa transportowego. Maxwell przyglądał się, jak przysiadają na porastających podmokłą łąkę więdnących chwastach, balansując ostrożnie na chylących się ku ziemi łądogach. Przybyły tam na wieczorny żer, przed zapadnięciem gdzieś za godzinę na nocleg w jakimś zacisznym zagajniku, wybranym jako miejsce odpoczynku w trakcie migracji na południe.

Maxwell wstał i przeciągnął się. Spokój i cisza tego słonecznego popołudnia rozleniwiły go. Warto by się zdrzemnąć, pomyślał. Kiedy Oop wróci, obudzi go, potem zjedzą coś i porozmawiają trochę, zanim nadejdzie pora wyjścia na przyjęcie Nancy.

Otworzył drzwi, wszedł do środka, przemierzył całą chatę i usiadł na łóżku. Stwierdził, że powinien się upewnić, czy ma jeszcze czystą koszulę i parę skarpetek na zmianę. Sięgnął po torbę, podniósł ją z podłogi i rzucił na łóżko.

Otworzył suwak, rozchylił boki torby i wyjął parę spodni, żeby dostać się do zapakowanych pod spodem koszul. Miał czyste ubranie na zmianę. Lecz w torbie obok koszul leżało coś jeszcze — przyrząd z dwoma obiektywami i elastyczną opaską na głowę.

Patrzył zdumiony. Rozpoznał go od razu: był to translator, którego używał na krystalicznej planecie do odczytywania

metalowych arkuszy. Wyciągnął go z torby i trzymał na otwartej dłoni. Do elastycznej taśmy, przytrzymującej urządzenie na głowie, z jednej strony przytwierdzone było pudełko zawierające jakieś źródło energii, z drugiej zaś dwa obiektywy, które automatycznie ustawiały się na obiekcie po założeniu translatora.

Musiał wrzucić go do torby przez pomyłkę, chociaż za nic nie mógł sobie przypomnieć momentu, kiedy go spakował. Prawdopodobnie nic złego się nie stało. Przyrząd mógł być mu nawet pomocny, gdyby kiedykolwiek musiał udowodnić, iż faktycznie przebywał na tamtej planecie. Chociaż, w gruncie rzeczy nie był to najlepszy dowód, w jego wyglądzie nie było niczego niezwykłego, a dopiero szczegółowe badanie mechanizmu mogłoby wykazać nieziemskie „pochodzenie translatora.

Nagle rozległo się delikatne postukiwanie. Maxwell wzdrygnął się zaskoczony, wyprostował zeszywniały, wsłuchując w ten ledwie uchwytny dźwięk. Pomyślał w pierwszej chwili, że to poruszana wiatrem gałąź stuka o dach, ale zaraz doszedł do wniosku, że musi to być coś innego.

Stukotanie umilkło, lecz wkrótce rozbrzmiało ponownie, tym razem w zupełnie innym rytmie, jakby ktoś przesyłał zakodowane sygnały. Trzy szybkie uderzenia, potem pauza, dalej dwa mocniejsze i znowu pauza. Ten sam ciąg sygnałów powtórzył się raz jeszcze.

Ktoś był pod drzwiami.

Maxwell podniósł się z łóżka i stanął niezdecydowany. Jeśli był to ktoś z dziennikarzy, który go w końcu wyszedł, lepiej nie podchodzić do drzwi i nie otwierać. Ale owo stukanie było zbyt mało energiczne, zbyt mało natarczywe jak na dziennikarza,

a tym bardziej grupę dziennikarzy sądzących, że dopadli go w jego kryjówce. Delikatne, jak gdyby sondujące uderzenia oznajmiały kogoś pragnącego nie alarmować swoją obecnością, kogoś, kto z takich czy innych powodów nie był przekonany o słuszności swojego postępowania. Maxwell zrozumiał, że nie ma sensu udawać głuchego, bowiem zostawił drzwi otwarte i w każdej chwili przybysz mógł swobodnie wejść do chałupy.

Stukanie, które ucichło na jakiś czas, rozległo się ponownie. Maxwell podkradł się do drzwi i otworzył je gwałtownie. Na zewnątrz stał Krewetka, a jego widmowo biały pancerzyk połyskiwał w powodzi promieni słonecznych. Jednym z odnóży, służącym mu teraz bardziej jako ramię niż noga, przyciskał do ciała owinięty papierem pakunek.

— Na miłość boską! — syknął Maxwell. — Proszę wejść, zanim ktoś nas tu zobaczy.

Krewetka przekroczył próg i Maxwell zamknął drzwi, zastanawiając się, z jakiego właściwie powodu tak go popędza.

— Pan nie musieć się obawiać zbieracze wiadomości — powiedział Krewetka. — Ja był ostrożny i ja zauważył. Nie śledzić mnie nikt. Ja tak głupio wyglądający stwór, że mnie nigdy nie śledzić nikt. Nikt mnie nigdy nie wiązać z jakieś cele cokolwiek.

— To szczęście być wyposażonym w coś takiego — stwierdził profesor. — Jak sądzę, można to chyba nazwać ubarwieniem ochronnym.

— Ja przybywać znowu w imię panna Nancy Clayton. Ona wiedzieć, że u pana tylko mały bagaż po podróży, a nie była szansa na zakup albo pranie zrobione. Nie, żeby pan zakłopotać, zlecić mi powiedzieć to z dobry nacisk. Ona chcieć przysłać pan ubranie do włożenia.

Wyjął pakunek spod pachy i wręczył Maxwellowi.

— To miło ze strony Nancy.

— Ona myśląca osoba. Upoważnić mnie, żeby powiedzieć więcej.

— Słucham.

— Będzie pojazd kołowy, żeby zabrać pan do dom.

— Nie ma takiej potrzeby. Pas transportowy przechodzi tuż obok jej domu — zaprotestował Maxwell.

— Raz jeszcze przeproszenie — rzekł Krewetka z uporem — ale ona myśleć tak najlepiej. Jest dużo tu i tamowania przez różne typy kreatur, by poznać pana miejsce pobytu.

— A czy możesz mi zdradzić, skąd panna Clayton zna miejsce mojego pobytu? — spytał Maxwell.

— Naprawdę nie wiedzieć.

— Mniejsza z tym. Czy mógłbyś podziękować ode mnie panie Clayton?

— Z przyjemność — powiedział Krewetka.



— Zawiozę pana pod tylne wejście — zakomunikował kierowca. — Przed frontem kręci się mnóstwo dziennikarzy. Potem pewnie sobie pójda, ale na razie jest ich tam co niemiara. Panna Clayton sugerowała, żeby uchronić pana przed nimi.

— Dziękuję — odparł Maxwell. — To bardzo miło z pańskiej strony.

Stwierdził w duchu, że Nancy, jak zwykle, przejęła inicjatywę, uważając prawo do kierowania krokami innych ludzi za swój przywilej.

Jej dom stał na niewysokiej skarpie górującej nad zachodnim brzegiem jeziora. Po lewej stronie dostrzegał niewyraźne odbłaski słabej poświaty księżycowej na powierzchni wody. Fronton domu tonął w powodzi światła, ale od podwórza panowały całkowite ciemności.

Samochód skręcił z autostrady i wspinał się powoli wąskim, wysadzonym olbrzymimi dębami asfaltowym podjazdem. Nad uliczką, nawołując się krzykliwie, krążyły stada spłoszonych ptaków, a światła reflektorów wyławiały z mroku na krótką chwilę ociężałe bijące skrzydłami sylwetki. Z głębi przypominającego tunel podjazdu nadbiegły ujadając wściekle dwa wielkie psy, zawróciły, po czym zaczęły biec po obu stronach samochodu.

— Gdyby szedł pan pieszo, pożarłyby pana żywcem — zachichotał kierowca.

— Skąd one się wzięły? — zdumiał się Maxwell. — Czyżby Nancy doszła nagle do wniosku, że potrzebna jej ochrona tych wściekłych psów?

— Nie chodzi o pannę Clayton. Jest tu ktoś jeszcze.

Profesor wysiłkiem woli powstrzymał cisnące się na usta pytanie.

Samochód pokonał wijącą się alejkę, zajechał przed otwarty krużganek i zatrzymał.

— Jesteśmy przed tylnym wejściem — oznajmił kierowca. — Nie musi pan pukać. Proszę iść prosto korytarzem aż do kręconych schodów. Przyjęcie odbywa się na piętrze, od frontu.

Maxwell zaczął otwierać już drzwi samochodu, ale się zawahał.

— Psów nie musi się pan obawiać — uspokoił go kierowca. — Rozpoznają samochód. Nie tkną nikogo, kto z niego wysiada.

Rzeczywiście, psy gdzieś zniknęły. Maxwell pospiesznie przeskoczył trzy schodki, otworzył tylne drzwi i wszedł do holu.

Otoczyły go ciemności. Tylko niewielka smużka światła sączyła się w dół krętą klatką schodową — widocznie ktoś zostawił włączone światło na podeście pierwszego piętra. Ale to było wszystko, cały korytarz tonął w mroku. Gdzieś z frontowej części domu dochodziły stłumione odgłosy przyjęcia.

Stał przez chwilę bez ruchu, przyzwyczajając oczy do ciemności, aż wreszcie zaczął dostrzegać, że korytarz wiedzie prosto ku środkowej części budynku, mijając podnóże kręconych schodków. Tam dalej, być może za zakrętem korytarza, musiały znajdować się jakieś drzwi prowadzące do tej części domu, gdzie odbywało się przyjęcie.

To dziwne, pomyślał. Skoro Nancy wydała kierowcy dyspozycje, by podwiózł go pod tylne wejście, powinna była także polecić komuś ze służby, by czekał tu na niego, albo przynajmniej zostawić włączone światło w holu, żeby bez trudu mógł odnaleźć drogę.

To dziwne i raczej niezręczne — przybywać na przyjęcie w ten właśnie sposób, po omacku szukać przejścia korytarzem w kierunku całej reszty zaproszonych gości. Przez chwilę miał nawet ochotę odwrócić się na pięcie i wyjść, pomaszerować z powrotem do chałupy Oopa. Ale przypomniał sobie o obecności psów. Na pewno kręciły się gdzieś w pobliżu, a wyglądały na złośliwe bestie.

Pomyślał, że cała ta historia nie jest w stylu Nancy. Ona nigdy nie zrobiłaby czegoś podobnego. Coś tu było nie w porządku i coraz mniej mu się to podobało.

Ruszył ostrożnie w głąb holu, uważając na krzesło lub stół, które mogłyby stać na jego drodze. Widział teraz nieco lepiej, ale korytarz nadal był dla niego mrocznym, pozbawionym szczegółów tunelem.

Minął schody i zaczął dreptać ostrożnie u ich podnóża, nie chcąc potknąć się o stopnie. Tutaj było jeszcze ciemniej, światelko sączące się z góry nie docierało do niego prawie wcale.

— Profesor Maxwell? — rozbrzmiał jakiś głos. — Czy to pan, profesorze?

Maxwell zastygł w pół kroku, balansując na jednej nodze, po czym powoli opuścił uniesioną stopę na podłogę i znieruchomiał, czując, że całe jego ciało okrywa się gęsią skórką.

— Wiem, że pan gdzieś tu jest, profesorze Maxwell odezwał się ponownie głos.

Właściwie nie był to głos, Maxwell mógł przysiąc, że nie

rozległ się żaden dźwięk, a jednak wyraźnie docierały do niego słowa, może nie tyle za pośrednictwem uszu, co pojawiające się bezpośrednio w mózgu.

Czuł wzbierający strach, próbował go przewyciężyć, ale nie potrafił pozbyć się poczucia zagrożenia. Odnosił wrażenie, że coś czyha na niego pośród ciemności, gotowe w każdej chwili uderzyć.

Chciał coś powiedzieć, ale w gardle tkwił knebel przerażenia.

— Czekałem tu na pana, profesorze — powiedział znowu głos.
— Chcę z panem porozmawiać. Sądzę, że zarówno w pańskim jak i w moim interesie.

— Gdzie pan jest? — wydusił z siebie Maxwell.

— Za drzwiami, zaraz z pańskiej lewej strony.

— Nie widzę tu żadnych drzwi.

Instynkt samozachowawczy podpowiadał mu, żeby nie wdawać się w dyskusje, tylko uciekać, wynosić się stąd najszybciej, jak tylko potrafił.

Ale nie był w stanie się poruszyć, nie mógł zmusić się do ucieczki. Zresztą, którędy miałyby uciekać? Drogę powrotną przez tylne drzwi odcinały czekające gdzieś na zewnątrz psy. Gdyby pobiegł dalej pogrążonym w ciemnościach korytarzem, z pewnością poprzewracałby jakieś sprzęty, narobił straszliwego hałasu, alarmując zebranych na górze gości, którzy znaleźliby go posiniaczonego, w podartym ubraniu i pocącego się ze strachu. Nie wątpił bowiem, że gdy tylko zacznie uciekać, strach zapanuje nad nim niepodzielnie.

Wystarczająco źle wyglądało wkradanie się na przyjęcie tylnym wejściem. Gdyby w dodatku znaleziono go tu w oplakany stanie...

Żeby to jeszcze był normalny głos, jakikolwiek rodzaj głosu,

nie podsycający przerażenia... Ale to nie był zwykły głos — ten całkowity brak intonacji, surowe, mechaniczne, drażniące pojawianie się słów w mózgu. Nie mógł pochodzić od człowieka. Tam, w pokoju, przebywał Nieziemiec.

— Drzwi znajdują się obok pana — ponagłał płaski, twardy głos. — Proszę zrobić mały krok w lewo i popchnąć je. Sytuacja stawała się śmieszna. Mógł jedynie wejść do pokoju albo odwrócić się i uciekać. Powinien po prostu pójść dalej, wiedział jednak, że w tej samej chwili, kiedy odwróci się plecami do ukrytych w ciemnościach drzwi, zacznie biec — nie z własnej woli, ale powodowany panicznym strachem, przerażony tym, co czyha za jego plecami.

Przesunął się o krok w lewo, wymacał drzwi i pchnął je. Pokój również tonął w ciemnościach, lecz przez okna wpadało nieco światła którejś z lamp płonących na frontowym dziedzińcu, oświetlając tkwiącą pośrodku pomieszczenia kulistą istotę. Zwisający, galaretowaty brzuch połyskiwał fluorescencyjnie, sprawiając wrażenie okrągłego akwarium, w którym hodowano luminescencyjne żyjątka morskie.

— Tak, ma pan całkowitą rację — odezwało się stworzenie. — Jestem przedstawicielem rasy, którą wy nazywacie Kołowcami. Specjalnie do celów mojej wizyty na Ziemi przybrałem sobie miano, które wasze umysły przyswoją bez trudu. Może mnie pan nazywać Mr Marmaduke. Tylko dla konwenansu. Mam nadzieję, że pan rozumie, iż nie jest to moje prawdziwe nazwisko. W rzeczywistości nikt z nas nie posiada nazwiska, nie są nam potrzebne. Indentyfikujemy się w zupełnie inny sposób.

— Miło mi pana poznać, panie Marmaduke — wycedził powoli Maxwell. Nie mógł mówić normalnie, jego wargi, podobnie jak reszta ciała, były dziwnie zeszywniałe, jakby zmrożone.

— Mnie także, profesorze.

— Skąd pan wiedział, kim jestem? — zapytał Maxwell. Zdaje się, że nie miał pan żadnych wątpliwości. Wiedział part, rzecz jasna, że będę przechodził właśnie tędy.

— Oczywiście — przytaknął Kołowiec.

Teraz Maxwell miał okazję przyjrzeć się nieco lepiej legendarnej istocie. Nadęte, obłe ciało wspierało się na dwóch kołach, a dolna, owalna część połyskiwała, sprawiając wrażenie misy pełnej kłębiących się robaków.

— Jest pan gościem Nancy? — zapytał.

— Tak, oczywiście — odparł Mr Marmaduke. — Gościem honorowym, jak sędzę, pośród tej całej zbieraniny.

— Zatem powinien pan być razem ze wszystkimi.

— Wymówiłem się zmęczeniem — wyjaśnił Mr Marmaduke.

— To drobny wykręt, przyznaję, jako że nigdy nie bywam zmęczony. Wyszedłem więc, aby odpocząć chwilę...

— I poczekać na mnie?

— W istocie — przyznał Mr Marmaduke.

Czyżby Nancy...? pomyślał Maxwell. Nie. Nancy prawie na pewno nie była w to zamieszana. Była zbyt ograniczona, troszczyła się jedynie o swoje bezustanne przyjęcia, a tym samym nie byłaby zdolna do jakiegokolwiek intrygi.

— Jest pewna sprawa, o której powinniśmy porozmawiać — zagaił Mr Marmaduke. — Sprawa, która może przynieść zyski nam obojgu. Pan szuka kupca, jak się domyślam, na pewien dość niezwykły towar. Otóż ja byłbym, przynajmniej w pewnym stopniu, zainteresowany tym towarem.

Maxwell cofnął się o krok, gwałtownie szukając jakiejś odpowiedzi. Ale nie był w stanie wymyślić niczego sensownego. Powinien być na to przygotowany, a przynajmniej spodziewać

się czegoś podobnego.

— Pan milczy, a przecież nie może być mowy o pomyłce kontynuował Mr Marmaduke. — Nie mam wątpliwości, że to pan występuje w roli pośrednika przy tej transakcji.

— Owszem, jestem pośrednikiem — przyznał Maxwell. Zdawał sobie sprawę, że zaprzeczenie nie ma najmniejszego sensu. W taki czy inny sposób owo obłeśne stworzenie dowiedziało się o istnieniu krystalicznej planety i bogactwie zgromadzonej tam wiedzy. Możliwe, że znało również cenę. Czyżby to właśnie Kołowiec złożył ofertę na zakup Artefaktu?

— Zatem proponuję, abyśmy przeszli od razu do interesów i omówili warunki — rzekł Mr Marmaduke. — Nie zapominając, rzecz jasna, o określeniu należnego panu profitu.

— Obawiam się, że w chwili obecnej jakiegokolwiek omawianie warunków nie ma sensu — odezwał się Maxwell. — Ja sam nie znam warunków transakcji, miałem jedynie znaleźć potencjalnych nabywców i dopiero wówczas...

— Proszę się nie martwić — wtrącił Mr Marmaduke. — Jestem w posiadaniu brakującej panu informacji, znam warunki transakcji.

— I zapłaci pan żadaną cenę?

— O tak, bez zastrzeżeń — pospiesznie rzucił Kołowiec. Już niedługo, kiedy tylko doprowadzę do końca pewne negocjacje, będę w stanie ją zapłacić. Zostanie nam wtedy jedynie dopełnić formalności i bez zbytnich ceremonii czy kłopotów zakończyć całą sprawę. Jediną rzeczą, jak mam wrażenie, którą powinniśmy teraz ustalić, jest wysokość pańskiego honorarium. Proszę się więc nie krępować.

— Mogę się spodziewać, że będzie to odpowiednio wysokie honorarium — stwierdził sarkastycznie Maxwell.

— Rozważaliśmy propozycję powierzenia panu stanowiska bibliotekarza, gdyż będzie to chyba najlepsze określenie, biorąc pod uwagę towar, który zamierzamy nabyć — stwierdził Mr Marmaduke. — Sam pan rozumie, że trzeba będzie włożyć wiele pracy w usystematyzowanie i uporządkowanie całego zbioru. Doszliśmy do wniosku, że do tej pracy najlepszy byłby ktoś pańskiego pokroju, sądzę także, że i dla pana stanowiłoby to niezwykle interesujące zajęcie. A co się tyczy wynagrodzenia, profesorze Maxwell, a także innych warunków zatrudnienia, oczekujemy pańskich propozycji.

— Będę się musiał nad tym zastanowić.

— Bez wątplenia. W takim przypadku należy się z pewnością zastanowić. Chcę jednak zapewnić, że może pan liczyć na naszą hojność.

— Nie to miałem na myśli — powiedział Maxwell. — Muszę przemyśleć całość sprawy, zastanowić się, czy w ogóle będę skłonny przeprowadzić tę transakcję dla pana.

— Czyżby obawiał się pan, że towar dostanie się w nieodpowiednie ręce?

— Coś w tym rodzaju — przyznał Maxwell.

— Profesorze Maxwell — zaczął władcym tonem Kołowiec. — Zachowałby się pan rozsądnie, gdyby zostawił pan na boku podobne wątpliwości. Najlepiej by było, gdyby nie miał pan co do nas w ogóle żadnych wątpliwości. Jesteśmy całkowicie zdecydowani na zdobycie tego, co pan ma do zaoferowania. A więc w pańskim żywotnym interesie leży zawarcie umowy z nami.

— Czy chcę tego, czy nie? — upewnił się Maxwell.

— Nie określiłbym tego aż tak brutalnie — stwierdził mr Marmaduke. — Ale ma pan całkowitą rację.

— Pańska pozycja nie jest chyba na tyle mocna, aby stawiać sprawę w ten sposób — zauważył Maxwell.

— Sądzę, że pan po prostu nic nie wie o pozycji, z jakiej występujemy — oznajmił Kołowiec. — Wasza wiedza dotyczy tylko niewielkiego wycinka przestrzeni. Skąd możecie wiedzieć, co kryje się w nieznanym wam rejonach Galaktyki?

W brzmieniu tych słów, w sposobie, w jaki zostały wypowiedziane, było coś, co przeniknęło Maxwella dreszczem, jak gdyby przez ten pokój przetoczył się nagle ostry podmuch lodowatego wiatru, pochodzącego z niezbadanych rejonów wszechświata.

“Wasza wiedza dotyczy tylko niewielkiego wycinka przestrzeni” — w jego umyśle ponownie rozbrzmiały słowa tamtego. Skąd można wiedzieć, co kryje się w nie zbadanych rejonach Galaktyki? Oczywiście, tego nikt nie mógł wiedzieć. Pewne było tylko to, że gdzieś poza najdalej wysuniętymi przyczółkami cywilizacji ziemskiej zaczyna się imperium Kołowców. Docierały stamtąd różne, mrozące krew w żyłach opowieści, rodzące się głównie w ludzkiej wyobraźni, zainspirowanej jak zawsze, ciekawością tego co nieznanego, niewiadomego, a znajdujące się o wyciągnięcie ręki.

Kontakty z Kołowcami były sporadyczne, nadal prawie nic o nich nie wiadomo — już tylko ten fakt sam w sobie mógł napawać lękiem. Ani ze strony Kołowców, ani ludzi, czy też przyjaciół lub sprzymierzeńców jednych i drugich, nie było żadnych gestów dobrej woli, nikt nie chciał pierwszy wyciągnąć dłoni. Na styku obu kultur wytworzyła się samoistnie granica, a żadna ze stron nie spieszyła się do jej przekroczenia.

— Może łatwiej byłoby mi podjąć decyzję— odezwał się w końcu Maxwell — gdyby moja wiedza została poszerzona,

gdybyśmy mogli dowiedzieć się czegoś więcej o was.

— Pamiętajcie tylko o tym, że jesteśmy robakami — wyrzucił z siebie Mr Marmaduke, a słowa te przepełnione były pogardą. — Jesteście nietolerancyjni.

— Nie jesteśmy nietolerancyjni — odparł Maxwell ze złością — i wcale nie uważamy was za robaki. Wiemy, że stanowicie coś, co można by nazwać kompleksem ula. Wiemy, że każdy z was jest kolonią stworzeń podobnych do tych form życia, które tu, na Ziemi, zaliczamy do insektów. Oczywiście, bardzo różnicie się od nas budową, ale tak samo różnią się od nas liczni mieszkańcy wielu różnych planet. Bardzo nie lubię słowa “nietolerancyjny”, panie Marmaduke, ponieważ implikuje ono, że powinna istnieć tolerancja, a przecież nie może być mowy o tego typu kryterium — ani w stosunku do pana, ani do mnie, ani do jakiegokolwiek innej istoty we wszechświecie.

Stwierdził, że aż trzęsie się z wściekłości i zdziwił go nieco fakt, iż do tego stopnia wyprowadziło go z równowagi jedno słowo. Ze spokojem odebrał wiadomość o tym, że Kołowiec zamierza kupić wiedzę zgromadzoną na krystalicznej planecie, natomiast zapłonął wściekłością słysząc to jedno, specyficzne słowo. Możliwe iż powodem był fakt, że wobec konieczności pokojowego współżycia przedstawiciele tak wielu różniących się od siebie ras, zarówno tolerancja jak i nietolerancja stały się wyświechtanymi hasłami.

— Pańska argumentacja jest przekonywająca i logiczna stwierdził Marmaduke. — Możliwe, że nie jest pan nietolerancyjny...

— Nawet gdyby w grę wchodziło coś takiego jak nietolerancja, nie mogę zrozumieć, dlaczego miałby pan czuć się urażony. Powinna to być ujma bardziej dla tego, kto okazuje podobne

uczucia niż dla tego, przeciwko komu są one skierowane. Świadczyłyby nie tylko o złych manierach, ale również o niskim poziomie wiedzy. Nie ma nic głupszego niż nietolerancja.

— Cóż zatem, jeżeli nie brak tolerancji, stanowi przyczynę pańskiego wahania? — zapytał Kołowiec.

— Chciałbym wiedzieć, jak zamierzacie wykorzystać ten towar? Chciałbym poznać przyświecające wam cele. Chciałbym dowiedzieć się o was jeszcze wielu innych rzeczy.

— Żeby mógł pan nas osądzić?

— Nie wiem — odparł cierpko Maxwell. — Czy w podobnej sytuacji możliwy jest jakikolwiek osąd?

— Mówimy zbyt wiele — uciął Mr Marmaduke. — A z tej rozmowy nic nie wynika. Uświadomiłem sobie, że pan nie ma najmniejszego zamiaru wejść z nami w jakiegokolwiek układy.

— Nie pozostaje mi nic innego, jak przyznać panu rację stwierdził Maxwell.

— Cóż, będziemy musieli znaleźć inny sposób — oświadczył Mr Marmaduke. — Pańska odmowa oznacza dla nas poważną stratę czasu i wiele kłopotów. Rozumie pan, że nie może liczyć na wdzięczność z naszej strony.

— Sądzę, że uda mi się jakoś znieść waszą niewdzięczność — odparł Maxwell.

— Być stroną wygrywającą, szanowny panie, oznacza także mieć z góry określoną przewagę — ostrzegł go Marmaduke.

Jakiś wielki cień przemknął obok Maxwella. Kątem oka zdążył złowić jedynie błysk białych kłów, ciemny zarys muskularnego ciała.

— Nie! — krzyknął. — Sylwester! Nie! Zostaw go!

Mr Marmaduke ruszył błyskawicznie. Jego koła zamieniły się w wirujące smugi. Zakręcił ciasnym półkolem wymijając

szarżującego Sylwestra i potoczył się w stronę drzwi. Pazury tygrysa zazgrzytały o podłogę i kocur zawrócił śladem uciekiniera. Widząc, że Kołowiec sunie prosto na niego, Maxwell uskoczył pod ścianę, ale jedno z kół zdążyło zawadzić o jego ramię i został brutalnie odepchnięty do tyłu. Ze świstem Mr Marmaduke przetoczył się i znalazł za drzwiami. Sylwester popędził za nim niczym długi, sprężysty, brunatny pocisk, zdający się ledwie dotykać łapami podłogi.

— Sylwester! Stój! — krzyknął Maxwell, rzucając się w stronę drzwi. W korytarzu zakręcił gwałtownie, nogi mu się rozjechały na śliskiej podłodze, ale zdołał jakoś utrzymać równowagę.

W głębi korytarza dostrzegł umykającego Kołowca. Sylwester znajdował się tuż za nim. Nie krzyczał więcej na kota, postanowił oszczędzać oddech i rzucił się w szaleńczą pogoń.

Na końcu korytarza Mr Marmaduke wykonał gwałtowny skręt w lewo. Sylwester, niemal sięgający go już przednimi łapami, wpadł w poślizg i nim udało mu się w końcu zakręcić, stracił kilka cennych sekund. Uprzedzony o zakręcie korytarza, Maxwell zwolnił bieg i pokonał go łagodnie. Przed nim w głębi wyłonił się oświetlony hol, kończący się kilkoma marmurowymi schodkami wiodącymi ku salonowi, gdzie dostrzegł ludzi ze szklaneczkami w dłoniach, stojących w niewielkich grupkach.

Mr Marmaduke z dużą szybkością zmierzał w kierunku schodów. Sylwester znajdował się teraz zaledwie o jeden skok przed Maxwellem, natomiast od Kołowca dzieliły go trzy dobre susy.

Maxwell chciał krzyknąć na kota, ale nie mógł złapać oddechu, a poza tym wydarzenia rozgrywały się za szybko. Kołowiec dotarł już do podnóża schodów. Maxwell rzucił się do przodu z rozpostartymi ramionami, lądując na grzbiecie szablozębnego,

otoczył rękoma jego szyję i razem potoczyli się po podłodze. Kątem oka spostrzegł jeszcze, że Kołowiec balansuje ukosem na stopniach schodów i zaczyna pochylać się do przodu.

Nagle rozległy się krzyki przestraszonych kobiet i zaskoczonych mężczyzn oraz brzęk tłuczonego szkła. Maxwell stwierdził ponuro, że przynajmniej tym razem przyjęcie okaże się o wiele bardziej atrakcyjne, niż zakładała to sama Nancy.

Zatrzymali się w końcu na ścianie obok schodów. Sylwester, który znalazł się na górze, pochylił łeb i usiłował polizać go czule po twarzy.

— Tym razem naprawdę ci się udało, Sylwester — mruknął. — Postawiłeś nas właśnie w dość kłopotliwej sytuacji. Sylwester nadal chlastał ozorem. Z głębin jego piersi dobywał się głośny pomruk zadowolenia.

Maxwell odsunął kota i podpierając się na łokciach usiadł z plecami wspartymi o ścianę.

Powyżej schodów, na podłodze salonu leżał na boku Mr Marmaduke. Oba jego koła wirowały z zawrotną szybkością, przy czym dolne, ocierające o posadzkę, wprawiały go, niczym bąka, w powolny ruch obrotowy.

Po schodach zbiegła szybko Carol, stanęła z pięściami wspartymi na biodrach i popatrzyła w dół na Maxwella i Sylwestra.

— To wy dwaj! — krzyknęła, dławiąc się ze złości.

— Jest nam bardzo przykro — powiedział Maxwell.

— Gość honorowy! — wrzasnęła, a w jej głosie pojawiło się więcej piskliwych tonów. — Gość honorowy! A wy dwaj ścigacie go korytarzem, jak byście byli na polowaniu na sarny!

— Nic mu się takiego nie stało — mruknął Maxwell. — Jak widzę, nie ucierpiał zanadto. A wcale bym się nie dziwił, gdyby

jego brzuszysko rozpękło się i to całe robactwo rozpełzło po podłodze.

— Co sobie pomyśli Nancy? — rzuciła oskarżycielskim tonem Carol.

— Wyobrażam sobie, że będzie zachwycona — odparł Maxwell. — Nie było podobnych atrakcji na żadnym z jej przyjęć od czasu, gdy ziejący ogniem, ziemnowodny mieszkaniec Systemu Pokrzywy na któreś Boże Narodzenie podpalił choinkę.

— Oczywiście zmyślasz — stwierdziła Carol nieco spokojniejszym głosem. — Nie myśl, że uwierzę w te bajki.

— Słowo honoru! Byłem tu wówczas i widziałem na własne oczy, pomagałem nawet gasić ogień.

W salonie kilku gości uchwyciło leżącego Kołowca i dźwigali go w górę, by mógł stanąć na swoich kołach. Dokoła krzątały się już miniaturowe roboty domowe, zbierając z podłogi rozbite szkło i wycierając rozlane napoje.

Maxwell podniósł się na nogi. Sylwester nie miał zamiaru odstąpić od niego, ocierał się o kolana i mruczał bezustannie. Pojawiła się wreszcie Nancy i wdała w rozmowę z panem Marmaduke. Goście nadal otaczali go szerokim półkolem i przysłuchiwali się cichej wymianie zdań.

— Na twoim miejscu zwiąłabym stąd jak najprędzej — zasugerowała Carol. — Nie sądzę, żebyś został serdecznie przyjęty przez nią.

— Wręcz przeciwnie — odparł Maxwell. — W tym domu zawsze jestem mile widziany.

Ruszył nieśpiesznie w stronę schodów, a Sylwester pomaszerował za nim z królewską gracją. Nancy odwróciła się, ujrzała go, po czym przedarła się przez tłum i szybkim krokiem podeszła do niego.

— Peter! — zawołała. — Więc to prawda, znów jesteś wśród nas.

— Tak, oczywiście.

— Czytałam o tobie w gazetach, ale nie mogłam w to uwierzyć. Sądziłam, że to oszustwo, albo głupi kawał.

— I mimo wszystko zaprosiłaś mnie? — Ja cię zaprosiłam?

Nie oszukiwała go. Widział to wyraźnie po jej minie.

— Mam rozumieć, że to nie ty przysłałaś do mnie Krewetkę...

— Jaką krewetkę?

— Stworzenie, które przypominało przerośniętą Krewetkę... Zaprzeczyła ruchem głowy, a na jej twarzy odmalowało się głębokie zdumienie. Patrząc na nią, Maxwell z pewnym niedowierzaniem spostrzegł pierwsze oznaki starzenia się. W kącikach oczu pojawiły się liczne drobniutkie zmarszczki, których nawet kosmetyki nie były w stanie ukryć.

— Stworzenie przypominające krewetkę — powtórzył. Powiedział, że występuje w twoim imieniu. Przekazał mi zaproszenie na przyjęcie i rzekł, iż zostanie przysłany po mnie samochód. Przyniósł mi nawet ubranie, mówiąc...

— Uwierz mi, Peter — przerwała mu Nancy. — Nie zrobiłam niczego podobnego, nie zapraszałam cię, ale bardzo się cieszę, że przyszedłeś.

Podeszła bliżej, położyła dłoń na jego ramieniu, a na jej ustach wykwitł kpiący uśmiezek.

— Za to z przyjemnością dowiem się, co właściwie zaszło pomiędzy tobą i panem Marmaduke — dodała ciszej.

— Bardzo mi przykro z tego powodu.

— Daj spokój. Jest moim gościem i powinien być traktowany na równi z resztą gości, ale w gruncie rzeczy jest okropny, Peter. To wyjątkowy nudziarz, a do tego snob i...

— Nie teraz — szepnął ostrzegawczo Maxwell.

Mr Marmaduke uwolnił się z kręgu gości i toczył się powoli w ich kierunku. Nancy odwróciła się ku niemu.

— Czy nic się panu nie stało? — zapytała. — Dobrze się pan czuje?

— Wszystko w porządku — burknął Kołowiec.

Podtoczył się bliżej do Maxwella i z górnej części beczkowatego ciała wysunęło się ramię — cienkie, elastyczne, sznurkopodobne, bardziej przypominające mackę zakończoną trzema szponiastymi palcami. Wyciągnął ją na całą długość i otoczył nią ramiona Maxwella. Czując dotyk macki profesor miał ochotę odskoczyć, lecz jedynie ogromnym wysiłkiem woli powstrzymał dreszcz obrzydzenia.

— Bardzo panu dziękuję — odezwał się Mr Marmaduke. Jestem ogromnie wdzięczny. Prawdopodobnie uratował mi pan życie. Padając, dostrzegłem, jak pan rzucił się na tę bestię. To był bohaterский wyczyn.

Tulący się do nogi Maxwella Sylwester uniósł w górę łeb, zwiesił dolną szczękę, obnażając kły, i zaczął cicho warczeć.

— On nie skrzywdziłby pana — wtrąciła Carol. — Jest łagodny jak kotek. Gdyby nie rzucił się pan do ucieczki, na pewno nie pogoniłby za panem. Zrozumiał widocznie, że chce się pan z nim zabawić, a on uwielbia takie zabawy.

Sylwester ziewnął szeroko, ukazując wszystkie zęby.

— Ja natomiast nie przepadam za podobnymi zabawami stwierdził Mr Marmaduke.

— Przeraziłem się nie na żarty, widząc pański upadek rzekł Maxwell. — Myślałem przez moment, że zaraz pan pęknie.

— Nie ma podstaw do obaw — odparł Kołowiec. — Jestem wyjątkowo elastyczny. Moje ciało jest zrobione ze znakomitego

materiału, mocnego, twardego, a zarazem sprężystego.

Macka zsunęła się z ramion Maxwella, zawirowała w powietrzu jak natłuszczony sznur, aż w końcu zniknęła z powrotem w korpusie. Maxwell zauważył ze zdumieniem, że w miejscu, gdzie skryła się w ciele, nie pozostał nawet najmniejszy ślad.

— Proszę mi wybaczyć — rzekł Mr Marmaduke. — Jest tu ktoś, z kim chciałbym się jeszcze zobaczyć. — Zawrócił i potoczył się szybko w głąb salonu.

Nancy wzruszyła ramionami.

— Skóra mi ścierpła — powiedziała. — Chociaż muszę przyznać, że jego obecność jest ogromną atrakcją. Nie każdy ma okazję gościć w swym domu Kołowca. Nie muszę ci chyba mówić, Peter, ile zachodu kosztowało mnie, żeby przyjął zaproszenie. Ale teraz żałuję. On przyprawia o mdłości.

— Czy wiesz, po co tu przybył? Po co w ogóle zjawił się na Ziemi?

— Nie mam pojęcia. Odnoszę wrażenie, że przybył tu jako zwykły turysta. Z drugiej strony nie mogę sobie wyobrazić, żeby taką kreaturę interesowała turystyka.

— Chyba masz rację — stwierdził Maxwell.

— Opowiedz mi coś o sobie, Peter. Czytałam w gazetach...

— Tak, wiem — wtrącił uśmiechając się szeroko. — Piszą, że wróciłem z zaświatów.

— Nie wierzę. Przecież to w ogóle niemożliwe, prawda? Kogo więc pochowaliśmy? Wszyscy byliśmy na pogrzebie i wszyscy sądziliśmy, iż żegnamy ciebie. Ale to nie mogłeś być ty. Cokolwiek się stało...

— Dopiero wczoraj wróciłem na Ziemię, Nancy. Okazało się, że nie żyję, moje mieszkanie zostało wynajęte, straciłem pracę, a...

— To nie może być prawda. Takie rzeczy po prostu się nie zdarzają. Nie mogę zrozumieć, jak do tego doszło.

— Dla mnie również nie wszystko jest jasne — stwierdził Maxwell. — Mam nadzieję, że kiedyś poznam więcej szczegółów.

— Mniejsza o to. Wróciłeś do nas i wszystko jest w porządku. Jeśli nie masz ochoty o tym rozmawiać, szepnę komu trzeba, żeby cię nie nagabywali.

— To miło z twojej strony. Ale nie wierzę, żeby to zdało egzamin.

— Dziennikarzami nie musisz się przejmować, nie ma wśród gości ani jednego. Zwykle zapraszałam kilku wybranych, którym, jak mi się zdawało, mogę ufać. Lecz okazało się, że nie można ufać żadnemu z nich, doświadczyłam tego ostatnio na własnej skórze. Dzisiaj nie musisz się obawiać dziennikarzy.

— O ile mi wiadomo, zdobyłaś obraz...

— A więc wiesz już o nim? Chodź, pokażę ci go. Jestem z niego strasznie dumna. Rozumiesz, to sam Lambert! W dodatku nie wymieniany w żadnych książkach. Później opowiem ci, w jakich okolicznościach został odnaleziony, nie powiem ci tylko, ile mnie kosztował. Nie zdradzę tego nikomu. Wstydzę się.

— Dużo czy mało?

— Dużo — oparła Nancy. — A musiałam jeszcze przedsięwziąć odpowiednie środki ostrożności, by nie kupić falsyfikatu. Nie chciałam nawet rozmawiać o cenie, dopóki nie został zbadany przez eksperta. Nawet dwóch ekspertów. Chciałam mieć możliwość skonfrontować opinie, choć w gruncie rzeczy nie było to konieczne.

— Nie ma żadnych wątpliwości, że to dzieło Lamberta? — Najmniejszych. Sama byłam prawie pewna, nikt inny nie malował w tym samym stylu co Lambert. Musiałam się tylko

upewnić, że nie jest to kopia.

— Co wiesz na temat Lamberta? — zapytał Maxwell. Może wiesz coś więcej niż wszyscy. Chodzi mi o szczegóły, których nie opisuje się w książkach.

— Nie. Na dobrą sprawę wiem niewiele, a prawie nic o samym malarzu. Dlaczego pytasz?

— Ponieważ jesteś taka podekscytowana.

— Mam prawo! Czy odkrycie nieznanego dzieła Lamberta nie jest wystarczającym powodem? Mam jeszcze dwa inne jego obrazy, ale ten jest wyjątkowy, właśnie dlatego, że nikt nie wiedział o jego istnieniu. Zrozum, to nie jest obraz, który zaginął. Naprawdę nikt nie wiedział, że Lambert go namalował. Nie ma na jego temat żadnych dokumentów, nie wymieniają go żadne zapiski, jakie dotrwały do naszych czasów. To jedna z jego tak zwanych grotesek. Wręcz trudno uwierzyć, że takie dzieło spoczywało w zapomnieniu, że pominęli je biografowie. Gdyby to była któraś z wcześniejszych prac, wtedy coś podobnego byłoby nawet zrozumiałe.

Przeszli prawie przez cały salon, mijając niewielkie grupki pograżonych w rozmowach gości.

— Oto on — powiedziała Nancy.

Przecisnęli się przez liczniejsze grono, skupione pod ścianą, na której wisiał obraz. Maxwell podniósł głowę i zapatrzył się w malowidło.

Utrzymany był w nieco odmiennej tonacji od pozostałych, których reprodukcje oglądał tego ranka w bibliotece. Wrażenie to potęgował znacznie większy format płótna, a także pastelowe, czyste barwy, których reprodukcje nie były w stanie w pełni oddać. Uświadomił sobie jednak, że to nie wszystko. Zarówno pejzaż, jak i widoczne na jego tle postacie były zupełnie inne.

Krajobraz przypominał widoki Ziemi — pasmo szarych wzgórz, brunatne plamy kęp krzewów, niewysokie, podobne do paproci drzewa. Równiną, w stronę odległych wzgórz, wędrowała gromada postaci, które można było utożsamiać z gnomami; wokół drzewa rozsiadła się grupa istot goblinopodobnych — z plecami wspartymi o pień wyglądali na pogrążonych w drzemce, a dziwaczne kapelusze osłaniały im oczy. Ale widniały tam jeszcze innego typu stworzenia, przerażające, wyłupiastookie potwory, o odrażających sylwetkach, których rysy twarzy mroziły krew w żyłach.

Na rozległym, płaskim szczycie jednego z oddalonych wzgórz, u podnóża którego gromadził się tłum różnego typu stworów, odcinając się wyraźnie na tle jasnoszarego nieba, uwieczniony został nieduży, czarny przedmiot.

Maxwell w zdumieniu wciągnął głęboko powietrze, podszedł o krok bliżej, zatrzymał się i zamarł, zeszywniał, niezdolny poruszyć ręką ani nogą.

To niemożliwe, żeby nikt przedtem tego nie zauważył, stwierdził w duchu. A nawet jeśli zauważył, doszedł być może do wniosku, że nie warto zawracać sobie tym głowy, bądź też nie był pewien i dlatego nie kwapił się podzielić z kimkolwiek swoim spostrzeżeniem.

Ale Maxwell nie miał żadnych wątpliwości. Był absolutnie pewien, że to, na co patrzy — owa drobna czarna plamka na szczycie odległego wzgórza — nie może przedstawiać niczego innego jak Artefakt!



Maxwell znalazł odosobniony kąt — dwa krzesła schowane za jakąś ogromną, kwitnącą rośliną umieszczoną w gigantycznej marmurowej donicy — gdzie nie było nikogo. Usiadł.

Przyjęcie zbliżało się ku końcowi, tłum powoli topniał. Część gości już wyszła, a ci którzy pozostali, robili zdecydowanie mniej hałasu. Maxwell stwierdził w duchu, że następna osoba, która zapyta go, co mu się przydarzyło, zaliczy solidny cios w szczękę.

Będę wyjaśniał — odpowiedział wczorajszego wieczora na pytanie Carol. Będę wyjaśniał wciąż od nowa. A dziś, kiedy zmuszony był czynić to bezustannie, kiedy wyjaśniał szczerze, pomijając jedynie pewne szczegóły, spotkał się z całkowitą nieufnością. Patrzyli na niego szklistymi oczyma i zastanawiali się, czy upił się do tego stopnia, czy usiłuje robić z nich durniów.

Uświadomił sobie, że na dobrą sprawę to on wyszedł na idiotę. Został zaproszony na przyjęcie do Nancy Clayton, ale nie przez nią. Nie ona przysłała mu ubranie na zmianę, ani samochód, który podwiózł go przed tylne wejście specjalnie po to, by musiał przejść korytarzem obok drzwi, za którymi czekał Kołowiec. Gotów był postawić dziesięć do jednego, że psy także nie należały do Nancy, nie przyszło mu jednak do głowy, żeby zapytać ją o to.

Ktoś zadał sobie wiele trudu, by w tak niezręczny i zawiły sposób zaaranżować spotkanie, żeby Kołowiec na pewno miał

możliwość porozmawiać z nim. Było to tak melodramatyczne, tak zalatujące opowieściami płaszczą i szpady, że aż śmieszne. Chociaż, w gruncie rzeczy, jemu akurat było zupełnie nie do śmiechu.

Objął szklaneczkę z drinkiem obiema dłońmi i zasłuchał się w gwar zamierającego przyjęcia.

Wyjrzał ostrożnie zza gąszczy zieleni, próbując dojrzeć Kołowca. Nie było go jednak nigdzie w pobliżu, mimo iż przez prawie cały wieczór kręcił się koło Maxwella.

Bezmyślnie przekładał szklaneczkę z ręki do ręki, nie mając już ochoty na drinka — czuł się tak, jakby wypił odrobinę za dużo. W rzeczywistości nie pił dużo, ale nie było to dla niego odpowiednie miejsce do picia; zamiast nielicznej grupy serdecznych przyjaciół otaczała go zbyt wielka gromada obcych lub tylko przelotnie znanych mu osób, a zamiast przytulnego pomieszczenia znajdował się w za dużym i całkowicie pozbawionym osobowości salonie. Był zmęczony, dopiero teraz uświadomił sobie, jak bardzo zmęczony. Miał ochotę jak najszybciej wstać, pożegnać się z Nancy, o ile znajdzie ją gdzieś w pobliżu, i wrócić najkrótszą drogą do chałupy Oopa.

A jutro? Było tak wiele spraw, które musiał jutro załatwić. Postanowił jednak na razie nie zaprzętać sobie nimi głowy. Nawet myślenie odkładał do jutra.

Podniósł szklaneczkę ponad krawędź marmurowej donicy i wylał jej zawartość do ziemi.

— Na zdrowie! — mruknął do rośliny.

Ostrożnie i powoli, tak by nie stracić równowagi, pochylił się i postawił szklaneczkę na podłodze.

— Sylwester! Czy wiesz, kogo my tu mamy? — rozległ się jakiś głos.

Odwrócił się. Po przeciwnej stronie donicy stała Carol wraz z tulącym się do jej nóg Sylwestrem.

— Chodźcie tutaj — zaprosił. — Znalazłem sobie tę małą kryjówkę. Jeżeli będziecie oboje stać spokojnie...

— Przez cały wieczór próbowałam zdybać cię gdzieś na uboczu — przerwała mu Carol — ale to było niewykonalne. Czy mógłbyś mi zdradzić, o co chodziło w tym wspólnym polowaniu z Sylwestrem na Kołowca?

Wsunęła się głębiej w róg pokoju za donicą i z surową miną czekała na wyjaśnienia.

— Byłem tak samo zaskoczony jak ty — rzekł. — Kiedy nie wiadomo skąd pojawił się Sylwester, nie zdążyłem nawet otworzyć ust. Nie miałem pojęcia...

— Często jestem gościem na podobnych przyjęciach przerwała mu lodowatym tonem. — Oczywiście, nie z mojego powodu, gdybyś miał jeszcze jakieś wątpliwości, ale z uwagi na Sylwestra. Stanowi dobry temat do rozmów.

— Cóż, to chyba dobrze dla ciebie — próbował zażartować. — Masz punkt przewagi nade mną. Ja w ogóle nie byłem zaproszony.

— Tak czy inaczej, również się tu znalazłeś.

— Lepiej nie pytaj, w jaki sposób. Zmusiłabyś mnie do udzielania wyjaśnień.

— Sylwester zawsze zachowywał się jak grzeczny kotek dodała oskarżycielsko. — Jest może trochę łapczywy, ale to dżentelmen.

— Tak, wiem, że wywieram zły wpływ na wszystkich, z którymi się stykam — przyznał Maxwell.

Carol obeszła w końcu donicę i usiadła na sąsiednim krześle.

— Czy zamierzasz udzielić odpowiedzi na moje pytanie? Maxwell pokręcił głową.

— Nie wiem, czy potrafię. To wszystko było mocno zagmatwane.

— Chyba nigdy nie spotkałam bardziej irytującego człowieka — syknęła. — Z całą pewnością nie traktujesz mnie poważnie.

— Swoją drogą — wtrącił — widziałas obraz, prawda?

— Dlaczego pytasz? Oczywiście, że widziałam. Przecież jest główną atrakcją przyjęcia. Na równi z tym śmiesznym Kołowcem.

— Nie zauważyłaś nic niezwykłego?

— Niezwykłego?

— Owszem, na obrazie.

— Nie, chyba nie.

— Znajduje się tam, na szczycie wzgórza, niewielki prostokąt. Czarny, jakby wkopany w ziemię. Wygląda zupełnie jak Artefakt.

— Przegapiłam go. Nie przyglądałam się aż tak dokładnie.

— Myślę, że zwróciłaś uwagę na gnomy.

— Tak, zauważyłam je. Faktycznie, postacie przypominały gnomy.

— A te wszystkie inne stwory? — ciągnął Maxwell. — Wyglądały w jakiś sposób odmiennie.

— Odmiennie od czego?

— Lambert zwykle malował trochę inne stworzenia.

— Nie wiedziałam, że jesteś ekspertem w dziedzinie twórczości Lamberta.

— Nie jestem — odparł. — Kiedy dziś rano dowiedziałem się o przyjęciu i nowym obrazie Nancy, poszedłem do czytelnicy i przejrzałem książkę, w której było też wiele kolorowych reprodukcji dzieł Lamberta.

— A właściwie co z tego, że są one inne? — zapytała Carol. — Malarz ma przecież prawo malować, co tylko sobie zażyczy. —

Pewnie, że ma, wcale tego nie neguję. Ale obraz Nancy przedstawia Ziemię. Został na nim uwieczniony Artefakt, nie wątpię w to, a zatem obraz musi przedstawiać Ziemię. Rzecz jasna, nie taką Ziemię, jaką znamy dzisiaj, ale prawdopodobnie z epoki jurajskiej.

— Czyżbyś uważał, że inne jego obrazy nie wyobrażały krajobrazów Ziemi? Musiały przedstawiać Ziemię. Za czasów Lamberta nie znano innych pejzaży, które można by przenosić na płótna. Nie istniały jeszcze podróże kosmiczne, prawdziwe podróże kosmiczne, poza lotami na Księżyc i Marsa.

— Istniały jednak podróże kosmiczne wyobraźni — stwierdził Maxwell. — Podróże w przestrzeni i w czasie ludzkiego umysłu. Żaden malarz nie był nigdy ograniczony koniecznością przenoszenia na płótno swoich czasów i swojego otoczenia. Tak właśnie wszyscy uważają, sądzą, że malarstwo Lamberta też czerpie tematy z wyobraźni. Ale ja, po dzisiejszym wieczorze, skłaniam się ku wnioskowi, że malował on pejzaże autentyczne, sceny z życia, istniejące postacie, słowem to, co widział na własne oczy.

— Wszystko pięknie, tylko wytłumacz mi, w jaki sposób on mógł widzieć podobne krajobrazy. Rozumiem, że obecność Artefaktu na obrazie jest dla ciebie czymś niezwykłym, ale...

— Czy pamiętasz, co opowiadał Oop? — wtrącił szybko. Wspominał chochliki, trolle i wiele innych rodzajów niziołków, znanych już neandertalczykom. Ale mówił też, że istniały ponadto inne, znacznie gorsze stworzenia, dużo bardziej złośliwe i niebezpieczne, których jego współplemieńcy śmiertelnie się bali.

— Sądysz, że niektóre z postaci na obrazach Lamberta mogą przedstawiać te właśnie stworzenia, o których wspominał Oop?

— Właśnie to miałem na myśli — przyznał. — Zastanawiam się, czy Nancy nie miałaby nic przeciwko temu, gdybym przyprowadził tu jutro Oopa, żeby pokazać mu obraz.

— Nie sędzę, żeby się sprzeciwiała — stwierdziła Carol. Ale chyba nie będzie to potrzebne. Zrobiłam zdjęcia obrazu.

— Ależ ty...

— Tak, wiem — odparła szybko. — Dobrze wiem, że nie wolno tego robić. Ale poprosiłam Nancy o pozwolenie, a ona stwierdziła, że nie ma nic przeciwko temu. Co innego mogła powiedzieć? Nie mam zamiaru handlować zdjęciami, ani nic w tym rodzaju. Zrobiłam je wyłącznie dla siebie, dla osobistej satysfakcji. Nazwijmy to drobną zapłatą za przyprowadzenie Sylwestra, żeby goście mogli go obejrzeć. Nancy doskonale zdaje sobie sprawę z atrakcyjności Sylwestra i dlatego nie mogła nie zgodzić się na wykonanie fotografii. Jeśli chcesz, żeby Oop rzucił na nie okiem...

— Naprawdę mogłabyś...? — spytał.

— Oczywiście, dlaczego nie? I nie potępiaj mnie za zrobienie zdjęć. To tylko forma wyrównania rachunków.

— Wyrównania rachunków? Z Nancy?

— Nie tylko z nią, lecz także ze wszystkimi, którzy zapraszają mnie na swoje przyjęcia. Absolutnie ze wszystkimi. W rzeczywistości nie mnie zapraszają. Zapraszają Sylwestra. Zupełnie jakby był tresowanym niedźwiedziem, albo jakimś cyrkowcem. To oczywiste, że jeżeli chcą gościć jego, muszą również zaprosić mnie. Wiem doskonale, z jakiego powodu mnie zapraszają, a oni również mają świadomość, że ja wiem. Mimo to nadal dostają zaproszenia.

— Chyba rozumiem.

— Uważam, że traktują mnie bardzo protekcyjnie. — Też

tak sędzę.

— Jeżeli chcemy pokazać zdjęcia Oopowi, to chyba powinniśmy już iść stąd — zaproponowała. — Przyjęcie dogorywa na stojąco. Czy jesteś pewien, że nie chcesz mi zdradzić szczegółów tej afery z Kołowcem?

— Później — odparł. — Nie teraz. Może opowiem ci kiedy indziej.

Wysunęli się z kryjówki za gigantyczną donicą i zaczęli lawirować między rzednącym tłumem gości w kierunku wyjścia z salonu.

— Czy nie powinniśmy złapać Nancy i pożegnać się z nią? — zasugerowała Carol.

— Nie teraz. Możemy zostawić jej liścik, albo zatelefonować i przeprosić, że nie mogliśmy jej znaleźć, podziękować za miły wieczór, nadmieniając, że bardzo podobało nam się przyjęcie, że nigdy go nie zapomnimy, że jej obraz wywarł na nas nadzwyczajne wrażenie, że zdobycie go musiało kosztować ją wiele zachodu...

— Przestań się wygłupiać — ucięła Carol. — Zdecydowanie przesadzasz, nie jesteś w tym dobry.

— Wiem o tym i dlatego bezustannie ćwiczę — stwierdził Maxwell.

Minęli drzwi wejściowe i zaczęli schodzić szerokimi, zbiegającymi półkolem, kamiennymi schodami, wiodącymi do pasa transportowego.

— Profesorze Maxwell! — krzyknął ktoś za nimi. Maxwell odwrócił się. Po schodach zbiegał Churchill.

— Tylko na chwileczkę, profesorze, jeśli pan pozwoli zawołał.

— Tak, o co chodzi Churchill?

— Tylko słówko. Na osobności, jeżeli dama nie ma nic

przeciwko temu.

— Poczekam na ciebie przy pasie — powiedziała Carol do Maxwella.

— Nie martw się, to nie potrwa długo — odparł cicho.

— Spokojnie, ja poczekam. Nie chcę, żebyś miał jakiegokolwiek kłopoty.

Maxwell stał jeszcze przez chwilę, czekając, aż Churchill zbiegnie do niego po schodach. Kiedy wreszcie zbliżył się, miał wyraźną zadyszkę. Położył rękę na ramieniu profesora.

— Przez cały wieczór próbowałem zamienić z panem kilka słów na osobności, ale zawsze był pan otoczony tłumem.

— Słucham, o co chodzi? — spytał Maxwell surowym tonem.

— O Kołowca. Nie powinien pan przejmować się nim za bardzo. On nie zna naszych zwyczajów, a ja nie miałem pojęcia, co on zamierza. Jeśli mam być szczery, radziłem mu, żeby...

— Mam rozumieć, że pan dobrze wiedział, iż Kołowiec zaczął się tam na mnie?

— Mówiłem mu, żeby tego nie robił — tłumaczył się Churchill.

— Mówiłem, żeby zostawił pana w spokoju. Bardzo mi przykro, profesorze Maxwell. Proszę mi wierzyć, robiłem wszystko, co w mojej mocy.

Maxwell błyskawicznie schwycił Churchilla za koszulę pod szyją, zmiął materiał w garści i przyciągnął mężczyznę do siebie.

— Więc to ty jesteś człowiekiem Kołowca! — krzyknął. Jego figurantem! To ty złożyłeś ofertę na kupno Artefaktu! Zrobiłeś to w imieniu Kołowca!

— Nic panu do tego! To mój własny interes! — syknął rozwścieczony Churchill. — Żyję z tego, że występuję w imieniu innych ludzi.

— Kołowiec nie jest człowiekiem! Bóg jeden wie, czym on jest.

Ulem pełnym insektów. Nikt nie wie o nim niczego więcej. — Ale ma swoje prawa — odparł Churchill. — Został upoważniony do przeprowadzenia tej transakcji.

— A kto ciebie upoważnił, żebyś mu pomagał? — zapytał Maxwell. — Kto cię upoważnił, żebyś mu się wysługiwał? Lepiej uważaj na to, od kogo bierzesz forszę! I nie włącz mi więcej w drogę!

Wyprostował ramię odpychając Churchilla. Tamten zachwiał się, stracił równowagę, poleciał do tyłu i stoczył się kilka stopni w dół, zanim zdołał się zatrzymać. Leżał jak długi, nie próbując nawet się podnieść.

— Prawdę powiedziawszy, powinienem zrzucić cię na sam dół, żebyś skręcił swój parszywy kark — rzucił jeszcze Maxwell.

Spojrzał w stronę domu Nancy i zobaczył zebrany przed drzwiami tłumek, przyglądający się tej scenie. Patrzyli na nich i szeptali coś między sobą.

Odwrócił się na pięcie i przeskakując po kilka stopni zaczął zbiegać w dół.

U stóp schodów Carol desperacko usiłowała powstrzymać wyrywającego się kota.

— Myślałam już, że go nie utrzymam, że popędzi na górę i rozszarpie tego faceta na strzępy — wysapała.

Uniosła wzrok na Maxwella, a na jej twarzy malowała się nie skrywana niechęć.

— Czy ty nigdy nie możesz zachować się po ludzku? — spytała.



Maxwell zszedł z pasa transportowego na wysokości wylotu Wąwozu Psa Myśliwskiego. Stał przez chwilę, spoglądając na skaliste urwiska i strome granie skryte w jesiennej szacie drzew. Nieco w górę wąwozu, przeświecająca przez kamuflaż czerwonych i żółtych liści, widniała strzelająca w niebo, naga, kamienna ściana Masywu Kociego Legowiska, na którego szczycie, nieco odsunięty w głąb od urwiska, znajdował się zamek goblinów, rezydencja O'Toole'a. Gdzieś pośród dziczy wąwozu wznosił się także zbudowany z omszałych kamieni most, stanowiący schronienie trolli.

Był dopiero wczesny ranek, jako że Maxwell wyruszył w drogę dobrze przed świtem. Lodowate kropelki rosy pokrywały grubą warstwą trawę i połyskiwały na tych kępach chwastów, do których nie dotarły jeszcze promienie słońca. Powietrze miało winny zapach, a niebo było tak blade, tak delikatnie błękitne, że wydawało się wręcz bezbarwne. Nad tym wszystkim, nad całym pogrążonym w ciszy krajobrazem, zawisł, jak się zdawało, nastrój wyczekiwania.

Przeszedł na drugą stronę pasa transportowego po stojącej na wysokich przęsłach kładce dla pieszych i wkroczył na ścieżkę wiodącą w górę wąwozu.

Otoczyła go gęstwina drzew — wkroczył do krainy, której urok

niemalże zatykał mu dech w piersi. Zauważył, że mimowolnie zwolnił kroku i ostrożnie stawia nogi, jakby bał się jakimś gwałtowniejszym ruchem czy nieco głośniejszym tupnięciem naruszyć panującą dokoła ciszę. Z utworzonego przez korony drzew baldachimu spadały powoli, przypominając majestatyczne trzepotanie skrzydeł, różnokolorowe liście. Tuż przed nim przebiegła mysz, nurkując pośpiesznie wśród suchych liści, lecz jej gwałtownym ruchom towarzyszył ledwie słyszalny szelest. Gdzieś w górze wąwozu zaskrzeczała sójka, ale jej głos, tłumiony i zniekształcony wśród gęstwiny lasu, wydawał się mniej skrzekliwy niż zazwyczaj.

Ścieżka rozwidlała się. Jedna prowadziła w lewo, dalej w głąb wąwozu, druga natomiast skręcała w prawo i wiodła zakosami pod górę stromej ściany. Maxwell skręcił w prawo. Czekąco go długie i męczące podejście, ale się nie spieszył, mógł robić częste odpoczynki. Zresztą byłoby wstyd, stwierdził w duchu, nie zatrzymywać się możliwie często tak pięknego dnia i skąpić czasu, będąc w owej wielobarwnej oazie ciszy i spokoju.

Ścieżka wiodła stromo pod górę, wiła się między przycupniętymi na powierzchni, zakotwiczonymi w płytkiej warstwie gleby olbrzymimi głazami, okrytymi szarymi brodami porostów. Pnie drzew wyrastały zwartą ścianą po obu jej stronach, ukazując to szorstką, ciemną korę starego dębu, to atlasową biel brzozy z niewielkimi brązowymi plamami tam, gdzie cienka kora została obdarta, ale trzymała się nadal, powiewając płatami na wietrze. Tam znów, w szczelinie między skałami, zagnieździł się pękaty krzak dzikiej róży, obsypany nabrzmiałymi, czerwonymi owocami, których wyschnięte kapturki zwisały jak postrzępione, purpurowe sukienki.

Maxwell wspinał się powoli, oszczędnie gospodarując siłami.

Zatrzymywał się możliwie często, aby popatrzeć dookoła i nasycić oczy widokami wszechobecnej jesieni. W końcu wyszedł na polankę czarodziejek, gdzie autolot Churchilla, wiozący jego jako pasażera, przymusowo zakończył lot, ściągnięty na ziemię czarami trolli. Stąd do zamku goblinów było już ledwie kilka minut drogi ścieżką wiodącą dalej w górę, ku szczytowi grzbietu.

Zatrzymał się na dłuższą chwilę, odpoczywając wśród zieleni polany, po czym podjął wspinaczkę. Na ogrodzonym żerdziami pastwisku Dobbin lub też inny, podobny do niego koń, skubał rzadką, rosnącą w kępach trawę. Wokół wieżyczek zamku kręciło się kilka gołębi, ale stanowiły one jedyne oznaki życia.

Nagle w ciszę poranka wdarły się jakieś okrzyki. Przez otwartą bramę zamku wypadła gromada umykających, ale poruszających się w jakimś dziwnym szyku trolli. Biegli w trzech kolumnach, a każdy z nich miał na ramieniu pętlę z liny. Pomyślał, że wyglądają zupełnie jak na obrazie przedstawiającym burłaków przeciągających barki po Wołdze. Popędzili przez most zwodzony i wreszcie Maxwell dostrzegł, że końce trzech długich sznurów opasują wielki, z grubsza tylko ociosany głaz, który podskakiwał za ciągnącymi go trollami na nierównościach, a kiedy dotoczył się do mostu, jego bębnienie o belki odbiło się głośnym echem.

Stary Dobbin zarżał płochliwie i zaczął krążyć w szaleńczym galopie wokół pastwiska wewnątrz ogrodzenia. Wyszczерzone kły trolli połyskiwały na tle brunatnych, wykrzywionych złośliwie twarzy, a grube, czarne włosy zdawały się sterczeć na wszystkie strony jeszcze bardziej niż zazwyczaj. Popędziły ścieżką w dół, w stronę wąwozu, a głaz toczył się za nimi z hukiem, wzbijając kłęby kurzu w tych miejscach, gdzie odbijał

się od nagiej ziemi.

Przez zamkową bramę wysypał się ich śladem tłum goblinów, uzbrojonych w maczugi, motyki, widły i kije, najwyraźniej we wszystko, co wpadło im w ręce.

Maxwell zeskoczył w bok ze ścieżki, gdyż trolle pędziły wprost na niego. Galopowały w milczeniu, z jakąś dziwną zaciętością i determinacją, z wyraźnym wysiłkiem ciągnąc naprężający liny ciężar, natomiast horda goblinów gnała za nimi, wznosząc dzikie okrzyki i wrzeszcząc wniebogłosy. Na czele gromady goblinów posuwał się ciężkimi susami O'Toole o twarzy i szyi fioletowej z wściekłości, wymachując deską o przekroju pięć na dziesięć centymetrów.

W miejscu, gdzie profesor uskoczył z drogi, ścieżka gwałtownie zakręcała, opadając dalej stromym piargiem w kierunku zielonej plamy polanki. Na krawędzi zbocza kamienny blok wyskoczył wysoko w górę, odbiwszy się od skalnego występu, liny zwisły luźno i jasne się stało, że za chwilę głąz runie w dół stoku, ciągnąc za sobą sznury holownicze.

Jeden z trolli obejrzał się i zdążył jeszcze wykrzyknąć ostrzeżenie. Pozostałe błyskawicznie rzuciły liny i rozpierzchły się na boki. Głąz potoczył się w dół, z każdym obrotem nabierając szybkości. Spadł na polankę wrózek, wybijając w zielonej murawie wielką wyrwę, wyskoczył w powietrze po raz ostatni, wreszcie potoczył, wyrzucając w górę płaty darni i rozcinając paskudną szramą w poprzek miejsce przeznaczone do tańca. Zatrzymał się dopiero na przeciwległym końcu polany, uderzając w pień wielkiego białego dębu.

Gobliny rozbiegły się po zboczu w pogoni za umykającymi trollami i zaczęły znikać między drzewami, ścigając złodziei kamienia. Las wypełnił się okrzykami strachu i rykami

wściekłości, przemieszanych z odgłosami tratujących poszycie stóp i ciał przedzierających się przez gąszcz.

Maxwell przeszedł na drugą stronę ścieżki i zbliżył się do ogrodzenia. Stary Dobbin uspokoił się już i stał oparłszy łeb o jedną z najwyższych umieszczonych żerdzi, jakby potrzebował jej jako podpory. Spoglądał w stronę leżącej w dole polanki.

Profesor uniósł dłoń i podrapał kark zwierzęcia, po czym delikatnie poklepał go za uchem. Dobbin obrzucił człowieka lękliwym spojrzeniem i nieznacznie uniósł górną wargę, obnażając zęby.

— Mam nadzieję — odezwał się Maxwell do konia — że oni nie mają zamiaru zaprząć cię do wciągnięcia tego kamienia z powrotem na górę. To długie, męczące podejście.

Dobbin łagodnie zastrzygł uchem.

— Znając O'Toole'a, myślę, że da ci spokój. Jeżeli tylko uda mu się schwytać trolle, to na pewno zmusi je do roboty.

Harmider u stóp wzgórza stopniowo przycichał, a wreszcie na ścieżce pojawił się dyszący ciężko O'Toole, dźwigając na ramieniu potężną deskę. Jego twarz nadal była purpurowa, choć teraz bardziej ze zmęczenia niż z wściekłości. Skręcił ze ścieżki, kierując się w stronę ogrodzenia. Maxwell ruszył mu naprzeciw.

— Najmocniej przepraszam — odezwał się O'Toole głosem na tyle pełnym godności, na ile pozwalała mu zadyszka. Zauważyłem pana wcześniej i uradowałem się bardzo, ale byłem zaangażowany w sprawy nie cierpiące zwłoki i nie mogłem pana powitać. Jak się domyślam, był pan świadkiem tego pożałowania godnego zdarzenia.

Maxwell potwierdził skinieniem głowy.

— Oni ukradli kamień służący mi za schodek — wybuchnął O'Toole — ze złośliwą intencją spieszenia mnie.

— Spieszenia? — zdziwił się Maxwell.

— Widzę, że pan nie pojmuje. Kamień służący mi za sto; pień, po którym muszę się gramolić, żeby dosiąść starego Dobbina. Bez tego kamienia nie będzie więcej jazdy konnej i musiałbym, rad nie rad, chodzić piechotą, co sprawia mi niemało trudu i przyprawia o zadyszkę.

— Ach, tak — odparł Maxwell. — W pierwszej chwili nie zrozumiałem.

— Te parszywe trolle nigdy nie przestaną — O'Toole prawie krzyczał, zgrzytając ze złości zębami. — Na razie zabrali mój stopień, ale gotowi są rozebrać cały zamek, kawałek po kawałku, kamień po kamieniu, aż zostanie tylko goła skała, na której go wzniesiono. Trzeba to ukrócić, zdusić w zarodku póki czas, trzeba działać szybko i energicznie.

Maxwell odwrócił głowę w stronę polanki. — Jak do tego doszło? — zapytał.

— Wybijemy ich co do nogi — goblin z wyraźną satysfakcją powtarzał swoje. — Mnożą się jak przepiórki. Ale wygrzebiemy ich ze szczelin w skałach, wyciągniemy z kryjówek w zaroślach, zaprzęgniemy jak stado mułów, do których rzeczywiście wykazują zdumiewające podobieństwo i zmusimy do wciągnięcia mojego kamienia. Będą się musieli nieźle napracować, aby umieścić go z powrotem tam, skąd go wzięli.

— Odpłacają się wam za zniszczenie ich mostu — zauważył Maxwell.

Pan O'Toole zatrząsł się z oburzenia.

— Jest pan w błędzie! — krzyknął. — Powodowani ogromną, ale źle ukierunkowaną litością powstrzymaliśmy się od zniszczenia go. Tylko dwa małe kamienie, to wszystko. Dwa niewielkie kamienie i efektowne ryknięcie na nich wystarczyły,

żeby zdjęli czary z latającej miotły i paździenikowego piwa, a wówczas my, prostoduszni i łagodni z natury, poprzestaliśmy na tym.

— Zdjęli czary z piwa? — zdziwił się Maxwell. — Myślałem, że to niemożliwe. Zaszły przecież nieodwracalne reakcje chemiczne...

Pan O'Toole utkwiał w nim pełne pogardy spojrzenie.

— Posługuje się pan naukowym żargonem, z którego wynikają jedynie bzdurne nonsensy. Widzę, że nie udało mi się wypłenić pańskiego zaangażowania w naukę, podczas gdy miał pan możliwość zrozumienia czarów na drodze rozmów z nami i poprzez pragnienie poznania. Chociaż muszę przyznać, że to odczarowane piwo pozostawia wiele do życzenia. Ma lekki posmak stęchlizny. Aczkolwiek to i tak o stopień, a nawet o dwa stopnie lepiej, niż gdybyśmy nie mieli piwa w ogóle. Jeżeli miałyby pan ochotę przyłączyć się do mnie, moglibyśmy choć zaraz dokonać degustacji.

— Nie słyszałem jeszcze dzisiaj miłszej propozycji.

— Zatem wycofajmy się stąd! — wykrzyknął O'Toole. Udajmy się do tej pełnej przeciągów sali, tak niekompetentnie wybudowanej przez was, zwariowanych ludzi, którzy sądziliście, że mamy bzika na punkcie ruin, i uraczmy się kuflami spienionej radości.

Kiedy znaleźli się w ogromnym, smaganym przeciągami holu zamku, O'Toole z potężnej, spoczywającej na dwóch kozłach beki nalał do kufla pieniącego się piwa, po czym postawił je na drewnianym, zbitym z surowych desek stole, który tkwił obok wielkiego, kamiennego kominka, gdzie leniwe, zamierające płomyki pełzały po zwęglonych głowniach, dymiąc niemilosiernie.

— To hańba — rzekł O’Toole, unosząc w górę kufel — żeby dopuszczać się owego niedorzecznego występku z kamieniem służącym za stopień właśnie teraz, kiedy my, gobliny, rozpoczynaliśmy czuwanie przy umierającym...

— Głęboko współczuję — powiedział Maxwell: — Nie byłem świadom, że czuwacie...

— Och nie, nie chodzi o żadnego z nas — wtrącił szybko O’Toole. — Prawdopodobnie tylko za wyjątkiem mnie, obrzydliwie dobrym zdrowiem cieszy się całe goblinowe plemię. Czuwaniem chcieliśmy wyrazić nasz głęboki szacunek dla banshee.

— Ale przecież banshee nie umarł.

— Nie umarł, ale umiera. Och, jaka szkoda! Był ostatnim w tym rezerwacie z wielkiego i szacownego plemienia, a i pozostałych, żyjących jeszcze gdzieś na świecie, jest mniej niż palców u jednej ręki.

Uniósł kufel, zanurzył w nim pysk i zaczął łapczywie, z lubością chleptać piwo. Kiedy w końcu odstawił kufel, jego wąsy pokrywała gęsta piana, ale zostawił ją, nie zwracając sobie głowy wycieraniem ust.

— My wymieramy najgodniej — oznajmił podniosłym tonem. — Wiele zmieniło się na tej planecie, ale każdy przedstawiciel niziołków, a także inni, nie tacy znów mali, nadal schodzi w głąb wąwozu, gdzie cienie zalegają grubą warstwą, i tam opuszczamy grono wszystkich istot żywych. Taki jest nasz koniec. A największym wstydem dla każdego z nas jest zadrzeć na samą myśl o nadejściu końca, jesteśmy bowiem, mimo licznych wad, istotami przyzwoitymi. Nawet trolle, zanim spadnie na nich degradacja, posiadają nadal kilka zalet zupełnie nienaruszonych, chociaż w tej chwili skłonny byłbym głosić wszem i wobec, że są

wszelkich zasad pozbawieni. Z pewnością kradzież kamienia służącego mi za stopień jest płytką sztuczką, jasno demonstrującą, że wyzuci są z jakiegokolwiek godności ducha.

Ponownie uniósł kufel do ust i opróżnił kilkoma tęgimi haustami, po czym z hukiem odstawił go na stół i spojrzał na ciągle pełne naczynie Maxwella.

— Proszę pić! — ponaglił. — Do dna! Napełnię znowu. Trzeba dobrze przepłukać gardło.

— Pan się zawsze spieszy — zganił go Maxwell. — To wstyd pić piwo w ten sposób. Powinno się je smakować, delektować się trunkiem.

O'Toole wzruszył ramionami.

— Świna jestem, bez wątpienia. Ale to tylko odczarowane piwo, nie ma się co nad nim rozczulać.

Mimo tego wyznania wstał i poczłapał w stronę beczki, aby napełnić swój kufel. Maxwell pociągnął łyk piwa i przekonał się, że O'Toole miał rację, faktycznie czuć je było stęchlizną miało dziwny zapach, kojarzący się z niewiadomych powodów z dymem palonych, zwiędłych liści.

— No i co? — zapytał goblin.

— Jest w nim jakiś dziwny posmak, ale da się wypić.

— Któregoś dnia ten most trolli do końca rozbiorę! — krzyknął O'Toole, aż trzęsąc się w kolejnym przypływie wściekłości. — Kamień po kamieniu, oskrobując najstaranniej każdy z mchu, żeby pozbawić je mocy magicznej, a potem młotkiem porozbijam je na mnóstwo mniejszych kawałeczków, przetransportuję kawałeczki na szczyt jakiegoś urwiska i rozsypię tak daleko i szeroko, żeby przez całą wieczność nie było możliwości pozbierania ich. Mimo że... — urwał, a ramiona opadły mu ku ziemi — byłaby to niezwykle ciężka praca. Ale kusi mnie. Było to

najłagodniejsze i najśłodsze piwo, jakie kiedykolwiek udało nam się uwarzyć, a teraz, sam pan widzi, ledwie nadaje się dla świń. Jednak grzechem byłoby wylać nawet tak ohydne w smaku pomyje, jeśli miało to być piwo.

Pochwycił swój kufel i podniósł go do ust. Jabłko Adama zaczęło się poruszać pod skórą szyi i nie odstawił kufła, dopóki nie wychylił go do dna.

— A jeśli poczynię zbyt wielkie spustoszenia w tym najplugawszym z mostów — dodał — i te nikczemne trolle zgłoszą się ze skomleniem do władz, wtedy wy, ludzie, zaczniecie mnie ciągać na dywanik, bym przedstawił swoją motywację, a przecież nie tak to powinno wyglądać. Nie ma żadnej godności w życiu według prawa, ani żadnej przyjemności. Przeklęty niech będzie ten dzień, kiedy powstała rasa ludzka.

— Drogi przyjacielu — zagaił wstrząśnięty Maxwell. Nigdy przedtem nie mówił mi pan czegoś podobnego.

— Ani żadnemu innemu człowiekowi — wyznał goblin. — Ze wszystkich ludzi na świecie tylko przed panem mogę odsłonić swoje uczucia. Chyba jednak, przypadkiem, pozwoliłem sobie ponad miarę.

— Wie pan dostatecznie dobrze, że nie pisnę o tym nikomu ani słowa.

— Oczywiście, że wiem, i nie tym się martwię wcale. Jest pan nieomal jednym z nas. Na tyle bliski goblinom, ile tylko człowiek może osiągnąć.

— To zaszczyt dla mnie — wyznał Maxwell.

— Jesteśmy wiekowi, bardziej wiekowi niż ludzki rozum potrafi to sobie przyswoić. Czy ma pan pewność, że nie chce wychylić kufła tego najbardziej ohydneho i podłego napitku, żeby zacząć następny?

Maxwell zaprzeczył ruchem głowy. — Proszę się nie krępować i napełnić swój kufel ponownie. Ja będę sobie sączył powoli. Dobrze mi się siedzi tu z panem.

Pan O'Toole zrobił kolejną wyprawę do beczki, wrócił z napełnionym po brzegi kuflem, postawił go na stole i zaczął pieczołowicie usadawiać się na krześle.

— Wiele lat temu — rzekł, kiwając ze smutkiem głową strasznie dawno temu pojawił się parszywy mały naczelny i popsuł nam wszystko.

— Dawno temu? — podchwycił Maxwell. — Czy nie było to przypadkiem w epoce jurajskiej?

— Pan mówi jakimiś łamigłówkami. Nie rozumiem tego pojęcia. Ale wtedy było nas bardzo dużo i wiele różnych rodzajów, a —teraz została nas tylko garstka i nie wszystkie różne rodzaje. Wymieramy bardzo powoli, ale nieubłaganie. Wstanie kiedyś taki świt, który nie ujrzy już żadnego z nas. Wtedy wy, ludzie, będziecie mieli wszystko dla siebie.

— Jest pan zbyt zdenerwowany — wtrącił Maxwell. — Wie pan doskonale, że wcale nie o to nam chodzi. Czynimy przecież wiele starań...

— Przyjaznych starań? — spytał goblin.

— Tak, mogę rzec, że nawet bardzo przyjaznych starań. Po policzkach goblina spłynęło kilka mimowolnych łez. Uniósł swą zrogowaciałą, owłosioną łapę i otarł je.

— Proszę nie zwracać na mnie szczególnej uwagi — powiedział. — Głęboko jestem przygnębiony. To przez tę sprawę z banshee.

— Banshee jest pańskim przyjacielem? — spytał Maxwell nieco zdziwiony.

— Nie jest moim przyjacielem — odparł pan O'Toole. On stoi

po jednej stronie granicy, a ja po drugiej. Odwieczny wróg, ale to nadal jeden z nas, jeden z tych naprawdę najstarszych. Trzymał się lepiej niż inni, z uporem nie poddawał się śmierci. Wszyscy inni już nie żyją. Lecz w takich chwilach dawne waśni odpływają w błoto. Nie możemy siedzieć i czuwać przy umierającym, jak nakazywałoby sumienie, ale przy tej niemożliwości chcemy oddać mu ten niewielki honor, czuwając dla niego. I w takiej chwili owe pełzające przy ziemi trolle, nie mające w sobie ani krzty honoru...

— Czy chce pan powiedzieć, że nikt z mieszkańców rezerwatu nie mógłby siedzieć przy śmiertelnym łożu banshee? Mr O'Toole ociężale pokręcił głową.

— Ani jeden spośród z nas. To byłoby wbrew prawu, byłoby pogwałceniem starych obyczajów. Nie umiem panu wytłumaczyć, ale on jest poza granicą.

— Więc musi umierać w samotności.

— Tak. Siedzi w ciernistym krzaku, zaraz za chatą, która stanowiła jego domostwo — wyjaśnił goblin.

— W ciernistym krzaku?

— Ciernie są siedliskiem magii, a w samym drzewie... Zakrztusił się, sięgnął pośpiesznie po kufel i uniósł go do ust. Przy każdym łyku grdyka podskakiwała w górę i w dół.

Maxwell sięgnął do kieszeni marynarki i wyciągnął zdjęcie odnalezionego ostatnio obrazu Lamberta, wiszącego obecnie w salonie Nancy Clayton.

— Panie O'Toole — rzekł. — Jest coś, co chciałbym panu pokazać.

Goblin odstawił kufel.

— Proszę mi więc pokazać — odparł. — Zawsze jest tyle niepotrzebego gadania, kiedy ma pan do mnie jakąś sprawę.

Sięgnął po zdjęcie i pochylił się nad nim z zainteresowaniem.

— Trolle, to jasne — odezwał się po chwili. — Ale tych innych nie rozpoznaję. Tak jakbym powinien, ale nie mogę. Istnieją legendy, bardzo, bardzo stare legendy...

— Oop widział to zdjęcie. Mam nadzieję, że pan wie, kto to jest Oop.

— Ten wielki barbarzyńca, który utrzymuje, że jest pańskim przyjacielem.

— On jest moim przyjacielem — wyjaśnił Maxwell. — Otóż Oop rozpoznał te istoty. To stworzenia, które zamieszkiwały Ziemię w bardzo odległej przeszłości.

— Jakież czary zostały wywołane, żeby zrobić to zdjęcie? — Tego nie wiem. Jest to zdjęcie obrazu namalowanego przez pewnego człowieka wiele lat temu.

— Ale to znaczy...?

— Naprawdę nie wiem. Sądzę, że on tam był.

Pan O'Toole podniósł swój kufel i stwierdził, że nic w nim nie ma. Podszedł chwiejnym krokiem do beczki i napełnił go. Wrócił, postawił kufel na stole, uniósł zdjęcie do oczu i zaczął mu się uważnie, chociaż nieco mętnym wzrokiem przyglądać.

— Ja nie wiem — stwierdził w końcu. — Byli wśród nas inni, wiele różnych rodzajów, których teraz już nie ma. My stanowimy jedynie koniec ogona bardzo szlachetnej populacji. Pchnął zdjęcie przez stół do Maxwella.

— Może banshee — zasugerował. — Wiek banshee przekracza wszelkie domniemania.

— Ale banshee umiera.

— Tak, to prawda — przyznał O'Toole. — I prawdą jest, że to bardzo zły dzień, a szczególnie gorzki dla banshee, kiedy nie ma nikogo czuwającego przy jego łożu śmierci. Podniósł swój kufel.

— Wypijmy! — dodał. — Wypijmy! Jeśli można się do woli napić,
to może nie będzie aż tak zły.



Maxwell wyszedł z za rogu walącej się chaty i ujrzał rosnący przy ścianie ciernisty krzew. Wyglądał trochę niezwykle. Odnosiło się wrażenie, że w środku, wzdłuż pionowej osi kępy, rozlokowała się podłużna chmura ciemności, sugerująca obecność grubego, masywnego pnia, z której sterczały na boki nieproporcjonalnie krótkie i wiotkie gałązki uzbrojone w ciernie. Maxwell doszedł do wniosku, że jeśli O'Toole mówił prawdę, to właśnie ta ciemna chmura musiała być umierającym banshee.

Wolnym krokiem pokonał dzielący ich dystans i zatrzymał się o metr przed drzewem. Czarna chmura pulsowała nieustannie, niczym kłęb gęstego, kotłującego się dymu.

— Czy ty jesteś banshee? — zwrócił się Maxwell do drzewa. — Przyszedłeś za późno, jeżeli miałeś ochotę ze mną porozmawiać — odparł banshee.

— Nie, nie przyszedłem rozmawiać — odparł Maxwell. Chcę posiedzieć tu przy tobie.

— Zatem siadaj. To nie potrwa długo.

Maxwell usiadł na ziemi, podciągając kolana pod brodę. Ręce oparł za plecami, zagłębiając palce w dywanie wyschniętej, zbrązowiałej trawy. Rozciągał się stąd widok na całą, przybraną wszystkimi barwami jesieni dolinę, zamkniętą na horyzoncie pasmem wzgórz na północnym brzegu rzeki — w niczym nie

przypominających tutejszego, skalistego pasma południowego, wypiętrzających się łagodnymi łukami i dźwigających w niebo na kształt gigantycznych schodów.

Z błękitnawej mgiełki, skrywającej głębsze partie wąwozu wyłoniła się skrzydlata gromada i pozęgłowała wzdłuż wznoszącej się za jego plecami grani. Stado kosów szybko wzbilo się w górę i zniknęło za krawędzią masywu. Za wyjątkiem krótkotrwałego trzepotu skrzydeł dokoła zalegała miękka, łagodna cisza, pozbawiona jakiegokolwiek cienia grozy — senna cisza, spowijająca wzgórza niezwykle spokojem.

— Nikt inny nie przyszedł — odezwał się banshee. — Początkowo sądziłem, że jednak przyjdą, miałem nadzieję, że w końcu zdobędą się na odwagę. Teraz nie powinny istnieć między nami żadne podziały. Wszyscy jesteśmy jednakowi, zostaliśmy sprowadzeni do tego samego poziomu. Ale stare konwenanse nie uległy przełamaniu, nie zarzucono jeszcze dawnych zwyczajów.

— Rozmawiałem z goblinami. One czuwały w skupieniu na twoją cześć. O'Tolle jest zboląły i pije, żeby przytępić swój żal. — Nie należysz do mojego ludu — rzucił banshee. — Przychodzisz, żeby mnie niepokoić. Powiedziałaś jednak, że chcesz posiedzieć tu przy mnie. Co cię skłoniło do tego?

Maxwell skłamał, nie miał innego wyjścia. Nie mógł powiedzieć umierającemu stworzeniu, że przyszedł do niego w poszukiwaniu informacji.

— Współpracowałem z twoim ludem i bardzo zżyłem się z wami — wyjaśnił.

— To ty jesteś Maxwell. Słyszałem o tobie.

— Jak się czujesz? Czy mógłbym coś dla ciebie zrobić? Może czegoś potrzebujesz? — dopytywał się Maxwell.

— Nie. Wyzbyłem się wszelkich potrzeb — stwierdził banshee.
— Nie odbieram prawie żadnych wrażeń. W tym właśnie problem, że nic nie odczuwam. Moje umieranie jest odmienne od waszego, jest procesem czysto fizycznym. Energia odpływa ze mnie powoli i w końcu nie pozostanie nic. Jak chwiejny ognek, który ostatecznie musi zgasnąć.

— To przykre. Jeżeli mówienie przyspiesza...

— Rozmowa może nieco przyspieszyć ten proces, ale to już nie ma dla mnie znaczenia. Mnie wcale nie jest przykro, niczego nie żałuję. Jestem jednym z ostatnich, pozostało nas już tylko trzech, licząc mnie. Ale mnie już nie ma co liczyć. Spośród tysięcy pozostanie teraz jedynie dwóch z naszego ludu. — Istnieją jeszcze gobliny, i trolle, i wróżki...

— Ty tego nie rozumiesz — przerwał banshee. — Widocznie nikt ci nie powiedział, a sam nie pomyślałeś, żeby spytać. Ci, których wymieniłeś, należą do rodzajów późniejszych, pojawili się długo po nas, kiedy planeta nie była już taka młoda. My byliśmy kolonistami, tyle powinienesz wiedzieć.

— Tak przypuszczałem. Ale domyśliłem się tego dopiero kilka godzin temu — wyznał Maxwell.

— Powinienesz to wiedzieć. Byłeś przecież na naszej starej planecie.

Maxwellowi zapało dech ze zdumienia. — Skąd o tym wiesz?

— W jaki sposób wdychasz powietrze? — zapytał banshee. — W jaki sposób odbierasz obrazy? Dla mnie komunikowanie się ze starą planetą jest czymś równie naturalnym, jak dla ciebie oddychanie czy patrzenie. Nie trzeba mi było mówić, po prostu wiem.

A więc tak, pomyślał Maxwell. To banshee stanowi źródło informacji Kołowca. Churchill musiał się domyślić, że banshee

dysponuje wiadomościami, o które nikt go dotychczas nie podejrzewał, i zapewne przekazał tę poufną informację Kołowcowi.

— A pozostali? Trolle i...

— Nie. Ta droga była otwarta tylko dla nas, dla banshee. Stanowiła naszą pracę, jedyny cel naszego istnienia. Pełniliśmy rolę łączników ze starą planetą, funkcję komunikatorów. Kiedy stara planeta zakładała kolonie, musiała zapewnić sobie jakiś sposób komunikowania się z nami. My wszyscy byliśmy specjalistami, chociaż teraz nasze specjalności nie przydałyby się na nic, zresztą niemal wszyscy specjaliści już odeszli. To właśnie my byliśmy pierwsi. Ci, którzy przybywali później, to zwykli osadnicy, mający zaludnić nową planetę.

— Masz na myśli trolle i gobliny?

— Trolle, gobliny i całą resztę. Oczywiście, oni także posiadali pewne umiejętności, ale nie byli specjalistami. My byliśmy inżynierami, a oni robotnikami. Między nami istniała przepaść. Właśnie dlatego nie przyjdą teraz posiedzieć przy mnie. Ta dawna przepaść wciąż daje o sobie znać.

— Męczysz się — zwrócił mu uwagę Maxwell. — Powinieneś oszczędzać siły.

— To nie ma znaczenia. Energia odpływa ze mnie bezustannie, a kiedy odpłynie do końca, odpłynie także życie. Umieranie, które się właśnie dokonuje, nie wiąże się w żaden sposób z materią, z moim ciałem, ponieważ nigdy nie miałem ciała. W całości składałem się z energii. Dlatego nic już nie ma dla mnie znaczenia, tym bardziej, że stara planeta również umiera. Widziałeś moją planetę, więc powinieneś to wiedzieć. — Tak, wiem — przyznał Maxwell.

— Wszystko wyglądałoby zupełnie inaczej, gdyby nie pojawili

się ludzie. Kiedy przybyliśmy tu po raz pierwszy, na planecie egzystowało zaledwie kilka gatunków pierwotnych ssaków, nie było żadnych naczelnych. Mogliśmy przeciwdziałać gwałtownemu rozwojowi naczelnych, mogliśmy zdusić wszystko w zarodku. Toczyło się na ten temat sporo dyskusji, jako że planeta spełniała wszelkie nasze oczekiwania i sprzeciwialiśmy się myśli oddania jej w wasze ręce. Ale przeważyło stare prawo. Inteligencja jest zbyt rzadkim skarbem, by ktokolwiek stawał na drodze jej rozwoju. Jest czymś wyjątkowo drogocennym. Nawet jeśli ustępowaliśmy jej z drogi z najwyższą niechęcią, ani przez chwilę nie negowaliśmy jej nadzwyczajnej wartości.

— A jednak zostaliście — zauważył Maxwell. — To prawda, że usunęliście się w cień, ale zostaliście.

— Było już za późno — odparł banshee. — Nie mieliśmy dokąd się udać. Stara planeta już wtedy umierała, nie było sensu wracać na nią. Natomiast ta planeta, choć to może się wydać dziwne, stała się dla nas drugim domem.

— Musicie nienawidzić nas, ludzi.

— Kiedyś was nienawidziliśmy. Możliwe, że nienawiść nadal jeszcze istnieje, ale ona wypala się z czasem. Spala się na popiół, chociaż nigdy nie znika do końca. Z drugiej strony, mimo nienawiści, jesteśmy w pewien sposób z was dumni. Niech świadczy o tym fakt, że stara planeta zaoferowała wam swoją wiedzę.

— Zaproponowaliście ją również Kołowcowi.

— Kołowcowi? Ach tak, wiem kogo masz na myśli. Właściwie nie zaproponowaliśmy. Do Kołowców musiały dotrzeć jakieś krążące w kosmosie plotki o istnieniu starej planety. A także o tym, iż posiada ona coś, co chciałyby sprzedać. Ten osobnik przyszedł do mnie i zadał tylko jedno pytanie: jaka jest cena za

ów towar? Nie wiem, czy on w ogóle orientuje się, co jest do sprzedania. Użył bowiem tylko tego słowa: towar.

— I powiedziałeś mu, że ceną jest Artefakt?

— Oczywiście, że powiedziałem. Wtedy jeszcze nie wiedziałem nic o tobie. Dopiero znacznie później przekazano mi, że w odpowiednim czasie mam przedstawić cenę właśnie tobie.

— Mam rozumieć, że chciałeś to uczynić? — zapytał Maxwell.

— Oczywiście, miałem zamiar to zrobić — odparł banshee. — A teraz, kiedy już to zrobiłem, możemy uznać sprawę za załatwioną.

— Możesz wyjaśnić mi jeszcze jedną rzecz. Czym jest Artefakt?

— Tego nie mogę zrobić — powiedział banshee.

— Nie możesz, czy nie chcesz?

— Nie chcę.

Zostaliśmy sprzedani, pomyślał Maxwell. W ten oto sposób cała ludzkość została sprzedana przez tę umierającą istotę, która, bez względu na zapewnienia, nigdy nie miała zamiaru podać mu ceny. Przez stworzenie od wielu tysięcy pielęgnowane zimną nienawiść do rasy ludzkiej, które obecnie przekraczało wszelkie dopuszczalne granice, informując go o wszystkim, kpiąc sobie z niego tylko po to, żeby uzmysłwić mu, w jaki sposób ludzie zostali sprzedani, po to, żeby całej ludzkości, teraz, kiedy było już po fakcie, uświadomić sens wydarzeń.

— W dodatku powiedziałeś Kołowcowi o mojej roli w tej sprawie — krzyknął Maxwell. — Właśnie z tego powodu Churchill czekał na mnie na stacji, gdy wróciłem na Ziemię. Powiedział wówczas, że on także wrócił z podróży, ale to było ewidentne kłamstwo. — Poderwał się gwałtownie na nogi. A co z tym drugim Maxwellem, który uległ wypadkowi? zapytał jadowitym tonem.

Skoczył w stronę krzewu, ale nie było tu już nikogo. Ciemna chmura, kłębiąca się jeszcze przed chwilą wokół pnia, zniknęła. Gałęzie odzyskały naturalny wygląd i rysowały się ostro na tle wieczornego nieba.

Uciekł, pomyślał Maxwell. Nie umarł, ale uciekł. Substancja stanowiąca budulec owego stworzenia uległa rozpadowi na atomy. Niewyobrażalne siły spajające całość w dziwną formę życia stopniowo słabły, aż wreszcie zanikły ostatecznie, natomiast atomy zostały rozpylone w powietrzu, niczym wyrzucona w górę garść kurzu.

Za życia banshee był stworzeniem, z którym trudno było znaleźć jakikolwiek wspólny język. Ale po jego śmierci sprawy nie uległy uproszczeniu. Przez krótką chwilę Maxwell poczuł litość dla tego stworzenia — litość, jaką człowiek odczuwa dla każdej umierającej istoty. Zdawał sobie jednak sprawę, że jego współczucie jest nie na miejscu, bowiem banshee umarł śmiejąc się w duchu z całej ludzkości.

Została mu ostatnia nadzieja — nakłonienie Czasu do wstrzymania się ze sprzedażą Artefaktu, by móc skontaktować się z Arnoldem i opowiedzieć mu całą historię, a jednocześnie przekonać go w jakiś sposób, że wszystko to jest prawdą. Zrozumiał, że nie będzie to łatwe, szczególnie teraz, gdy owa historia stała się jeszcze bardziej niewiarygodna niż poprzednio.

Odwrócił się i zaczął schodzi w dół wąwozu. Kiedy dotarł do linii lasu, zatrzymał się jeszcze i obejrzał za siebie, w górę. Ciernisty krzew widoczny na tle nieba nadal miał normalny wygląd, jak każdy żywy i zdrowy krzew, mocno zakorzeniony w ziemi.

Na tanecznej polance wrózek ujrzał grupę zagnanych do pracy, zrządzających trolli. Grabili i wyrównywali ziemię, kładąc

nową darń w miejsce zniszczonej przez kamień. Po samym kamieniu nie było już ani śladu.



Maxwell pokonał już pół drogi do miasteczka Wisconsin, kiedy nagle zmaterializował się Duch i zajął miejsce obok niego.

— Mam wiadomość od Oopa — oznajmił, ignorując jakikolwiek wstęp do rozmowy. — Nie wracaj do chałupy. Zdaje się, że dziennikarze odkryli miejsce twego pobytu. Kiedy tylko się tam zjawili, Oop przystąpił do akcji, nie zwracając sobie głowy, na ile go znam, żadnymi konwenansami. Wyrzucił ich na zbity pysk, ale oni ciągle kręcą się w pobliżu, czekając na ciebie.

— Dziękuję za ostrzeżenie — rzekł Maxwell. — Chociaż, prawdę mówiąc, nie wydaje mi się, że miało to jeszcze jakiegokolwiek znaczenie.

— Sprawy nie układają się po twojej myśli? — spytał Duch. — W ogóle się nie układają — odparł Maxwell. Po chwili wahania dodał: — Przypuszczam, że Oop opowiedział ci o wszystkim?

— Z Oopem stanowimy niemal jedność — stwierdził Duch. — Oczywiście, że opowiedział mi o wszystkim. Prawdopodobnie sądził, że nie będziesz miał nic przeciwko temu. Ale możesz być spokojny...

— Nie o to chodzi — wtrącił szybko Maxwell. — Zastanawiałem się tylko, czy będę musiał powtarzać ci wszystko. Wiesz zatem, że udałem się do rezerwatu, żeby sprawdzić nasze domysły dotyczące postaci na obrazie Lamberta?

— Owszem. Chodzi o obraz znajdujący się u Nancy Clayton.

— Mam wrażenie, że dowiedziałem się znacznie więcej, niż się spodziewałem — wyznał Maxwell. — Widziałem się z istotą, nie mającą najmniejszej ochoty pomóc mi: z banshee, który poinformował Kołowca o cenie, jakiej żąda krystaliczna planeta. Banshee miał przekazać tę wiadomość mnie, powiedział jednak Kołowcowi. Usiłował mi wmówić, że zrobił to, zanim dowiedział się o mojej roli w tej sprawie. Nie uwierzyłem mu. Banshee umierał już, kiedy opowiadał mi o wszystkim, ale to wcale nie oznacza, że powiedział prawdę. Zawsze był nierzetelny.

— Banshee umiera? — zdziwił się Duch.

— Już umarł. Siedziałem przy nim do czasu, aż pożegnał się z tym światem. Nie pokazałem zdjęcia obrazu, nie miałem sumienia zwracać mu głowy w takiej sytuacji.

— I mimo wszystko powiedział ci o Kołowcu?

— Tylko po to, żeby uświadomić mi, jak bardzo nienawidzi ludzi od samego początku ewolucyjnego rozwoju naszej rasy, żeby mi dać do zrozumienia, że w końcu wyrównał rachunki. Pewnie z przyjemnością powiadomiłby mnie, że gobliny i cała reszta niziołków nienawidzi nas tak samo, ale na szczęście powstrzymał się w porę. Musiał zdawać sobie sprawę, że za nic nie uwierzę w coś podobnego. Sądząc z tego, co wcześniej powiedział O'Toole, można wnioskować, że faktycznie istniała jakaś głęboko zakorzeniona uraza, niechęć do ludzi, ale nie uwierzę, by oni nas nienawidzili. Banshee potwierdził przy okazji, że została złożona oferta na zakup Artefaktu, gdyż ten stanowi cenę za wiedzę zgromadzoną na krystalicznej planecie. Domyślałem się tego od początku, a po rozmowie z Kołowcem ostatniej nocy uznałem to wręcz za pewnik. Całkowitej pewności nie miałem tylko dlatego, że odniosłem wrażenie, iż sam

Kołowiec nie jest do końca pewien wszystkich okoliczności. Gdyby miał klarowną sytuację, nie musiałby przecież organizować tej zasadzki na mnie i proponować mi pracy. Wyglądało na to, że chce mnie kupić, jakby obawiał się, że mogę mu przeszkodzić, pokrzyżować jego plany.

— A więc sprawa wygląda wręcz beznadziejnie — zauważył Duch. — Bardzo mi przykro, drogi przyjacielu. Czy moglibyśmy pomóc ci w jakiś sposób? Możesz liczyć na Oopa i na mnie, chyba także na tę dziewczynę, która tak zapamiętała piła z tobą i Oopem. Tę, co posiada wielkiego kocura.

— Wygląda beznadziejnie — przyznał Maxwell — ale jest jeszcze kilka rzeczy, które nadal mogę zrobić. Skontaktować się z Harfowem Sharpem z Czasu i spróbować przekonać go, żeby wstrzymał transakcję. Potem trzasnąć jednymi czy drugimi drzwiami w Administracji i przyprzeć Arnolda do muru. Gdybym namówił Arnolda, żeby zwiększył fundusze Czasu o tę samą kwotę, jaką oferuje Kołowiec za Artefakt, jestem pewien, że Harlow odrzuciłby wówczas ofertę Kołowca.

— Wierzę, że uczynisz wszystko co w twojej mocy, ale obawiam się o rezultaty. Nie chodzi o Harfowa Sharpa, on jest twoim przyjacielem, ale rektor Arnold nie będzie kierował się sentymentami. Obawiam się, czy w ogóle zechce z tobą rozmawiać, kiedy siłą wedrzesz się do jego gabinetu.

— Wiesz, co myślę? — zagadnął Maxwell. — Chyba, niestety, masz rację. Mimo wszystko muszę spróbować. Być może w drodze wyjątku Arnold odstąpi od swoich zasad i tylko ten jeden raz zapomni o swoich uprzedzeniach i zostawi na boku urażoną dumę.

— Muszę cię uprzedzić, że Harlow Sharp może mieć bardzo mało czasu dla ciebie lub kogokolwiek innego. Ma głowę zajętą

czym innym. Dziś rano pojawił się Shakespeare...

— Shakespeare! Na miłość boską, zupełnie o nim zapomniałem. Ale jego odczyt został zapowiedziany dopiero na jutrzejszy wieczór. Do stu piorunów! Że też wszystko musiało się wydarzyć równocześnie!

— Wszystko wskazuje na to, że z Williamem Shakespeare'em także będzie sporo kłopotów — powiedział Duch. — Od razu chciał wyjść i obejrzeć sobie tę nową epokę, o której tak wiele mu opowiadano. Ci z Czasu przeżyli ciężkie chwile, zanim przekonali go, aby zmienił swój elżbietański strój na współczesny, ale po długich namowach, kiedy w końcu zgodził się przebrać, musieli puścić go między ludzi. No i teraz zachodzą w głowę, co mu się mogło przydarzyć. Mieli go cały czas na oku, ale udało mu się ich wykołować. Oddaliby wszystko, byle go tylko odnaleźć. Wyprzedali wszystkie bilety, nawet na miejsca stojące w tym wielkim holu na parterze, a teraz grozi im, że impreza w ogóle się nie odbędzie.

— Skąd o tym wiesz? — zapytał Maxwell. — Wygląda na to, że przechwytujesz miasteczkowe plotki, zanim się jeszcze rozejdą.

— Kręcę się tu i tam — odparł Duch skromnie.

— To faktycznie nieciekawa sytuacja — stwierdził Maxwell. — Ale ja nie zrezygnuję ze swoich planów. Mam bardzo mało czasu. Jeżeli ktokolwiek ma szansę zobaczyć się z Harfowem, muszę to być ja.

— To wszystko brzmi wprost niewiarygodnie — powiedział Duch ze smutkiem w głosie. — Wygląda na to, że okoliczności sprzysięgły się przeciwko tobie i będziesz musiał głową rozbijać mur. Aż trudno uwierzyć, że przez zwykłą głupotę uniwersytet i cała Ziemia stracą szansę zdobycia wiedzy dwóch wszechświatów.

— To sprawka Kołowca. Jego oferta to bardzo silny argument, znacznie ogranicza moje pole manewru. Gdybym tylko miał więcej czasu... Mógłbym doprowadzić sprawę do końca. Porozmawiałbym z Harfowem i w końcu załatwił spotkanie z Arnoldem. W ostateczności, gdyby to nie wypaliło, namawiałbym Harfowa na tę transakcję. Wtedy Czas, a nie Uniwersytet kupiłby bibliotekę krystalicznej planety. Ale nie ma na to czasu. Powiedz mi, Duchu, co wiesz na temat Kołowców. Czy jest coś, o czym my wszyscy jeszcze nie wiemy?

— Wątpię. Tylko tyle, że to oni mogą być owym hipotetycznym wrogiem, którego spotkanie w przestrzeni kosmicznej zawsze przepowiadano. Wszystkie ich działania świadczą, że przynajmniej potencjalnie są wrogami. Motywy ich działań, zwyczaje, etyka, w końcu ogólny pogląd na życie muszą być krańcowo różne od naszych. Mamy z nimi prawdopodobnie jeszcze mniej wspólnego niż z pajakami czy osami. Tyle, że oni są sprytni i to jest najgorsze. Przejęli z naszych poglądów i manier wystarczająco dużo, żeby móc swobodnie kontaktować się z nami, przebywać wśród nas i robić interesy. W pełni zademonstrowali swe umiejętności w tych kombinacjach, mających doprowadzić do zdobycia przez nich Artefaktu. Właśnie ich sprytu, drogi przyjacielu, ich elastyczności obawiam się najbardziej. Wątpię, czy gdyby role się odwróciły, ludzie byliby w stanie zdziałać aż tak wiele.

— Myślę, że masz rację — odparł Maxwell. — Tym bardziej powinniśmy uczynić wszystko, żeby nie przejęli owego skarbu, jaki oferuje krystaliczna planeta. Bóg jeden wie, co zawiera ta biblioteka. Miałem okazję obejrzeć próbkę, ale to ledwie odrobina, jedynie maleńki wycinek całości. Mimo wszystko zetknąłem się z wiedzą, której nie byłbym w stanie zgłębić przez

lata. Co nie znaczy, że ludzkość, dysponując czasem i umiejętnościami, których mnie brakowało, których nie potrafię sobie nawet wyobrazić, nie będzie w stanie tego zrozumieć. Na pewno jest to w zasięgu naszych możliwości. Ale tak samo w zasięgu możliwości Kołowców. Istnieją przecież rozległe obszary wiedzy, do jakiej nie mamy żadnych predyspozycji, a mogą one stanowić naturalną domenę Kołowców. Jeżeli kiedykolwiek miałyby dojść do konfliktu między ludźmi i Kołowcami, wówczas wiedza krystalicznej planety mogłaby być jedynym czynnikiem decydującym o zwycięstwie lub porażce. Co więcej, Kołowcy, mając świadomość, że jesteśmy w posiadaniu owej wiedzy, mogliby robić wszystko, żeby nigdy nie dopuścić do konfliktu. Ten skarb może decydować o przyszłym pokoju lub wojnie.

Zgarbił się, kiedy mimo ciepłego, jesiennego popołudnia poczuł ukłucia chłodu nadciągającego gdzieś z daleka, nie mającego nic wspólnego ani z przybranym jesiennymi barwami krajobrazem, ani z niebem przypominającym chiński jedwab, które zdawało się otulać całą Ziemię.

— Rozmawiałeś z banshee tuż przed jego śmiercią — odezwał się Duch. — Wspominał o Artefakcie. Czy zostawił ci chociażby jakąś wskazówkę, czym on właściwie jest? Gdybyśmy wiedzieli...

— Nie, Duchu. Na ten temat nie padło ani słowo. Zrodziło się we mnie podejrzenie... Nie, nazwijmy to raczej przeczuciem, zbyt mglistym, by formułować podejrzenia. Przyszło mi do głowy już po rozmowie z nim, nie dał mi jednak najmniejszych podstaw, żeby wyciągać podobne wnioski. Otóż skłonny jestem przypuszczać, że Artefakt pochodzi z innego, z poprzedniego wszechświata. Z tego, który stanowił kolebkę krystalicznej planety. Prawdopodobnie jest czymś niezwykle wartościowym,

co przetrwało wszystkie eony od końca tamtego wszechświata. Co się z tym wiąże, banshee oraz te inne prehistoryczne stworzenia, zidentyfikowane przez Oopa, musiałyby także pochodzić z tamtego wszechświata i być w jakiś sposób związane z mieszkańcami krystalicznej planety. Stanowiłyby formy życia, powstałe i rozwijające się w poprzednim wszechświecie, które przybyły na Ziemię, a może również na inne planety, w roli osadników, realizując gigantyczny plan krystalicznej planety, zmierzający do utworzenia nowej cywilizacji. Ale coś się zdarzyło, z jakiegoś powodu ten wielki plan kolonizacji nie powiódł się. Tu, na Ziemi, przyczyną był rozwój człowieka, na innych planetach mogły to być zupełnie inne czynniki. Wydaje mi się, że wiem, dlaczego zawiodły wszelkie próby skolonizowania nowego wszechświata. Nie wzięto pod uwagę faktu, że gatunki wymierają — wymierają w sposób naturalny z jednego tylko powodu: żeby zrobić miejsce dla rozwijających się nowych kultur. Niewykluczone, że działa tu jakieś naturalne prawo, którego jeszcze nie rozumiemy. Możliwe, że każda rasa może dominować tylko przez pewien określony czas i owe starożytne istoty przybyły na Ziemię z wydanym już na siebie wyrokiem śmierci. Istnienie podobnego prawa natury, które oczyszcza drogę dla ewolucji, które nakłada ograniczenia czasowe dla każdej rasy stającej na drodze ewolucji, nigdy nie przyszło nam do głowy, ponieważ stanowimy jeszcze bardzo młodą kulturę.

— To brzmi rozsądnie — przyznał Duch. — Twój wniosek o wymarciu wszystkich kolonii jest bardzo prawdopodobny. Gdyby gdziekolwiek we wszechświecie istniała rozwijająca się nadal kolonia, krystaliczna planeta jej przekazałaby swoje dziedzictwo, zamiast oferować je nam lub Kołowcom, czyli

cywilizacjom, które są dla niej całkowicie obce.

— Jedno mnie dręczy — wyznał Maxwell. — Do czego mieszkańcom krystalicznej planety, znajdującym się już tak blisko śmierci, że nie są niczym więcej jak cieniami, może być potrzebny Artefakt? Cóż im teraz przyjdzie z niego? Do czego mogą go jeszcze wykorzystać?

— Może gdybyśmy wiedzieli, czym on jest... — podsunął Duch.
— Na pewno nic ci nie przychodzi do głowy? Może po rozmowie z banshee...

— Nie — przyznał Maxwell. — Nie mam najmniejszego pojęcia.



Harlow Sharp sprawiał wrażenie człowieka, któremu cały świat zwał się na głowę.

— Przepraszam, że musiałeś tak długo czekać — odezwał się do Maxwella. — Dzisiaj jest sądny dzień.

— Powinienem się cieszyć, że w ogóle udało mi się tu dostać — odparł Maxwell. — Ten pies wartowniczy przed wejściem ~do twego gabinetu wcale nie miał zamiaru mnie wpuścić.

— Spodziewałem się ciebie, byłem pewien, że wcześniej czy później się pojawisz. Dotarły do mnie przedziwne opowieści... — Pewnie większość z nich jest prawdziwa. Ale nie przyszedłem tu, by cię nimi zanudzać. To nie jest towarzyska wizyta. Mam pewien interes, ale nie zabiorę ci zbyt wiele czasu. — W porządku — rzekł Sharp. — Co mogę dla ciebie zrobić?

— Sprzedajesz Artefakt.

Sharp potwierdził skinieniem głowy.

— Przykro mi z tego powodu, Pete — powiedział. — Wiem, że byłeś wśród tych, którzy najbardziej się nim interesowali. Ale tkwi w muzeum już od lat i poza tym, że stanowi ciekawostkę chętnie oglądaną przez zwiedzających, nie mamy z niego żadnego pożytku. Czas potrzebuje pieniędzy, na pewno zdajesz sobie z tego sprawę. Uniwersytet trzyma mocno sakiewkę, a inne wydziały przekazują nam jedynie drobne sumy za niektóre

specyficzne usługi...

— Wszystko rozumiem, Harlow. Macie pełne prawo go sprzedać. Pamiętam, że Administracja nie chciała przeznaczyć ani grosza na projekt sprowadzenia Artefaktu. Wy ponosiliście wszelkie koszty, w związku z tym...

— Musimy bardzo oszczędzać, żebrać i pożyczać — wtrącił Sharp. — Opracowujemy projekt za projektem — bez wyjątku są to doniosłe, cenne propozycje, które mogłyby zaowocować nowymi danymi, poszerzyć naszą wiedzę. Ale kiedy przedstawiamy je do realizacji, nikt ich nie chce finansować. Czy możesz to sobie wyobrazić? Cała przeszłość do przekopania i nikogo zainteresowanego! Wszyscy się boją, że obalimy którąś z ich ukochanych teorii, nad którymi tak bardzo się mozolili. Musimy w jakiś sposób zdobyć pieniądze, żeby w ogóle móc kontynuować pracę. Czy sądzisz, że podobają mi się sposoby, jakimi musimy zdobywać dodatkowe fundusze? Chociażby ten cyrk z Shakespearą w roli głównej, który urządzamy, czy inne podobne hece. Wiem, że nic dobrego nam z tego nie przyjdzie. Tracimy tylko dobre imię, a w dodatku przysparzamy sobie kłopotów. Nawet nie wyobrażasz sobie, Pete, ile mamy z tym wszystkim kłopotów. Weź na przykład Shakespearę. Po prostu poszedł na wycieczkę, jak turysta podziwiający zabytki, a ja muszę tu siedzieć i obgryzać paznokcie do krwi, wyobrażając sobie najgorsze rzeczy, które mogły mu się przydarzyć. Czy wyobrażasz sobie, jaki podniósłby się szum, gdyby ktoś taki jak Shakespeare nie został odstawiony z powrotem do swojej epoki? Gdyby...

— Nie mam zamiaru cię przekonywać — wtrącił Maxwell, chcąc przerwać ten potok słów. — Nie przyszedłem, żeby... — W takiej właśnie sytuacji pojawiła się nagle szansa sprzedaży

Artefaktu — Sharp nie dał mu dojść do słowa. — Zaproponowano nam znacznie większą sumę, niż kiedykolwiek dostaliśmy z tego dziadowskiego Uniwersytetu w ciągu ostatnich stu lat. Musisz zrozumieć, jakie znaczenie ma dla nas ta oferta. Rysuje się szansa realizacji tych wszystkich projektów, które wstrzymywaliśmy z braku funduszy. Oczywiście, wiem o Kołowcu. Kiedy przyszedł do mnie Churchill i zaczął niewyraźnie sondować sprawę, od razu domyśliłem się, że występuje w czyimś imieniu i postawiłem sprawę jasno: nie będę prowadził żadnych pertraktacji z pośrednikiem. Zmusiłem Churchilla do tego, żeby zdradził dla kogo pracuje. Kiedy mi wreszcie powiedział, zamurowało mnie, ale nie namyślałem się długo, zdawałem sobie sprawę, że nadarza się wyjątkowa okazja zdobycia poważnych funduszy. Dla takich pieniędzy ubiłbym interes nawet z samym diabłem, Pete.

— Chcę cię jedynie prosić, Harlow, żebyś wstrzymał transakcję i dał mi trochę czasu — powiedział Maxwell.

— Czasu? Czasu na co?

— Jest mi potrzebny Artefakt.

— Jest ci potrzebny? Do czego?

— Mogę go przehandlować za planetę — odparł Maxwell — za planetę pełną zmagazynowanej wiedzy, wypełnioną zapisami pochodzącymi nie z jednego, ale z dwóch wszechświatów.

A jest to wiedza gromadzona przez pięćdziesiąt miliardów lat. Sharp pochylił się mocno do przodu, ale zaraz opadł z powrotem na oparcie fotela.

— Mówisz poważnie, czy kpisz sobie ze mnie, Pete? Słyszałem wiele dziwnych plotek na twój temat. Podobno było was dwóch, ale jeden zginął. Ukrywasz się przed dziennikarzami, a prawdopodobnie także przed glinami. Zrobiłeś jakąś awanturę

w Administracji...

— Mógłbym ci to wszystko wyjaśnić, Harlow, ale to w niczym nie zmienia sedna sprawy. Wiem, że brzmi to niewiarygodnie, ale mówię prawdę, jestem w stanie kupić planetę...

— Ty? Chcesz ją kupić dla siebie?

— Oczywiście, że nie dla siebie. Dla Uniwersytetu. Dlatego potrzebuję trochę czasu, żeby przedstawić sprawę Arnoldowi...

— I przekonać go do transakcji? Nie masz najmniejszych szans, Pete. Słyszałem o zatargu między tobą a Longfellowem, a Longfellow trzyma w garści wszystkie sznurki. Nawet gdyby twoja propozycja była sensowna...

— Ona jest sensowna, próbuję ci to właśnie wytłumaczyć. Rozmawiałem z mieszkańcami tamtej planety, widziałem kilka zapisów.

Skarp pokręcił głową.

— Jesteśmy przyjaciółmi już od bardzo dawna. Zrobiłbym dla ciebie prawie wszystko. Ale w tej sprawie nie mogę ci pomóc. Nie mogę przepuścić okazji, jaka nadarza się Czasowi. Obawiam się zresztą, że przyszedłeś za późno.

— Za późno?

— Uzgodniona kwota wpłynęła na nasze konto dziś po południu. Kołowiec wejdzie w posiadanie Artefaktu jutro rano. Chciał zabrać go natychmiast, ale wynikły problemy z odpowiednim środkiem transportu.

Maxwell milczał, jakby porażony tą informacją.

— Myślę, że to wyjaśnia sprawę — dodał Skarp. — Sam widzisz, że nic już nie mogę zrobić.

Maxwell zamierzał się podnieść, ale opadł z powrotem na fotel.

— Harlow, gdyby udało mi się porozmawiać z Arnoldem dziś

wieczór, gdybym namówił go na zrekompensowanie wam...

— Nie bądź śmieszny — rzucił krótko Skarp. — Zemdleje, kiedy dowie się, o jaką sumę chodzi.

— Jest aż tak wysoka?

— Owszem, jest bardzo wysoka.

Maxwell powoli stanął na sztywnych nogach.

— Coś ci jeszcze powiem — odezwał się Skarp. — Musiałeś jakimś sposobem nieźle nastraszyć Kołowca. Churchill wpadł tu dziś rano, zdenerwowany jak kot i zaczął się zapluwać, że musimy natychmiast skończyć pertraktacje. Szkoda, że nie przyszedłeś do mnie wcześniej. Może wspólnie wymyślilibyśmy coś, chociaż nie mam pojęcia, czy znalazłoby się inne wyjście z sytuacji.

Maxwell miał już się odwrócić w stronę drzwi, ale zawahał 3' się jeszcze i przystanął przy biurku Skarpa.

— Jeszcze jedno. Chodzi o podróżę w czasie. Nancy Clayton zdobyła obraz Lamberta...

— Tak, słyszałem o tym.

— W tle widnieje na nim kamień stojący na szczycie wzgórza. Gotów jestem przysiąc, że to Artefakt. Oop stwierdził, że postacie na obrazie przypominają mu stworzenia, które pamięta z epoki neandertalskiej. Z tego co wiem, znaleźliście Artefakt właśnie na szczycie wzgórza w epoce jurajskiej. Skąd Lambert mógł wiedzieć, że on stał na wzgórzu? Przecież znaleźliście Artefakt wieki całe po śmierci malarza. Sądzę, że Lambert widział na własne oczy Artefakt oraz stworzenia, które umieścił na obrazie. Myślę, że odbył podróż w czasie aż do mezozoiku. Czy nie uważasz, że mogło to mieć coś wspólnego z niejakim Simonsonem?

— Rozumiem, do czego zmierzasz — odparł Skarp. — Ale to

raczej mało prawdopodobne. Simonson w dwudziestym pierwszym wieku faktycznie robił pewne próby wyprawy w przeszłość, nawet z powodzeniem, ale sam stwierdził, że istniały olbrzymie problemy z układami sterowania. Istnieje legenda, że zgubił jednego czy dwóch ludzi w czasie, wysłał ich w przeszłość i nie mógł stamtąd wydostać. Jego sukcesy w podróżowaniu w czasie zawsze były kwestionowane. Z notatek Simonsona, przynajmniej z tych, którymi dysponujemy, niewiele wynika, a on nie publikował żadnych prac. Przeprowadzał swoje eksperymenty w ścisłej tajemnicy, sądził bowiem, że podróże w czasie okażą się złotą żyłą, że będzie mógł wynajmować maszynę ekspedycjom naukowym, albo transportować w przeszłość myśliwych stęsknionych za łowami na wielkiego zwierza. Myślał, że zdobędzie fortunę. Między innymi chciał wyprawić się do Afryki Południowej dawnych czasów i oczyścić pola diamentów w Kimberley. Dlatego trzymał wszystko w sekrecie. Nikt nie znał szczegółów jego pracy.

— Ale chyba nie można wykluczyć takiej możliwości — nalegał Maxwell. — Czas się zgadza, Simonson i Lambert byli sobie współcześni, a w stylu Lamberta występuje nagły przełom, jakby coś się przydarzyło. Przyczyną mogła być podróż malarza w czasie.

— Owszem, nie można tego wykluczyć — przyznał Sharp. — Ale na twoim miejscu nie obstawiałbym tej hipotezy.



Kiedy Maxwell wyszedł z budynku Czasu, na niebie zaczynały pojawiać się pierwsze gwiazdy, a wiatr niósł ze sobą chłód nocy. Olbrzymie wiązy widoczne były tylko jako skłębione plamy głębszej czerni na tle światła w oknach budynków po przeciwnej stronie promenady.

Maxwell zadygotał z zimna. Podniósł kołnierz marynarki i przytrzymując dłonią jego brzegi pod szyją zaczął szybko schodzić po schodach ku alejce biegnącej wzdłuż promenady, po której wędrowali nieliczni już o tej porze przechodnie.

Poczuł ogromny głód, nie jadł nic od wczesnego ranka. Teraz, kiedy wszystkie jego nadzieje rozwiały się, myśl o jedzeniu wręcz go rozbawiła. Był nie tylko głodny, ale również bezdomny, nie mógł bowiem wracać do Oopa, jeśli nadal miał zamiar unikać dziennikarzy. Uświadomił sobie jednak, że nie ma już żadnego powodu ukrywać się przed dziennikarzami. Opowiadając im swoją historię nie mógł teraz nic stracić, ani niczego zyskać. Ale wzdrygnął się na samą myśl o spotkaniu z nimi, o wyrazie niedowierzania, jaki niechybnie pojawiłby się na ich twarzach, o pytaniach, którymi by go zasypano, a przede wszystkim na myśl o żartobliwym tonie, w jakim utrzymane byłyby wszystkie relacje w gazetach.

Zszedł na dół i zatrzymał się pośrodku alejki, nie mogąc się

zdecydować, dokąd pójść. Próbował przypomnieć sobie, czy gdzieś w okolicy nie ma jakiegoś baru lub restauracji, niezbyt chętnie odwiedzanych przez pracowników jego wydziału, którzy mogliby go rozpoznać. Dzisiejszego wieczora, jak nigdy przedtem, nie miał ochoty udzielać jakichkolwiek odpowiedzi na pytania.

Za jego plecami rozległ się niespodziewany szelest. Odwrócił się szybko i stanął twarzą w twarz z Duchem.

— Ach, to ty — mruknął.

— Czekałem na ciebie — powiedział Duch. — Bardzo długo tam siedziałeś.

— Musiałem czekać, ale w końcu spotkałem się z Sharpem.

— Udało ci się coś załatwić?

— Nie, nic. Artefakt jest już sprzedany, a rachunek uregulowany. Kołowiec ma go zabrać jutro rano. Obawiam się, że to koniec. Mogę jeszcze spróbować dotrzeć do Arnolda dziś wieczorem, ale to chyba nie ma już sensu, najmniejszego sensu...

— Oop trzyma dla nas stolik. Domyślam się, że jesteś głodny.

— Umieram z głodu — przyznał Maxwell.

— Zatem wskażę drogę.

Zeszli z promenady i Duch poprowadził bocznymi uliczkami i alejkami, jak się wydawało Maxwellowi, tracąc mnóstwo czasu na kluczenie.

— Idziemy do lokalu, w którym nikt nas nie rozpozna wyjaśnił Duch. — Ale potrawy są tam jadalne, a whisky tania. Tak przynajmniej zapewniał Oop.

Wreszcie dotarli do celu i zeszli po żelaznych schodach do suterenu. Maxwell pchnął drzwi. Wnętrze było ciemne. Z zaplecza dochodziły kuchenne zapachy.

— Serwują tu jedzenie w stylu domowym — rzekł Duch.

Zastawiają cały stół i każdy musi obsługiwać się sam. Oop uwielbia ten sposób serwowania potraw.

Od jednego ze stojących w głębi stolików podniosła się masywna postać Oopa. Pomachał im ręką. Maxwell szybkim spojrzeniem omiół cały lokal, w którym znajdowało się nie więcej jak pół tuzina osób.

— Tędy! — wrzasnął Oop. — Ktoś tu czeka na ciebie. Maxwell ruszył przez salę w tamtą stronę, a Duch popłynął za nim. Znad stolika spojrzała na niego Carol. Obok siedział ktoś jeszcze — pokryta gęstym zarostem twarz mężczyzny wydała się Maxwellowi znajoma, chociaż nie mógł sobie przypomnieć skąd.

— Nasz dzisiejszy gość — przedstawił Oop. — Mistrz William Shakespeare.

Shakespeare podniósł się i wyciągnął w stronę Maxwella dłoń. Pośród gęstej brody błysnęły w uśmiechu białe zęby. — Jestem niepomiernie szczęśliwy, że znalazłem się pomiędzy tak nieokrzesanymi zawadiakami — powiedział.

— Nasz bard myśli o pozostaniu tutaj — wtrącił Oop o osiedleniu się w naszych czasach.

— Tylko nie bard — zaprotestował Shakespeare. — Nie pozwolę wam nazywać mnie takim sposobem. Nie jestem nikim więcej jak uczciwym rzeźnikiem i kupcem wełny.

— Zwykle przejęzyczenie — zapewnił Oop. — Tak bardzo przywykliśmy...

— Tak, tak, wiem — odparł Shakespeare. — Jedno potknięcie zmienia krok szeregów maszerujących za nami.

— Proszę zostać z nami — powiedział Maxwell, po czym rzucił szybkie spojrzenie w stronę Oopa. — Czy Harlow wie, że on tu jest? — zapytał.

— Nie sędzę. Dołożyliśmy wszelkich starań, żeby nikt o tym

nie wiedział.

— Zerwałem się ze smyczy — wyjaśnił uśmiechnięty, zadowolony z siebie Shakespeare. — Z pomocą, za którą jestem wielce zobowiązany.

— Z pomocą — powtórzył Maxwell. — Dałbym głowę, że wiem, kto udzielił tej pomocy. Czy wy, błazny, nauczycie się kiedyś...

— Daj spokój, Pete — wtrąciła się Carol. — Uważam, że Oop postąpił bardzo szlachetnie. Ten biedny człowiek z innej epoki chciał jedynie zobaczyć, jak teraz żyją ludzie, ale...

— Usiądźmy lepiej — odezwał się Duch do Maxwella. Wyglądasz na człowieka, który w pierwszej kolejności potrzebuje czegoś mocniejszego.

Maxwell usiadł obok Shakespeare'a, a Duch zajął miejsce po przeciwnej stronie. Oop wyciągnął spod stołu butelkę i podał ją Maxwellowi.

— Proszę, napij się — rzucił. — Daj spokój z ceremoniami i nie zwracaj sobie głowy szklanką. Możemy się tu czuć zupełnie swobodnie.

Maxwell uniósł butelkę do ust i nie odrywał jej przez dłuższą chwilę. Shakespeare patrzył na niego z podziwem.

— Muszę wyrazić uznanie dla pańskiego hartu ducha powiedział, kiedy Maxwell w końcu postawił butelkę na stole. — Posmakowałem szklaneczkę tego trunku i omal mnie nie skrzyło.

— Po pewnym czasie można się do tego przyzwyczać zapewnił Maxwell.

— Ale za to piwo... — stwierdził Shakespeare, wskazując palcem opróżnioną do połowy butelkę. — Macie napój przyjemny dla podniebienia i łagodnie oddziałujący na żołądek.

Sylwester przeczołgał się za Shakespeare'em, wcisnął między krzesła i położył łeb na kolanach Maxwella. Profesor podrapał go za uchem.

— Czy ten kot naprzykrza ci się znowu? — spytała Carol. — Sylwester i ja jesteśmy kumplami ; odparł Maxwell. Nasza przyjaźń okrzepła w boju. Jak zapewne pamiętasz, wczoraj wieczorem skoczyliśmy na Kołowca i udało nam się go pokonać.

— Ma pan wyraz ukontentowania na twarzy — zauważył Shakespeare. — Mogę z tego wnosić, że sprawy, którymi był pan zajęty i które zatrzymały go aż do tej chwili, ułożyły się pomyślnie?

— Szczerze mówiąc, nie ułożyły się wcale — odparł Maxwell. — Jedynym powodem wyrazu ukontentowania na mojej twarzy jest miłe towarzystwo, w jakim się znalazłem.

— To znaczy, że Harlow nie chciał cię wysłuchać? — ryknął Oop. — Nie chciał dać ci jednego czy dwóch dni czasu?!

— Nie był w stanie już nic zrobić — wyjaśnił Maxwell. Pieniądze zostały przekazane i jutro rano Kołowiec ma zabrać Artefakt.

— Mamy pewien pomysł, w jaki sposób skłonić Sharpa do zmiany decyzji — oznajmił Oop tajemniczym szeptem.

— Już za późno — rzekł Maxwell. — Nie może się już wycofać, transakcja została sfinalizowana. Nie sądzisz chyba, że odda z powrotem pieniądze i złamie dane słowo. A jeśli prawidłowo odgaduję wasze zamiary, to będzie musiał jedynie odwołać wykład i zwrócić pieniądze za bilety.

— Chyba masz rację — przyznał Oop. — Nie mieliśmy pojęcia, że sprawy zaszły już tak daleko. Sądziliśmy, że będziemy mogli jeszcze zmienić układ sił.

— Zrobiliście wszystko, co było w waszej mocy i jestem wam

za to wdzięczny.

— Stwierdziliśmy, że jeśli uda się zyskać dzień czy dwa, urządzimy wspólny marsz na szczyt wzgórza, wędrujemy się do budynku i dobitnie wyjaśnimy Arnoldowi całą sprawę — wyjaśnił Oop. — Ale chyba faktycznie jest już za późno. Napij się jeszcze i przyslij flaszkę do mnie.

Maxwell pociągnął jeszcze łyk bimbrowy i podał butelkę Oopowi. Shakespeare wychylił do końca piwo i z hukiem postawił pustą butelkę na stole. Carol wzięła od Oopa flaszkę i wlała odrobinę trunku do swojej szklaneczki.

— Nie obchodzi mnie to, jak wy wszyscy się zachowujecie — powiedziała. — Ja nie zesłam jeszcze do poziomu barbarzyństwa i nie zrezygnuję z posługiwania się szklaneczkami.

— Piwa! — wrzasnął Oop. — Przynieście jeszcze piwa dla naszego dostojnego gościa.

— Dziękuję ci, panie — rzekł Shakespeare.

— Jak znaleźliście tę dziurę? — spytał Maxwell.

— Znam wiele ustronnych miejsc w naszym miasteczku odparł Oop.

— To jest dokładnie taki lokal, jakiego potrzebowaliśmy dodał Duch. — Czas narobi rabanu jakiego świat nie widział. Czy Harlow przyznał się, że Shakespeare umknął im spod kontroli?

— Nie wprost, chociaż sprawiał wrażenie doprowadzonego do wściekłości — wyjaśnił Maxwell. — Wspomniał, że ma wielkie zmartwienie, ale starał się nie dać po sobie niczego poznać. To typ człowieka, który może siedzieć na krawędzi eksplodującego wulkanu i nie zdrzy mu nawet włos.

— A co z dziennikarzami? — zapytał po chwili. — Nadal oblegają chałupę?

Oop pokręcił przecząco głową. — Nie, ale na pewno jeszcze wrócą. Musimy znaleźć dla ciebie jakąś inną kryjówkę.

— Teraz mogę chyba już spotkać się z nimi. I tak, wcześniej czy później, będę zmuszony opowiedzieć im o wszystkim stwierdził Maxwell.

— Rozerwą cię na strzępy — ostrzegła Carol. — Oop powiedział mi, że zostałeś bez pracy, a Longfellow jest wściekły na ciebie. W takiej sytuacji nie możesz sobie pozwolić na złą reklamę.

— To już nie ma większego znaczenia — odparł Maxwell. — Zastanawiam się jedynie, jak wiele powinienem im powiedzieć.

— Wszystko — rzucił Oop. — Rozgłoś to wszem i wobec, niech cała Galaktyka dowie się, co straciła.

— Nie mogę. Harlow jest moim przyjacielem i nie chcę go urazić.

Kelner przyniósł butelkę piwa i postawił ją na stoliku.

— Jedna butelka?! — ryknął Oop. — Co ty sobie wyobrażasz? Ruszaj z powrotem i przynieś tu całą skrzynkę! Naszemu przyjacielowi zasycha w gardle.

— Nic nie powiedzieliście — mruknął kelner. — Skąd miałem wiedzieć?

Powłócząc nogami odszedł po większą ilość piwa.

— Wasza gościnność jest bezprzykładna — oznajmił Shakespeare. — Ale obawiam się, że zabieram wam czas w kłopotliwej chwili.

— Owszem, mamy kłopoty — odparł Duch. — Ale nie zabiera nam pan czasu. Bardzo cieszymy się z pańskiego towarzystwa.

— Czy naprawdę zamierza pan pozostać w naszej epoce i osiedlić się tutaj, jak mówił Oop? — zapytał Maxwell.

— Mam zęby w bardzo złym stanie — wyznał Shakespeare. —

Siedzą luźno w szczęce i od czasu do czasu bolą nie do zniesienia. Domniemywam, że są tutaj wspaniali mechanicy, którzy mogliby powyjmować je bezboleśnie i sfabrykować cały zestaw, żeby zastąpić te, które mam.

— Tak, rzeczywiście mogą to zrobić — przytaknął Duch. — Zostawiłem w domu żonę o bardzo obrotnym języku i nie miałbym specjalnej ochoty wracać do niej. Również ten trunek, który nazywacie piwem, jest cudowny ponad wszystko, co pijałem, a i słyszałem wieści, że doszliście do porozumienia z goblinami i wróżkami, co jest rzeczą zdumiewającą. Także zasiadanie do uczyty z duchem przekracza moje pojęcie, aczkolwiek zdaje mi się, że nie trudno tutaj dokopać się do korzeni prawdy.

Kelner wrócił ze skrzynką butelkowanego piwa i z hukiem postawił ją na stole.

— Proszę! — rzekł zde gustowany. — To powinno wystarczyć wam na jakiś czas. Kucharka prosiła przekazać, że kolacja będzie gotowa za chwilę.

— Zdaje się, że nie ma pan zamiaru zjawić się na swoim wykładzie? — wypytywał dalej Maxwell.

— Zaiste. Gdybym to uczynił, bezzwłocznie, natychmiast po zakończeniu odwieźliby mnie z powrotem do domu.

— Gdyby go dostali teraz w swoje łapy, nie wypuściliby już ani na chwilę — dodał Oop.

— W jaki sposób ma pan zamiar zarabiać na życie? — zapytał Maxwell. — Nie posiada pan żadnych umiejętności przydatnych w naszej .epoce.

— Z pewnością coś wymyślę — odparł nie zrażony Shakespeare. — Rozum ludzki, zmuszony do tego, zawsze podsunie jakąś odpowiedź.

Podszedł kelner z tacą załadowaną potrawami i zaczął ustawiać talerze na stole.

— Sylwester! — zdążyła tylko krzyknąć Carol.

Kocur podniósł się błyskawicznie, oparł przednimi łapami o krawędź stołu i porwał z talerza dwie porcje krwistej, zarumienionej wołowiny ze sterczącymi z nich żeberkami. Po chwili zniknął pod stołem, trzymając w pysku cenną zdobycz.

— Kotek także był głodny — stwierdził Shakespeare. Złapał, co mu wpadło w łapy.

— Jeśli chodzi o jedzenie, on także nie ma żadnych manier — wyjaśniła Carol.

Pod stołem rozległy się odgłosy miażdżonych kości.

— Mistrzu Shakespeare — zagadnął Duch. — Pochodzi pan z Anglii, z miasteczka nad rzeką Avon.

— To bardzo malownicza kraina, ale zaludniona wyrzutkami człowieczeństwa — oznajmił Shakespeare. — Pełno tam kłusowników, złodziei, morderców, rozbójników i innych budzących odrazę typów...

— Ale ja przypominam sobie łabędzie pływające po rzece, płaczące wierzby na jej brzegach i...

— Co takiego?! — huknął Oop. — Jak ty możesz sobie przypominać?

Duch podniósł się majestatycznie z krzesła i w tym powstaniu było coś, co zmusiło wszystkich do utkwienia w nim wzroku. Podniósł rękę, choć właściwie nie wiadomo było, czy jest w środku jakaś ręka, czy tylko pusty rękaw tuniki. Jego głos zabrzmiał tak głucho, jakby rozbrzmiewał echem z przepaścistych głębin.

— Przypomniałem sobie — powiedział. — Po tylu latach wreszcie sobie przypomniałem. Nie wiem, czy uleciało to z mej

pamięci, czy też nigdy nie byłem tego świadom. Ale teraz już wiem...

— Panie Duchu, zachowuje się pan wyjątkowo dziwnie zauważył Shakespeare. — Jakież to niezwykle emocje zawładnęły panem?

— Wiem już, kim jestem — oznajmił triumfalnie Duch. Wiem, czym jestem duchem.

— Dzięki Bogu — mruknął Oop. — Może położy to wreszcie kres wszelkim marudzeniom o spuściźnie.

— A więc czymże, na Boga, jest pan duchem? — niecierpliwił się Shakespeare.

— Twoim — oświadczył drżącym głosem Duch. — Teraz wiem, wiem na pewno! Jestem duchem Williama Shakespeare'a!

Na dłuższą chwilę zapadło pełne konsternacji milczenie. Nagle z gardła Shakespeare'a wydobył się zdławiony jęk przerażenia. Zerwał się gwałtownie z krzesła, przeskoczył ponad blatem i rzucił się w stronę drzwi. Stół zachybotał się niebezpiecznie. Maxwell chciał skoczyć na nogi, ale zaplątał się w krzesło i wraz z nim runął do tyłu na podłogę. Zdążył jeszcze dostrzec lecącą na niego krawędź stołu, kiedy wyskoczyła znad niej sosjerka, wylewając całą zawartość wprost na jego twarz.

Maxwell wyciągnął obie dłonie i usiłował zetrzeć sos z twarzy. Gdzieś z góry dobiegały dzikie ryki Oopa.

Przejrzał wreszcie na oczy. Z twarzą i włosami nadal ociekającymi sosem zdołał wyczołgać się spod stolika i stanąć na nogi.

Carol siedziała bezradnie na podłodze wśród stosów pozrucanego jedzenia. Butelki piwa toczyły się tu i tam w różne strony. W drzwiach prowadzących do kuchni stała kucharka kobieta potężnej budowy, z muskularnymi ramionami

i potarganymi włosami. Zaciśnięte w pięści dłonie opierała na biodrach. Sylwester pochylał się nad olbrzymią pieczęcią, wyszarpując wielkie kawały mięsa i połykając je łakomie, by zjeść jak najwięcej, nim ktokolwiek będzie próbował go powstrzymać. Oop wracał od drzwi wejściowych utykając.

— Ani śladu po nich — jęknął. — Ani śladu po żadnym z nich. Podał rękę Carol i pomógł jej wstać.

— Ten przeklęty Duch — rzekł rozdrażniony. — Dlaczego nie zachował tego w tajemnicy? Nawet jeśli przypomniał sobie...

— Zrozum, że on do tej pory musiał trwać w nieświadomości — powiedziała Carol. — Dopiero ta konfrontacja pobudziła jego podświadomość. Możliwe, że podziałało na niego coś, co powiedział Shakespeare. Przez tyle lat usiłował rozwiązać zagadkę swojego istnienia, a kiedy teraz znalazł odpowiedź...

— No to koniec — zawyrokował Oop. — Shakespeare nigdy nie przestanie uciekać, już go nie znajdziemy.

— Możliwe, że Duch coś wskóra — wtrącił Maxwell. Przecież pognał za nim, żeby go zatrzymać i przyprowadzić z powrotem.

— Zatrzymać go?! Jak? — zapytał Oop. — Gdy Shakespeare ujrzy go za sobą, ustali nowy rekord świata w biegach przełajowych.



Siedzieli zgnębieni przy drewnianym, rozchybotanym stole Oopa. Sylwester leżał na grzbiecie obok obmurówki kominka, przednie łapy splótł na brzuchu, a tylne sterczały sztywno w górę. Na jego pysku rozlewał się głupkowaty wyraz zadowolenia.

Oop pchnął przez stół w kierunku Carol słoik po owocach. Dziewczyna uniosła go do góry i powąchała.

— Śmierdzi naftą — oświadczyła. — A jeśli dobrze pamiętam, smakuje podobnie.

Uniosła oburącz słoik, pociągnęła łyk, po czym przesunęła go dalej, do Maxwella.

— Wierzę, że po pewnym czasie można się przyzwycząić nawet do picia nafty — dodała.

— To bardzo dobra gorzałka — Oop wystąpił w obronie własnego produktu. — Przyznaję, że byłaby jeszcze lepsza, gdyby odstąpiła się nieco. Ale jest tak duże zapotrzebowanie, że nie nadążam z produkcją.

Maxwell podniósł słoik i zaczął pić powoli. Samogon spłynął palącą strugą i eksplodował w żołądku, ale ta eksplozja ani trochę nie wpłynęła na jego zły humor. Wciąż był trzeźwy, a na dodatek w ponurym nastroju. Stwierdził w duchu, że miał widocznie jeden z tych dni, kiedy nie sposób się upić, kiedy

można pić bez umiaru i ciągle być trzeźwym. Właśnie dzisiaj miał ochotę zalać się w trupa i pozostać w tym stanie cały dzień. Może wtedy, po wytrzeźwieniu, życie nie wydawałoby mu się aż tak parszywe.

— Zupełnie nie mogę zrozumieć, dlaczego stary Bill do tego stopnia przeraził się spotkaniem ze swoim duchem — powiedział Oop. — Bo przecież się przeraził. Poczzerwieniał, zrobił się prawie fioletowy na twarzy. Wcześniej nie był nawet speszony obecnością Ducha. Może troszeczkę, przy pierwszym spotkaniu, czego zresztą należało się spodziewać po człowieku z szesnastego wieku. Ale kiedy wyjaśniliśmy mu wszystko, robił wrażenie zadowolonego z jego obecności. Zaakceptował Ducha o wiele łatwiej, niż mógłby to zrobić, powiedzmy, człowiek z dwudziestego stulecia. W szesnastym wieku powszechna jeszcze była wiara w duchy, stosunkowo łatwo przyszło mu pogodzić się z rzeczywistością. Nie okazywał strachu ani przez chwilę, dopóki nie dowiedział się, że Duch jest jego duchem...

— Był bardzo zaintrygowany naszymi opowieściami o niziołkach — dodała Carol. — Wymógł na nas obietnicę, że zabierzemy go do Rezerwatu, by mógł zapoznać się z nimi. Podobnie jak w przypadku Ducha, bez zastrzeżeń uwierzył w ich istnienie.

Maxwell wypił jeszcze łyk okowity i przekazał słoik Oopowi. Wytarł usta wierzchem dłoni.

— Swoboda w obcowaniu z duchem — powiedział — jakimkolwiek duchem, to zupełnie nie to samo, co spotkanie tego jednego, szczególnego, który okazuje się twoim własnym. Widocznie człowiek nie jest w stanie zaakceptować, do kopca pogodzić się i uwierzyć w swoją śmierć. Nawet jeśli się przywyknie do obecności ducha...

— Och, proszę, nie zaczynaj znowu wszystkiego od początku — przerwała mu Carol.

Oop wyszczerzył zęby.

— Wyleciał stamtąd jak z procy, jakby ktoś włożył mu petardę w spodnie — rzekł. — Minął drzwi w ogóle nie dotykając klamki. Po prostu wyważył je.

— Nic nie widziałem — stwierdził Maxwell. — Miałem na twarzy miskę z sosem.

— Jedyne szablozębny odniósł z tego całego zamieszania jakiś zysk — powiedział Oop. — Dostał mu się udziec wołowy. Krwisty, taki jaki lubi najbardziej.

— Ten kot to oportunistą — stwierdziła Carol. — Zawsze udaje mu się zwędzić jakiś smakowity kąsek.

Maxwell popatrzył na nią uważnie.

— Chciałbym cię o coś zapytać. Jak to się stało, że przyłączyłaś się do naszego towarzystwa? Sądziłem, że po wczorajszym przyjęciu, po tej hecy z Kołowcem, nie będziesz chciała w ogóle przyznawać się do znajomości z nami.

Oop zachichotał.

— Ona bała się o ciebie. A oprócz tego jest wścibska.

— W zasadzie powinienem inaczej sformułować pytanie kontynuował Maxwell. — Jak to się stało, że zostałaś wpłątana w tę awanturę? Weźmy od samego początku. To właśnie ty podsunęłaś nam plotkę o Artefakcie, o ofercie na jego sprzedaż.

— Nic wam nie podsunęłam. Po prostu się wygadałam. To było... — Podsunęłaś nam — powtórzył Maxwell. — Sądzę, że zrobiłaś to z całą świadomością. Co jeszcze wiesz o Artefakcie? Musisz coś wiedzieć, skoro tak bardzo zależało ci na wstrzymaniu sprzedaży.

— Racja! Szczera prawda! — wykrzyknął Oop. — Lepiej

zaczynij nam wreszcie mówić, siostrzyczko, co tu jest grane. — Myślicie, że tyranizując mnie...

— Nie próbuj obracać wszystkiego w żart — przerwał jej Maxwell. — To może być niezwykle ważne...

— A więc dobrze. Podśluchałam, że ma być sprzedany. Jak wam mówiłam, nie była to informacja przeznaczona dla moich uszu. Zmartwiłam się, nie podobał mi się sam pomysł sprzedaży Artefaktu. Nie chodzi o to, żebym uważała transakcję za coś niewłaściwego, przynajmniej z prawnego punktu widzenia. Zdawałam sobie sprawę, że Czas ma prawo dysponować nim i może go sprzedać, jeśli taka wola. Pomyślałam jednak, że nie powinno się sprzedawać tego typu obiektu, nawet jeśli w grę wchodzi kilkanaście miliardów dolarów. Rzeczywiście, wiem o Artefakcie coś, czego chyba nikt się nawet nie domyśla. Obawiałam się wyjawić komukolwiek tę tajemnicę, a gdy wspominałam ludziom, na ile ważny może być Artefakt, za każdym razem zauważałam, jak mało ich to obchodzi. Dopiero tamtego wieczora, kiedy wy dwaj rozmawialiście o Artefakcie i wykazaliście zainteresowanie...

— Pomyślałaś, że możesz to wykorzystać?

— Sama już nie wiem, co pomyślałam. W każdym razie wy pierwsi wykazaliście jakiegokolwiek zainteresowanie. Nie mogłam powiedzieć wam wprost, nie mogłam ni stąd, ni zowąd opowiedzieć wam o wszystkim, bo... dlatego, że nikt nie wiedział o ofercie na sprzedaż Artefaktu. Poza tym nie mogłam zapomnieć o lojalności w stosunku do Czasu... i w ogóle byłam zmieszana.

— Czy pracowałaś z Artefaktem? W ten właśnie sposób... — Nie, nie pracowałam z nim — odparła. — Ale któregoś dnia zatrzymałam się, popatrzyłam na niego, tak jak wszyscy turyści,

rozumiecie... Po prostu spacerowałam po dziedzińcu muzeum i przystanąłam, żeby mu się przyjrzeć. Tylko dlatego, że jest to bardzo ciekawy, a w dodatku tajemniczy obiekt. Właśnie wtedy zobaczyłam coś, albo może mi się tylko zdawało, sama już nie wiem, niczego nie jestem pewna. Ale pamiętam, że wtedy byłam pewna, byłam absolutnie pewna, że dostrzegłam coś, czego nikt wcześniej nie zauważył, a nawet jeśli zauważył...

Przerwała i spojrzała kolejno na twarze siedzących przy stole. Nikt się nie odezwał. W milczeniu czekali na wyjaśnienie zagadki.

— Niczego już nie jestem pewna — powtórzyła. — Teraz wydaje mi się, że to było tylko przywidzenie.

— No, dalej — mruknął Oop. — Powiedz wreszcie, co takiego zobaczyłaś.

Posepnie skinęła głową.

— To trwało jedynie krótką chwilę, jeden moment, mgnienie oka, ale wtedy nie miałam najmniejszych wątpliwości, że to widzę. Słońce świeciło przez okna, a jego promienie padały na Artefakt. Możliwe, że nikt wcześniej nie patrzył na Artefakt, kiedy padały na niego promienie słońca pod tym właśnie kątem, pod jakim padały tego dnia. Nie wiem. Sądzę, że w ten sposób można by wyjaśnić, dlaczego wówczas odniosłam wrażenie, że dostrzegam coś we wnętrzu. Właściwie niezupełnie w jego wnętrzu. Wyglądało to raczej tak, jakby Artefakt był czymś, co zostało sprasowane albo ukształtowane w geometryczną bryłę, a co można było dostrzec tylko w padających pod odpowiednim kątem promieniach słońca. Wydawało mi się, że dostrzegam oko, a kiedy ujrzałam to oko, zrozumiałam, że musi należeć do żywej istoty, która przygląda mi się i...

— To niemożliwe! — wrzasnął Oop. — Artefakt jest jak głaz!

Przypomina bryłę metalu!

— Dość dziwną bryłę metalu — dodał Maxwell — z której nie można nawet pobrać próbki, która...

— Mówiłam wam przecież, że teraz nie jestem już niczego pewna — przypomniała im Carol. — Możliwe, że zadziałała po prostu moja wyobraźnia.

— Nigdy nie dowiemy się prawdy — podsumował Maxwell. — Jutro rano Kołowiec ma zabrać Artefakt.

— I kupi za niego krystaliczną planetę — dodał Oop. Wydaje mi się, że nie powinniśmy siedzieć tutaj bezczynnie. Gdybyśmy jeszcze potrafili odnaleźć Shakespeare'a...

— Nic by nam z tego nie przyszło — przerwał mu Maxwell. — Jeśli uważacie, że porwanie Shakespeare'a...

— Nikt nie musiał go porywać — obruszył się Oop. Poszedł z nami dobrowolnie, rzekłbym, że nawet z chęcią. Bez i przerwy zastanawiał się, w jaki sposób pozbyć się eskorty, którą wysłał za nim Czas. Na dobrą sprawę to był jego pomysł, my przyszliśmy mu tylko z pomocą.

— Na przykład dając eskortie po łbie.

— Skądże! — wyskoczył Oop. — Przez cały czas zachowywaliśmy się bardzo grzecznie. Myślę, że mógłbyś nasze postępowanie nazwać łagodną perswazją.

— W każdym razie i tak wszystko poszło na marne stwierdził Maxwell. — Nie wzięliście pod uwagę ilości pieniędzy, jaka wchodziła w rachubę. Porwanie nawet tuzina Shakespeare'ów nie skłoniłoby Harlowa Sharpa do rezygnacji z sumy oferowanej za Artefakt.

— Mimo wszystko możemy chyba jeszcze coś zrobić wtrąciła Carol. — Chociażby wyciągnąć Arnolda z łóżka. — Jedyne sposob, w jaki Arnold mógłby nam pomóc powiedział Maxwell — to

przekazać Czasowi taką samą kwotę, jaką Kołowiec zapłacił Sharpowi. Nie sądzę, żeby w ogóle było to możliwe.

— Ja też tak uważam — przyznał Oop.

Uniósł słoik do ust, przechylił i wysączył do dna. Po chwili wstał, podszedł do schowka w podłodze i wyciągnął kolejny. Z pewnym trudem odkręcił wieko, po czym wręczył słoje i Carol.

— Pozwól, że zaczniemy już pracować na porannego kaca — powiedział. — Na pewno o świcie znów zjawią się dziennikarze, muszę więc zawczasu wprawić się w odpowiedni stan, żeby ich wszystkich wyrzucić na zbity pysk.

— Nie, zaczekaj chwilę — odezwał się Maxwell. — Przyszedł mi do głowy pewien pomysł. .

Zapadło milczenie, jakby oczekiwali na ostateczne narodziny planu profesora.

— Translator! — rzucił krótko Maxwell. — Ten, którego używałem do odczytywania zapisów na krystalicznej planecie. Znalazłem go w torbie podróżnej.

— I co z tego? — zapytał Oop.

— Możliwe, że Artefakt jest jeszcze jednym zapisem.

— Ale Carol mówiła...

— Słyszałem, co mówiła Carol. Powiedziała także, że niczego nie jest pewna i mogło jej się tylko zdawać, że widziała wpatrujące się w nią oko. Uważam, że brzmi to tak niewiarygodne...

— To prawda — zgodziła się Carol. — Nie mogę mieć żadnej pewności. Sugestia Petera sprawia wrażenie o wiele bardziej sensownej. Jeżeli on ma rację, Artefakt musiałby stanowić niezwykle ważny zapis, a do tego niezwykle obszerny. Niewykluczone, że chodzi o cały nowy dział wiedzy. Możliwe, że mieszkańcy krystalicznej planety zostawili go na Ziemi sądząc, że

nikomu nie przyjdzie do głowy szukać go tutaj. Swojego rodzaju ukryty zapis.

— Nawet jeśli to prawda, to co z tego — zauważył Oop. Muzeum jest już zamknięte, a nie przypuszczacie chyba, że Harlow Sharp otworzy je specjalnie dla nas.

— Chyba mogłabym wprowadzić was do środka — podsunęła Carol. — Zatelefonowałabym do strażnika i powiedziała, że muszę dostać się do środka, gdyż mam pilną pracę, albo że zostawiłam coś, co muszę natychmiast zabrać. Mam upoważnienie do pracy na terenie muzeum.

— A jeśli stracisz pracę? — zapytał Oop. Wzruszyła ramionami.

— Znajdę inną. Ale gdyby nam się udało...

— Nie licz na to specjalnie — powiedział Maxwell. Nasze szanse nie są większe niż jeden do miliona, a może jeszcze mniejsze. Nie zaprzeczam, że mam ochotę spróbować,

— Co zrobisz, jeżeli okaże się, że to rzeczywiście coś niezwykle ważnego? — zapytała Carol. — Moglibyśmy ściągnąć tam Sharpa, wytłumaczyć mu wszystko i wtedy...

— Sam nie wiem — stwierdził Maxwell. — Nie przypuszczam, żebyśmy odkryli coś na tyle ważnego, co skłoniłoby Harfowa do wycofania się z transakcji.

— Myślę, że nie ma co tracić czasu na siedzenie w chałupie i próżne rozmowy — rzekł Oop. — Zaczniemy wreszcie działać.

Maxwell spojrzał na Carol.

— Ja też tak uważam, Pete — powiedziała. — Myślę, że warto zaryzykować.

Oop sięgnął po stojący przed dziewczyną słój z samogonem i pieczołowicie zakręcił wieko.



Otoczyła ich przeszłość — pozamykana w szafkach i gablotach, poustawiana na postumentach, przeszłość zagubiona, zapomniana, albo wręcz nieznana, wyrwana ze swojego czasu przez docierające do każdej epoki ekspedycje polowe, zbierające próbki ze wszystkich zakamarków historii ludzkości. Znajdowały się tu dzieła sztuki i folkloru, z których istnienia ludzie nie zdawali sobie sprawy aż do czasu, kiedy cofnęli się w czasie i odnaleźli je; nieskazitelnie nowe wyroby z ceramiki, które wcześniej znano jedynie w postaci porzrzuconych skorup, albo też nie znano w ogóle; naczynia pochodzące ze starożytnego Egiptu, zawierające ciągle świeże balsamy i maści; pradawna broń żelazna porwana z kuźni starych mistrzów; zwoje pergaminów z biblioteki Aleksandryjskiej, które nie zdążyły ulec spaleni, ponieważ uczestnicy ekspedycji w ostatniej chwili uratowali je przed zagładą; słynne arrasy z Ely, które dla mieszkańców odległej epoki zaginęły w dziwnych okolicznościach — bezcenny zbiór przedmiotów, niekiedy wręcz skarbów, wydobytych z otchłani czasu.

Maxwell stwierdził w duchu, że miejsce to zostało nazwane niewłaściwie, nie powinno nosić miana Muzeum Czasu, ale raczej Muzeum Ponadczasowego — miejsca, w którym stykały się wszystkie epoki, gdzie czas przestawał się liczyć, pomieszczeń,

w których można było wyeksponować obiekty wszelkich dokonań i marzeń rodzaju ludzkiego, przedmioty nie tknięte zębem czasu, lecz nowe i błyszczące, jakby wytworzone dopiero wczoraj. Nikt nie musiał już odgadywać przeszłości na podstawie starych zapisków i rozproszonych dowodów, mógł dotykać przedmiotów, posługiwać się narzędziami i przyrządami, używanymi przez wszystkie wieki rozwoju ludzkości.

Stojąc przed postumentem, na którym umieszczony był Artefakt, Maxwell wsłuchiwał się w odgłos rytmicznych kroków strażnika, to oddalający się, to znów przybliżający, w miarę wykonywania rutynowego obchodu.

Carol udało się w końcu wprowadzić ich do budynku, chociaż w pewnym momencie zwątpili już w powodzenie jej starań. Ale wszystko przebiegało zgodnie z planem. Zatelefonowała do strażnika i przekonała go, by pozwolił jej wraz z kilkoma przyjaciółmi po raz ostatni popatrzeć na Artefakt, zanim ten zostanie wywieziony. Strażnik wpuścił ich przez małe drzwiczki umieszczone w wielkiej bramie, otwieranej tylko wówczas, kiedy muzeum udostępnione było dla zwiedzających.

— Nie siedźcie za długo — mruknął. — Nie jestem pewien, czy powinienem was w ogóle wpuszczać.

— Nikt się o tym nie dowie — uspokoiła go Carol. — Nie ma żadnego powodu do niepokoju.

Odszedł, powłócząc nogami i mamrocząc coś pod nosem.

Zestaw lamp umieszczonych pod sufitem zalewał rzęsimym światłem czarną bryłę Artefaktu.

Maxwell zanurkował pod aksamitną liną, ograniczającą dostęp do postumentu, wdrapał się na podwyższenie i przykucnął obok Artefaktu, grzebiąc w kieszeni w poszukiwaniu urządzenia do odczytu.

Co mnie podkusiło? pomyślał. Jakieś zwariowane przeczucie, pomysł zrodzony w przyływie desperacji. Po prostu tracił czas, wystawiał się na pośmiewisko. Nawet gdyby ta szalona eskapada pozwoliła im odkryć coś ważnego, nie mogli już nic zrobić. Było zdecydowanie za późno. Jutro Kołowiec miał wejść w posiadanie Artefaktu, a tym samym wiedzy zgromadzonej na krystalicznej planecie. Ludzkość bezpowrotnie traciła szansę zdobycia informacji gromadzonych z takim pietyzmem i ofiarnością przez pięćdziesiąt miliardów lat z obszaru dwóch wszechświatów — wiedzy, która powinna stać się własnością Ziemskiego Uniwersytetu, której zdobycie leżało w zasięgu możliwości uniwersytetu, a która teraz miała zostać stracona na zawsze na rzecz enigmatycznej wspólnoty kulturowej, mogącej w efekcie okazać się potencjalnym wrogiem, jakiego spotkania w przestrzeni kosmicznej Ziemia obawiała się od dawna.

Zdawał sobie sprawę, że podjęte przez niego działania już na starcie były spóźnione. Gdyby miał odrobinę więcej czasu i udało mu się nie dopuścić do sfinalizowania transakcji, mógłby znaleźć ludzi, którzy wysłuchaliby go i udzielili mu swego poparcia. Ale wszystko sprzysięgło się przeciw niemu, a teraz było już za późno.

Wsunął interpreter na głowę i zaczął go układać. Dziwnym sposobem urządzenie nie chciało ustawić się we właściwej pozycji.

— Pozwól, że ci pomogę — zaproponowała Carol.

Poczuł jej palce zręcznie manipulujące przy elastycznych paskach, rozplątujące je i układające na odpowiednich miejscach.

Spojrzał w dół. Sylwester siedział na podłodze obok postumentu i dziwnie obwąchiwał Oopa.

Neandertalczyk pochwycił spojrzenie Maxwella. — Ten kocur mnie nie lubi — powiedział. — Wyczuwa, że jestem jego naturalnym wrogiem. Któregoś dnia jego nerwy nie wytrzymają i rzuci się na mnie.

— Nie bądź śmieszny — parsknęła Carol. — To tylko mały, oswojony kotek.

— Ale nie z mojego punktu widzenia — stwierdził Oop. Maxwell uniósł dłoń i zsunął obiektywy interpretera na oczy.

Popatrzył na Artefakt.

W jego wnętrzu, w tej martwej czarnej bryle coś się znajdowało. Jakieś linie, jakieś kształty — coś dziwnego. W jego oczach nie był to już blok nieprzeniknionej czerni, odbijającej wszelkiego rodzaju promieniowanie, nie pochłaniającej i nie emitującej żadnych fal, przedmiot niezależny, w żaden sposób nie związany z otaczającym go wszechświatem.

Pochylił głowę, usiłując znaleźć odpowiedni kąt, pod którym mógłby rozpoznać charakter obserwowanych linii. Był pewien, że nie są to wiersze zapisu, ale coś zupełnie innego. Sięgnął do interpretera i pokręcił gałką zwiększającą energię, a następnie spróbował zmienić nieco ustawienie sensorów.

— No i co? — zapytała Carol.

— To nie...

Nagle uświadomił sobie, że dostrzega w jednym z narożników bloku olbrzymi pazur, pokryty dziwnie opalizującą skórą czy też łuską, z którego wystawał mieniący się szpon, wyglądający tak, jakby był pokryty drobnymi diamentami. Ów pazur poruszał się, jak gdyby pragnął wyswobodzić się i dosięgnąć intruza.

Odskoczył do tyłu, pragnąc znaleźć się poza jego zasięgiem, i stracił równowagę. Poleciał do tyłu, usiłując obrócić się

w powietrzu, żeby nie upaść plecami na podłogę. Zahaczył ramieniem o aksamitną linę, a podtrzymujące ją paliki zwały się z łoskotem. Dostrzegł pędzącą wprost na niego posadzkę. Zdążył uchwycić się liny i przekreślić. Wylądował twardo, rozbijając sobie ramię o podłogę, ale dzięki temu osłonił przed uderzeniem głowę. Błyskawicznie przesunął dłonią po czole, ściągając interpreter na bok głowy i odsłaniając oczy.

Spostrzegł, że znajdujący się ponad nim Artefakt ulega przemianie. Coś wydobywało się z jego wnętrza, wysuwało w górę, rozciągając podłużną bryłę martwej czerni. To była żywa istota, emanująca siłami witalnymi i olśniewająca swym pięknem.

Pojawiła się filigranowa, kształtna głowa z wydłużonym pyskiem, od nasady której zbiegał wzdłuż grzbietu szereg ostrych, trójkątnych płyt grzebienia. Po chwili wychynęła walcowata klatka piersiowa i ramiona zaopatrzone w parę na wpół złożonych skrzydeł, a następnie kształtne przednie kończyny uzbrojone w diamentowe szpony. Skóra stworzenia mieniła się oślepiająco w jaskrawym świetle reflektorów padającym na Artefakt, a raczej na to, co jeszcze niedawno było Artefaktem. Każda łuska okrywająca skórę, na którą padło silne białe światło, pozyskiwała wszystkimi odcieniami brązów i złota, żółci i błękitu.

Smok! pomyślał Maxwell. Smok odradzający się z nieprzeniknionej czerni Artefaktu! Smok powracający do życia po wielowiekowym uwięzieniu w bryle ciemności.

Smok! Po tylu latach poszukiwań, po latach ciągłych rozczarowań, wreszcie odnalazł smoka! W dodatku zupełnie innego, niż go sobie wyobrażał. Zamiast zwykłego stworzenia o ciele pokrytym łuską miał przed sobą żywy, wspaniały symbol

— symbol wielkości krystalicznej planety, a może nawet całego wszechświata, który umarł po to, by odrodził się inny, nowy wszechświat. Legendarne, prehistoryczne stworzenie, współczesne owym dziwacznym plemionom istot, których żalosne, zdegenerowane resztki stanowiły trolle, gobliny, wróżki i banshee. Stworzenie, którego imię przekazywano z ust do ust przez liczone w tysiącach pokolenia, lecz aż do tego momentu nie znane nikomu z ludzi.

Oop stał jak wmurowany obok jednego z przewróconych drążków podtrzymujących aksamitną linę, a jego nogi stały się jeszcze bardziej pałakowate niż zazwyczaj, jakby chciał przykucnąć, lecz zamarł z muskularnymi rękoma bezsilnie zwieszonymi wzdłuż ciała, z palcami zagiętymi na kształt szponów i przerażonym wzrokiem utkwionym w dokonującym się na postumencie cudzie przemiany. Tuż przed nim Sylwester rozpląszczył się na podłodze, prężąc do skoku, pod futrem na jego łapach poruszały się gruzły mięśni, a w rozwartym pysku złowrogo połyskiwały kły.

Maxwell poczuł rękę na swoim ramieniu i odwrócił się.

— Czy to smok? — zapytała Carol.

Słowa zabrzmiały dziwnie, jakby bała się wypowiedzieć je na głos i z niemałym trudem wydobyła pytanie z gardła. Nie patrzyła na niego. Nie odrywała oczu od wyłaniającego się smoka, który teraz zdawał się odzyskiwać swój pierwotny wygląd.

Stworzenie wyprężyło długi, wijący się sinusoidalnie ogon i machnęło nim. Oop w panice rzucił się twarzą na posadzkę, unikając uderzenia.

Sylwester zawarczał gniewnie i podczołgał się do przodu kilkanaście centymetrów.

— Sylwester, spokój! — Maxwell okrzykiem próbował powstrzymać kota.

Oop podniósł się na czworaka, podpełznął do przodu i schwycił Sylwestra za jedną z tylnych łap.

— Przemów do niego — zwrócił się Maxwell do Carol. Jeśli ten głupi kocur rzuci się na niego, nawet sam diabeł nam nie pomoże.

— Masz na myśli Oopa? Nie wierzę, żeby mógł rzucić się na Oopa.

— Nie na Oopa — jęknął Maxwell — ale na smoka. Jeśli on rzuci się na smoka...

Za ich plecami rozbrzmiewały w panującym tam półmroku okrzyki wściekłości i tupot biegnących stóp.

— Co tu się dzieje? — wrzasnął strażnik wpadając nagle w krąg światła.

Smok obrócił się na postumencie i pełnym gracji ruchem spłynął na podłogę, kierując się w stronę nadbiegającego strażnika.

— Uważaj! — krzyknął Oop, wciąż kurczowo zaciskający palce na łapie Sylwestra.

Smok obejrzał się do tyłu i z wyraźnym zaciekawieniem w małych oczkach, z pochyloną na bok głową popatrzył na ludzi. Radośnie machnął ogonem, który jak tajfun przewalił się przez blat stołu, zmiatając z pół tuzina czar i wazonów. Ceramika z głuchym trzaskiem roztrzaskała się na podłodze, a błyszczące skorupy poleciały na wszystkie strony.

— Hej! Natychmiast przestańcie! — wrzasnął strażnik i stanął nagle, jakby dopiero teraz zauważył smoka.

Jego krzyk przemienił się w przeraźliwy skowyt, człowiek obrócił się na pięcie i rzucił do ucieczki. Smok puścił się za nim

majestatycznym kłusem, nie spiesząc się ani trochę, najwyraźniej gnany zwykłą ciekawością. Jego drogę znaczyła seria głuchych trzasków i brzęku tłuczonego szkła.

— Jeżeli nie zabierzemy go stąd natychmiast, nie ocaleje ani jeden eksponat — odezwał się Maxwell. — Porusza się z taką gracją, że nie później jak za piętnaście minut nie pozostanie tu ani jeden cały przedmiot. Obróci to wszystko w perzynę. A ty, Oop, trzymaj, na miłość boską, tego cholernego kota. W przeciwnym razie rozpęta się tu istne piekło.

Maxwell podniósł się z podłogi, ściągnął z głowy interpreter i wsunął go do kieszeni.

— Mogłabym pootwierać drzwi — zaofiarowała się Carol. — Spróbujemy go stąd wypłoszyć. Najgorzej będzie z bramą, ale chyba wiem już, jak to zrobić.

— Co sądzisz, Oop, o tej propozycji przepłoszenia smoka? — spytał Maxwell.

Smok, który w tym czasie dotarł do ostatniej z całego ciągu sal muzealnych, zawrócił i znowu zmierzał w ich kierunku. — Oop, pomóż mi z tymi drzwiami — zawołała Carol. Potrzebuję silnego mężczyzny.

— A co z kotem?

— Zostaw go mnie — rzucił szybko Maxwell. — Może będzie zachowywał się spokojnie i dam sobie radę.

Nieustający brzęk tłuczonych eksponatów zwiastował zbliżanie się smoka. Maxwell tylko jęknął słysząc ów dźwięk. Sharp, nie bacząc na dawną przyjaźń, gotów go z wściekłości oskalpować. Całe muzeum zmienione w pobojowisko, a Artefakt przeistoczony w galopujące tony mięsa.

Uczynił kilka niepewnych kroków w kierunku, skąd dochodziły odgłosy zniszczeń. Sylwester skradał się tuż przy jego

nodze. W półmroku Maxwell ledwie dostrzegł niewyraźną sylwetkę buszującego smoka.

— Dobry smoczek — mruknął. — Uspokój się, malutki. Zabrzmiało to co najmniej głupio i nie na miejscu. Jakimi słowami, do cholery, można się było zwrócić do smoka?

Sylwester raz jeszcze warknął groźnie.

— Ty się trzymaj od tego z daleka! — krzyknął na niego Maxwell. — Jeszcze tylko twojego udziału brakuje nam do szczęścia!

Przemknęło mu przez myśl, że przerażony strażnik z pewnością dzwoni teraz na policję i podnosi piekielny alarm. Usłyszał za sobą skrzypienie otwieranych drzwi. Gdyby tylko smok raczył zaczekać na ich otwarcie, można by go wreszcie wygonić na zewnątrz. Maxwell zadał sobie nagle pytanie: co będzie, kiedy stworzenie w końcu znajdzie się na wolności? Przeszył go dreszcz na samą myśl o tym. Ujrzał w duchu olbrzymią bestię galopującą uliczkami i alejkami miasta. Może, mimo wszystko, byłoby lepiej zatrzymać go w zamkniętym pomieszczeniu?

Stał przez chwilę niezdecydowany, rozważając ujemne skutki zatrzymania smoka w zamknięciu i wypuszczenia go na wolność. Muzeum i tak było już mniej lub bardziej zniszczone, a nawet kompletne jego zrujnowanie wydało mu się mniejszym złem, niż wypuszczenie tej kreatury na wolność w obrębie miasta.

Wciąż jeszcze rozbrzmiewało skrzypienie otwieranych powoli drzwi. Smok, który dotychczas truchtał dość spokojnie, teraz puścił się szaleńczym galopem w kierunku wyjścia.

Maxwell odwrócił się gwałtownie. — Zamknijcie te drzwi! — krzyknął, po czym błyskawicznie uskoczył pod ścianę, schodząc z drogi szarżującego wprost na niego smoka.

Drzwi, częściowo już otwarte, nie zostały zamknięte, bowiem Oop i Carol pierzchli na boki, zmuszeni ustąpić miejsca galopującej ciężkimi susami w ich stronę górze mięsa.

Głośny ryk Sylwestra odbił się dudniącym, zwielokrotnionym echem w przestronnych salach muzeum i kocur rzucił się w pogoń za umykającym stworzeniem.

— Sylwester! Stój! — krzyknęła stojąca pod ścianą Carol. — Nie! Sylwester!

Wygięty w sinusoidę ogon smoka huśtał się nerwowo w trakcie biegu z boku na bok. Szkło w gablotach i szafach sypało się z trzaskiem, posągi padały na posadzkę — pas zniszczeń znaczył drogę smoka ku wolności.

Z dzikim charkotem Maxwell ruszył śladem Sylwestra i smoka, chociaż sam nie wiedział, co popchnęło go do tej pogoni. Zdawał sobie tylko sprawę, że nie było to pragnienie schwytania smoka.

Smok dotarł do otwartych drzwi, minął je długim susem, skoczył wysoko w powietrze, rozkładając jednocześnie skrzydła i zaczął nimi poruszać z ogłuszającym łopotem.

Maxwell również dobiegł do drzwi i zatrzymał się. Sylwester wyhamował efektownym ślizgiem, stanął na schodach przed głównym wejściem do muzeum, podniósł łeb w górę i posłał za wzbijającym się w niebo smokiem gniewny ryk.

Widok zaparł Maxwellowi dech w piersi. Blask księżyca padał na bijące powietrze skrzydła, i odbijał się czerwonymi, złotymi i błękitnymi refleksami od pokrytego łuskami grzbietu. Odnosiło się wrażenie, że w niebo powoli unosi się drgająca tęcza.

Oop i Carol wyskoczyli zza drzwi, stanęli obok Maxwella i zapatrzili się w niebo.

— Wspaniały — szepnęła Carol.

— Owszem, wspaniały — przyznał Maxwell.

Dopiero w tej chwili w pełni uświadomił sobie, co się wydarzyło. Nie było już Artefaktu, a więc umowa z Kołowcem siłą rzeczy została zerwana. Podobnie przedstawiała się sprawa transakcji, którą miał prowadzić w imieniu krystalicznej planety. Ciąg zdarzeń, zapoczątkowany skopiowaniem jego wzorca falowego w czasie podróży do Systemu Jenociej Skóry, zbliżał się do końca. Jedynie owa migocząca na niebie tęcza przypominała jeszcze, że wszystkie wydarzenia nie były tylko urojeniem.

Smok wznosił się coraz wyżej, zataczając olbrzymie koło. Jego samego nie było już widać, pozostała tylko ~ drgająca plamka o wszystkich kolorach tęczy.

— To zamyka sprawę — stwierdził Oop. — I co teraz zrobimy?

— To moja wina — powiedziała Carol.

— Nie było w tym niczyjej winy — uspokoił ją Oop. — Po prostu wydarzenia ułożyły się w ten sposób.

— W każdym razie unieważniliśmy transakcję Harlowa zauważył Maxwell.

— To się jeszcze okaże — rozległ się za ich plecami czyjś głos. — Czy ktoś byłby łaskaw wyjaśnić mi, co tu się dzieje? Odwrócili się jak na komendę.

W drzwiach stał Harlow Sharp. Ktoś włączył wszystkie światła w muzeum i jego sylwetka odcinała się ciemną plamą na tle jasnej smugi padającej przez otwarte drzwi.

— Muzeum jest zrujnowane, a Artefakt zniknął — powiedział.

— Mogłem się domyślić, że spotkam tu was oboje, jestem zaskoczony jedynie obecnością panny Hampton. Sądziłem, że ma pani zdecydowanie lepszy gust w dobieraniu sobie towarzystwa. Chociaż ten pani szalony kot...

— Proszę nie mieszać z tą sprawą Sylwestra — oburzyła się. — On nie miał z tym nic wspólnego.

— A co ty powiesz, Pete? — zapytał Sharp. Maxwell pokręcił głową.

— Cóż, będzie dość trudno wszystko wyjaśnić...

— Mogłem się tego spodziewać — stwierdził Sharp. — Czy kiedy rozmawiałeś ze mną dzisiaj wieczorem, miałeś gotowy już plan tej akcji, czy jeszcze nie?

— Skądże — odparł Maxwell. — Można powiedzieć, że to był wypadek.

— Raczej kosztowny wypadek — zauważył Sharp. — Może was zainteresuje, że cofnęliście prace Czasu o stulecie, a może i więcej. Rozumiem, że udało wam się jakimś sposobem przenieść Artefakt i gdzieś go ukryć. W takim razie, moi drodzy, daję wam równo pięć sekund na przetransportowanie go z powrotem.

Maxwell zakrztusił się.

— Nigdzie go nie przenosiliśmy, Harlow. Jeśli mam być szczerzy, ledwie go dotknąłem. Sam nie wiem, jak to się stało, że przeobraził się w smoka.

— W co się przeobraził?

— W smoka. Mówię ci, Harlow...

— Ach, tak, przypominam sobie — stwierdził Sharp. Zawsze miałeś obsesję na punkcie smoka. Specjalnie udałeś się do Systemu Jenociej Skóry, żeby znaleźć tego swojego smoka. Wygląda na to, że go w końcu znalazłeś. Mam nadzieję, że to dobry smoczek.

— Wspaniały — wtrąciła Carol. — Pokryty złotą łuską i błyszczący.

— Ach, wspaniały — powtórzył Sharp. — Czyż to nie jest cudowne? Pewnie możemy jeszcze zbić fortunę, obwożąc go po całym świecie. Założymy własny cyrk, którego główną atrakcją

będzie prawdziwy smok. Już widzę te afisze głoszące wielkimi literami: “JEDYNY ŻYWY SMOK!”

— Ale on uciekł — szepnęła Carol. — Wzbił się i odleciał.

— Oop — jęknął Sharp. — Może ty mi wreszcie coś powiesz. Co tu się właściwie dzieje? Zwykle buzia ci się nie zamyka. Wyjaśnisz mi, co tu się dzieje?

— Zostałem upokorzony — bąknął Oop.

Sharp odwrócił się i z powrotem popatrzył na Maxwella.

— Chyba uświadamiasz sobie wagę tego, co zrobiliście, Pete — powiedział. — Strażnik zadzwonił najpierw do mnie, a potem chciał wezwać policję, ale stwierdziłem, żeby się wstrzymał, że już schodzę na dół. Nie miałem pojęcia, iż zniszczenia okażą się aż tak wielkie. Artefakt zniknął, więc nie będę go mógł teraz wydać, a to oznacza, że nie mam innego wyjścia, jak zwrócić wpłacone już za niego pieniądze. Poza tym wiele eksponatów zostało potrzaskanych w drobiazgi...

— Spustoszeń dokonał smok, zanim udało nam się go wypuścić — wyjaśnił Maxwell.

— Więc udało się wam go wypuścić? Nie umknął sam, ale został wypuszczony przez was?

— Niszczył wszystkie eksponaty. Sądzę, że jednak postąpiliśmy zbyt pochopnie.

— Powiedz mi szczerze, Pete. Czy to naprawdę był smok?

— Tak, naprawdę. Był unieruchomiony wewnątrz Artefaktu albo wręcz zamieniony w Artefakt. Nie pytaj mnie, jakim sposobem. Przypuszczam, że za pomocą czarów.

— Czarów?

— Czary rzeczywiście działają, Harlow. Nie wiem jak. Poświęciłem wiele lat na badanie czarów, ale nadal wiem niewiele więcej, niż wtedy gdy zaczynałem.

— Odnoszę wrażenie, że jeszcze kogoś brakuje mi w waszym towarzystwie — zauważył Sharp. — Kiedy rozpętuje się jakieś piekło, zwykle później znajduje się ktoś, kto maczał w tym palce. Czy możesz mi powiedzieć, Oop, gdzie znajduje się twój serdeczny przyjaciel, ów znamienity Duch?

Oop pokręcił głową.

— Nie sposób za nim nadążyć. Zawsze się gdzieś wymknie.

— To jeszcze nie wszyscy — kontynuował Sharp. — Myślę, że w tym gronie moglibyśmy poruszyć jeszcze jedną sprawę. Okazuje się, że nie sposób odnaleźć Shakespeare'a. Ciekaw jestem, czy ktoś z was nie mógłby rzucić trochę światła na jego zniknięcie?

— Był z nami przez jakiś czas — odparł Oop. — Siadaliśmy właśnie do kolacji, kiedy przeraził się śmiertelnie i dał stamtąd drapaka. Zdarzyło się to w chwilę potem, jak Duch przypomniał sobie niespodzianie, że jest Duchem Shakespeare'a. Jak wiesz, przez długie lata zastanawiał się nad tym, czym jest duchem.

Powoli, jakby etapami, Sharp osunął się w dół i usiadł na najwyższym stopniu schodów. Omiótł spojrzeniem twarze wpatrujących się w niego ludzi.

— O niczym — jęknął. — Nie zapomnieliście absolutnie o niczym w swoim planie zniszczenia Harlowa Sharpa. Odwaliliście kawał dobrej roboty.

— Wcale nie mieliśmy zamiaru cię zniszczyć — odparł Oop. — Nie mamy nic przeciwko twojej osobie. Od pewnego momentu wszystko zaczęło układać się źle. Po prostu wydarzenia przybrały taki obrót.

— Po prawdzie powinienem teraz wyegzekwować od każdego z was wszystko, do ostatniego centa — zauważył Sharp. — Powinienem podać was do sądu i nie łudźcie się, że tego nie

zrobię. Będę wnioskował, byście pokryli straty własną pracą na rzecz Czasu aż do końca życia. Zdajecie sobie chyba sprawę, że nawet wszyscy troje nie jesteście w stanie, do końca waszych dni, odpracować choćby ułamka tego, co z waszej winy Czas stracił dzisiejszej nocy. Zatem nie ma sensu zaskarżać was. Przypuszczam jednak, że policja będzie musiała wkroczyć w tę sprawę. Prawdę mówiąc, nie widzę sposobu na ominięcie interwencji policji. Obawiam się, że wszyscy troje będziecie musieli odpowiedzieć na wiele pytań.

— Gdyby tylko ktokolwiek zechciał mnie wysłuchać odezwał się Maxwell — mógłbym wszystko wytłumaczyć. Przez cały czas od mojego powrotu na Ziemię próbowałem naświetlić sprawę, usiłowałem znaleźć kogoś, kto chciałby mnie wysłuchać. Dziś po południu chciałem nakłonić ciebie...

— A więc spróbuj jeszcze raz, właśnie teraz, wyjaśnić mi wszystko — przerwał mu Sharp. — Tym razem postaram się wykazać pewne zainteresowanie. Przejdźmy na drugą stronę ulicy, do mojego biura, gdzie możemy usiąść i spokojnie porozmawiać. A może to ci również nie odpowiada? Prawdopodobnie jest jeszcze kilka rzeczy, które mógłbyś zrobić, by dokończyć dzieła doprowadzenia Czasu do bankructwa.

— Nie. Przypuszczam, że nie ma już takich możliwości stwierdził Oop. — Powiedziałem już na samym początku, że zrobiliśmy chyba wszystko, co było w naszej mocy.



Inspektor Drayton podniósł się ociężale z fotela, w którym tkwił zatopiony w sekretariacie gabinetu Sharpa.

— Cieszę się, że pan wreszcie się pojawił, doktorze Sharp powiedział. — Wydarzyło się coś... — urwał nagle w pół słowa, spostrzegłszy Maxwella. — I pan tu jest? — zwrócił się do niego. — Bardzo mi przyjemnie znów pana zobaczyć. Zmusił nas pan do rozpoczęcia długotrwałego, uciążliwego dochodzenia.

Maxwell skrzywił się.

— Nie mogę powiedzieć, inspektorze, że podzielam pańskie zadowolenie — rzekł.

Przemknęło mu przez myśl, że jeśli istniał ktoś, kogo w tej chwili miał najmniejszą ochotę oglądać, to był nim właśnie inspektor Drayton.

— Kim pan jest? — spytał bez ceregieli Sharp. — Jakim prawem wtargnął pan do mojego gabinetu?

— Inspektor Drayton ze Służby Bezpieczeństwa. Miałem krótką rozmowę z profesorem Maxwellem tego dnia, kiedy wrócił on na Ziemię, ale obawiam się, że będę musiał zadać mu jeszcze parę pytań...

— W takim razie proszę poczekać na swoją kolej’— stwierdził Sharp. — Muszę porozmawiać z doktorem Maxwellem i sądzę, że należy mi się pierwszeństwo przed panem..

— Proszę mnie źle nie zrozumieć. Nie mam zamiaru aresztować pańskiego przyjaciela — wyjaśnił Drayton. — Jego obecność w tym miejscu jest dla mnie po prostu szczęśliwym zbiegiem okoliczności. Sprowadza mnie tu pewna sprawa, która wynikła raczej niespodziewanie, a w wyjaśnieniu której, jak sądzę, może pan nam pomóc. Otóż słyszałem, że profesor Maxwell był gościem na ostatnim przyjęciu panny Clayton. Poszedłem się z nią zobaczyć...

— Mów do rzeczy, człowieku! — przerwał mu Sharp. — Czyżby Nancy Clayton także miała coś wspólnego z tą aferą?

— Nie mam pojęcia, Harlow — odezwała się Nancy, która niespodziewanie ukazała się w drzwiach prowadzących do gabinetu Shapra. — Nigdy nie sądziłam, że zostanę wplątana w jakąkolwiek aferę. Zawsze starałam się jedynie nieco zabawić wraz z moimi przyjaciółmi i nie sądziłam, że może wyniknąć z tego coś złego.

— Nancy... — mruknął Sharp. — Może ty mi wyjaśnisz, o co tu chodzi? Co ty tu robisz? Co tutaj robi inspektor Drayton i...?

— To Lambert — wyjaśniła krótko.

— Masz na myśli tego malarza, którego obraz jest w twoim posiadaniu?

— Mam trzy jego obrazy — oświadczyła z dumą Nancy.

— Ale przecież Lambert umarł ponad pięćset lat temu.

— Ja też tak sądziłam — powiedziała Nancy. — Lecz on wrócił dziś wieczorem. Powiedział, że się zgubił.

Z gabinetu, delikatnie odsuwając Nancy na bok, wyszedł wysoki, mocno zbudowany mężczyzna o żółtych włosach i głęboko pociętej bruzdami twarzy.

— Wygląda na to, panowie — rzekł — iż rozmowa dotyczy mnie. Czy będziecie mieli coś przeciwko temu, że przemówię we

własnym imieniu?

Wypowiadał słowa z jakimś dziwnym akcentem, jakby mówił przez nos. Stał, omiatając ich spojrzeniem promieniujących radością oczu, a z całej jego postawy emanowała tak głęboka dobroduszość, że nie sposób było żywić do tego człowieka choćby najdrobniejszą niechęć.

— Czy pan jest Albertem Lambertem? — spytał Maxwell.

— Tak, w rzeczy samej — odparł Lambert. — Żywię nadzieję, że nie przeszkadzam. Mam pewien problem.

— Czy uważa pan, że my ich nie mamy? — wtrącił Sharp.

— Nie, nie sędzę — rzekł zdziwiony Lambert. — Przypuszczam, że wiele spośród obecnych tu osób boryka się z jakimiś problemami. Zawsze, gdy pojawia się jakiś problem, należy zadać sobie podstawowe pytanie: do kogo się zwrócić z prośbą o pomoc.

— Drogi panie — oznajmił Sharp. — Jestem w analogicznej sytuacji i, podobnie jak pan, szukam odpowiedzi na to pytanie.

— Czy nie uważasz, że Lambert ma rację? — powiedział Maxwell do Sharpa. — Przyszedł właśnie tu, do jedynej instytucji, w której jego problem może być rozwiązany.

— Na waszym miejscu, drodzy przyjaciele, nie byłbym taki pewny — odezwał się Drayton. — Zachowywaliście się ostatnio dość niefrasobliwie i najwyższa pora, bym wziął sprawy w swoje ręce. Jest mnóstwo rzeczy...

— Inspektorze, czy nie zechciałby pan trzymać się od tej sprawy z daleka? — przerwał mu Sharp. — Wystarczająco dużo zważyło się na mnie, bym nie miał już ochoty na pana interwencję. Artefakt zginął, muzeum jest doszczętnie zrujnowane, a Shakespeare gdzieś przepadł.

— A ja chciałbym jedynie znaleźć się z powrotem w domu —

wtrącił Lambert. — Z powrotem w roku dwutysięcznym dwudziestym trzecim.

— Zaraz, chwileczkę — zakomenderował Sharp. — Musi pan poczekać spokojnie na swoją kolej. .Ta jeszcze...

— Harlow — przerwał mu Maxwell. — Przecież tłumaczyłem ci wszystko nie dalej jak dziś po południu. Pytałem cię o Simonsona. Przypominasz sobie?

— Simonsona? Tak, pamiętam — Sharp przeniósł wzrok na Lamberta. — Czy to pan jest autorem obrazu, na którym został przedstawiony Artefakt?

— Artefakt?

— Wielki czarny blok skalny usytuowany na szczycie wzgórza. Lambert pokręcił głową.

— Nie namalowałem go, chociaż przypuszczam, że to uczynię. Wygląda na to, że będę musiał go namalować. Panna Clayton pokazała mi obraz i jest to bez wątpienia płótno, które mogłoby wyjść spod mojej ręki. Muszę przyznać, że to wcale nie jest zły obraz.

— To znaczy, że pan naprawdę widział Artefakt w epoce jurajskiej?

— Jurajskiej?

— Dwieście milionów lat temu. Lambert wyglądał na zdziwionego.

— Zatem znalazłem się aż tak daleko w przeszłości? Faktycznie, musiała to być odległa przeszłość, skoro istniały tam dinozaury.

— Pan powinien wiedzieć, gdzie się znalazł. Przecież to pan podróżował w czasie.

— Kłopot w tym, że agregaty czasowe doszczętnie zwariowały — odparł Lambert. — Zdaje się, że nigdy nie udawało mi się

wylądować dokładnie w tych czasach, w których chciałem się znaleźć.

Sharp uniósł w górę obie dłonie i objął nimi głowę. Po chwili opuścił je i zaproponował:

— Spróbujmy to uporządkować. Nie wszystko naraz. Może zajmijmy się jedną sprawą, a dopiero potem przejdźmy do następnej.

— Wyjaśniałem już, że w tej chwili pragnę tylko jednego powiedział spokojnie Lambert. — To chyba dość proste, chciałbym jedynie wrócić do domu.

— Gdzie jest pańska maszyna czasu? — spytał Sharp. Gdzie pan z niej wyszedł? Może dałoby się ją naprawić.

— Nigdzie z niej nie wychodziłem, jest to po prostu fizyczną niemożliwością. Zawsze mam ją ze sobą, ponieważ znajduje się wewnątrz mojej głowy.

— W pańskiej głowie?! — krzyknął Sharp. — Cały duży agregat wewnątrz głowy?! Ależ to niemożliwe!

Maxwell uśmiechnął się do Sharpa.

— Kiedy dzisiaj po południu rozmawialiśmy o tym, stwierdziłeś, że Simonson ujawnił niewiele szczegółów dotyczących swojej maszyny czasu. Teraz okazuje się...

— Faktycznie, powiedziałem ci o tym — przyznał Sharp. Ale kto przy zdrowych zmysłach mógłby przypuszczać, że agregat czasowy zostanie zainstalowany w mózgu podróżnika. On musiał oprzeć konstrukcję na zupełnie innych zasadach, których my w ogóle nie braliśmy pod uwagę. Czy pan się orientuje, w jaki sposób to działa? — zwrócił się do Lamberta.

— Nie mam pojęcia. Mogę powiedzieć tylko tyle, że kiedy agregat został umieszczony w mojej głowie, a jak się domyślam, była to dość poważna operacja chirurgiczna, uzyskałem zdolność

podróżowania w czasie. Muszę po prostu określić w myślach, przy wykorzystaniu stosunkowo prostego układu współrzędnych, dokąd chcę się udać i po chwili już tam jestem. Ale coś się musiało zepsuć. Bez względu na to, jak określałam w myślach punkt przeznaczenia, ląduję to tu, to tam, przeskakując z jednego czasu do drugiego, przy czym żaden z nich nie jest tym czasem, w którym chciałbym się znaleźć.

— Takie rozwiązanie ma nawet pewne zalety — mruknął Sharp w zamyśleniu, bardziej do siebie niż do kogoś z obecnych. — Pozwala na niezależne akcje, a zajmuje dużo mniej miejsca niż mechanizmy, których używamy. Czy na pewno nic więcej pan nie wie na ten temat?

— Już powiedziałem — stwierdził Lambert. — Nie znam żadnych szczegółów. Nie interesowałem się zasadą działania urządzenia. Tak się składa, że Simonson jest moim przyjacielem, mógł przeprowadzić na mnie operację i... nie przypuszczałem, że ja, Lambert...

— A jak znalazł się pan tutaj? Dlaczego wylądował pan wśród nas, w tym konkretnym miejscu i czasie?

— Tylko przez przypadek. Kiedy się tu znalazłem, od razu spostrzegłem, że jest to najbardziej cywilizowane spośród tych wszystkich miejsc, w których byłem uprzednio, zacząłem więc rozpytywać ludzi, żeby zorientować się, gdzie jestem. Rzecz jasna po raz pierwszy wylądowałem w tak dalekiej przyszłości. Już na samym początku dowiedziałem się, że podróżujecie w czasie i macie tu specjalny Instytut Czasu. Potem usłyszałem, że panna Clayton ma mój obraz. Pomyślałem, że skoro znajduje się u niej obraz mojego autorstwa, może będzie nastawiona przychylnie do mojej osoby, postanowiłem więc ją odnaleźć. Wszystko to w nadziei znalezienia sposobu skontaktowania się z ludźmi,

którzy byliby w stanie pomóc mi i odesłać z powrotem do domu. Właśnie wtedy, gdy przebywałem u panny Clayton, zjawił się inspektor Drayton.

— Zanim przejdziemy do innych spraw, czy mogłabym panu zadać jedno pytanie, panie Lambert? — zabrała głos Nancy. — Przebywał pan w odległej przeszłości, w epoce jurajskiej, jak, zdaje się, powiedział Harlow. Dlaczego, malując ten obraz...

— Proszę nie zapominać, że ja go jeszcze nie namalowałem — wyjaśnił Lambert. — Zrobiłem trochę szkiców i któregoś dnia, jak sądzę...

— A więc dobrze, powiedzmy, że kiedy wykonywał pan szkic, który ma panu posłużyć do namalowania tego obrazu, dlaczego nie umieścił pan na nim dinozaurów? Bo przecież na obrazie nie ma dinozaurów, a przed chwilą sam pan powiedział, że musiał znajdować się w odległej przeszłości, ponieważ były tam dinozaury.

— Nie umieściłem dinozaurów na obrazie z bardzo prostej przyczyny — odparł Lambert. — Po prostu nie widziałem ich tam.

— Ale powiedział pan...

— Musi pani zrozumieć — wyjaśniał Lambert cierpliwie że ja zawsze malowałem tylko to, co widziałem na własne oczy. Nigdy niczego nie wymyślałem, niczego nie dodawałem. A tam nie było dinozaurów, ponieważ te stworzenia, które uwieczniłem na obrazie, wybiły je wszystkie, co do nogi. Nie mogłem zatem ujrzeć dinozaura, podobnie jak i tych innych stworów.

— Jakich znów innych stworów? — zdziwił się Maxwell. O czym pan mówi? Cóż to były za stwory?

— Różne — odparł Lambert. — Choćby takie z kołami...

Przerwał i rozejrzał się po zastygłych w zdumieniu twarzach.

— Czy powiedziałem coś niewłaściwego? — spytał.

— Och nie, skądże — odparła Carol słodko. — Proszę mówić dalej, panie Lambert. Niech nam pan opowie o tych stworach z kołami.

— Pewnie mi nie uwierzycie — kontynuował Lambert. Nie potrafię wyjaśnić, jaką oni pełnili tam rolę. Może byli niewolnikami, a może siłą fizyczną, tragarzami czy robotnikami. Na pewno były to istoty żywe, stworzenia, które nie poruszały się na nogach, lecz na kołach. Poza tym każda z tych istot nie była jednym osobnikiem, ale stanowiła coś w rodzaju zbiorowiska insektów, owadów tworzących społeczności, jak u pszczół czy mrówek. Domyślam się, że nie wierzycie w ani jedno moje słowo, ale mogę przysiąc...

W korytarzu rozległ się narastający stopniowo szum, basowy, dudniący turkot obracających się szybko kół. W zapadłym nagle, pełnym zdumienia milczeniu, wszyscy wsłuchiwali się w przybierający na sile, coraz głośniejszy turkot. Przed drzwiami odgłos począł cichnąć, koła obracały się coraz wolniej, a po chwili w wejściu pojawił się Kołowiec.

— To właśnie jeden z nich — wrzasnął Lambert. — Co on tu robi?

— Miło pana znów widzieć, panie Marmaduke — zagadnął Maxwell.

— Nie jestem panem Marmaduke — odparł Kołowiec. Tak zwany pan Marmaduke nie pojawi się tu więcej. Jest w wielkiej niełasce. Popełnił niewybaczalny błąd.

Sylwester skoczył do przodu, lecz Oop w porę wyciągnął rękę i pochwycił go za luźny fałd skóry na karku. Kot stanął na tylnych nogach, próbując uwolnić się z mocnego uścisku.

— Został zawarty kontrakt, podpisany przez humanoida

posługującego się nazwiskiem Harlow Sharp — odezwał się Kołowiec. — Który z panów jest Harlowem Sharpem?

— To ja — odezwał się Sharp.

— W takim razie do pana zwracam się z pytaniem: co zamierza pan zrobić, aby wywiązać się z umowy?

— Nie jestem w stanie nic zrobić — odparł Sharp. — Artefakt zniknął i nie może być wam dostarczony. Oczywiście wpłacona przez was suma zostanie w całości zwrócona.

— To zdecydowanie za mało, panie Sharp — stwierdził Kołowiec. — To w najmniejszym stopniu nie pokryje naszych strat. Założymy postępowanie sądowe przeciwko panu, zgnoimy pana wszelkimi dostępnymi środkami. Wykorzystamy wszystkie możliwe sposoby, żeby doprowadzić do ruiny i pana, i...

— A więc tak, ty żalosna hulajnogo! — wrzasnął Sharp. Nie dla ciebie są nasze sądy! Prawa Galaktycznego nie stosuje się do takich jak ty kreatur. Jeśli myślisz, że możesz bezkarnie przyłazić do mnie z pogroźkami...

Nagle w drzwiach zmaterializował się Duch.

— Najwyższa pora! — krzyknął do niego Oop. — Gdzie byłeś przez całą noc? Co zrobiłeś z Shakespeare'em?

— Nasz bard jest bezpieczny — odparł Duch. — Ale przynoszę inne nowiny. — Rękaw jego tuniki uniósł się w górę, mierząc w Kołowca. — Cała gromada takich jak on buszuje po Rezerwacie Goblinów, próbując schwytać smoka.

Przez głowę przemknęła Maxwellowi irracjonalna myśl, że w całej sprawie od początku chodziło o smoka. Czy Kołowcy byli świadomi, że Artefakt nie jest niczym innych jak zaklętym smokiem? Mimo woli nasuwała się twierdząca odpowiedź. Wszystko wskazywało, że to właśnie oni, albo ich dalecy przodkowie wykonywali najcięższe prace w epoce jurajskiej.

Byli zatrudnieni na Ziemi w okresie jury. A na innych planetach, czy w innych epokach? Siła robocza, jak powiedział Lambert — niewolnicy, tragarze. Czy kiedykolwiek byli pełnoprawnymi członkami owej prastarej wspólnoty ras? A może jedynie zwierzętami domowymi, na drodze inżynierii genetycznej przystosowanymi biologicznie do wykonywania prac, jakie im wyznaczono?

Teraz ci dawni niewolnicy, utworzywszy własne imperium, wyciągali ręce po coś, co ich zdaniem stanowiło prawnie należne im dziedzictwo. Należne im, ponieważ nigdzie we wszechświecie, może z wyjątkiem znajdujących się na peryferiach, zamierających ognisk, nie istniał już żaden ślad owego gigantycznego projektu kolonizacji, realizowanego przez krystaliczną planetę.

Możliwe, iż rzeczywiście to dziedzictwo należało się im, pomyślał Maxwell. Wchodzili przecież w skład ekip zaangażowanych w realizację projektu. Czyżby umierający banshee, powodowany poczuciem jakiejś dawnej winy, chciał naprawić krzywdy i, krzyżując plany krystalicznej planety, pomóc byłym niewolnikom? A może sądził, że lepiej będzie, gdy ów spadek przypadnie nie komuś całkowicie obcemu, lecz rasie istot mających swój udział w realizacji projektu zakończonego fiaskiem, nawet jeśli ten udział był niewielki, mało znaczący.

— To znaczy — krzyknął Sharp do Kołowca — że w tej samej chwili, kiedy ty zasypujesz mnie pogrózkami, podlegający ci bandyci...

— Działają równocześnie na wszystkich frontach — skonstatował Oop.

— Smok poleciał do domu — zauważył Duch. — Do tego jedyne miejsce, jakie mógł jeszcze rozpoznać na całej planecie,

gdzie znajdują się siedziby niziołków, gdzie mógł znaleźć się znowu wśród znanych mu stworzeń. Zataczał koła w blasku księżycy nad doliną rzeki, kiedy nagle zaatakowali go w powietrzu Kołowcy, usiłując strącić go na ziemię, gdzie bez trudu mogliby go uwięzić. Smok podjął heroiczną walkę, ale...

— Kołowcy nie potrafią fruwać — zaprotestował Sharp. Powiedziałaś też, że była ich cała gromada, a w każdym razie z twoich słów wynikało, że było ich wielu. A to przecież niemożliwe, Marmaduke był jedynym...

— Możliwe, że nikt nie podejrzewał ich o zdolność latania, ale oni naprawdę unoszą się w powietrzu — odparł Duch. A co się tyczy ich ilości, to sam byłem zaskoczony. Niewykluczone, że przebywali na Ziemi w ukryciu. Możliwe, że przybyli dopiero teraz przez stację transportową.

— Łatwo będzie ich powstrzymać — zauważył Maxwell. Wystarczy przekazać informację Centrali Transportu, a wówczas...

Sharp pokręcił głową.

— Nie, nie możemy. Transport jest międzygalaktyczny, nie znajduje się w gestii Ziemi. Nie mamy prawa im nic narzucać. — Panie Marmaduke — inspektor Drayton zwrócił się do Kołowca, przyjmując oficjalny ton. — Czy jak też się pan nazywa. Sądzę, że powinienem pana w tej chwili aresztować.

— Skończcie tę czczą gadaninę — wtrącił się Duch. — Niziołki potrzebują pomocy.

Maxwell chwycił oburącz i uniósł w górę stojące obok krzesło.

— Chyba powinniśmy wreszcie przestać się oszukiwać oznajmił i podnosząc krzesło nad głowę zwrócił się do Kołowca: — Czas, żebyś zaczął mówić, kolego. Jeśli nie zechcesz, rozłupię twoje akwarium.

Ze wszystkich stron korpusu Kołowca wysunęły się nagle dziwne rurki, po czym dał się słyszeć charakterystyczny syk. Potworny smród uderzył w twarze ludzi — straszliwy fetor powodujący skurcz żołądka i paraliżujący krtanie, niczym spazmatycznie zaciśnięta na gardle olbrzymia dłoń.

Maxwell, niezdolny do kontrolowania własnego ciała, które pod wpływem gazu wydzielanego przez Kołowca jakby zamieniło się w sztywną bryłę, poczuł, że wali się na podłogę. Potoczył się w bok, a jego ręce mimowolnie sięgnęły do gardła i poczęły szarpać, chcąc je rozerwać, aby dopuścić do płuc odrobinę powietrza — chociaż wydawało się, że wokół nie ma już powietrza, że otacza go jedynie odrażający fetor Kołowca.

Usłyszał ponad głową przeraźliwy ryk, a gdy przetoczył się, żeby spojrzeć w górę, ujrzał zawieszzone nad podłogą Sylwestra. Jego przednie łapy obejmowały górną część ciała Kołowca, natomiast tylne uderzały energicznie i szarpały pazurami baniasty, przezroczysty korpus, w którym kłębiła się odrażająca masa pełzających robaków. Zrogowaciałe koła obracały się w szalonym tempie, ale stało się z nimi coś złego, bowiem jedno wirowało w jedną, a drugie w przeciwną stronę, dzięki czemu Kołowiec z kurczowo trzymającym się go Sylwestrem kręcili się w kółko w przyprawiającym o zawrót głowy tańcu. Tylne łapy Sylwestra poruszały się rytmicznie, niczym tłoki silnika bijąc w brzuch Kołowca. Wyglądało to tak, jakby oba walczące stworzenia ruszyły nagle do zwariowanego, nieskładnego walca.

Czyjeś dłonie chwyciły go pod ramiona i został bezceremonialnie wywleczony po podłodze. Jego ciało przelało się przez próg, poczuł jednak, że fetor zelżał nieco i mógł wreszcie zaczerpnąć odrobinę powietrza.

Obrócił się na brzuch, dźwignął na czworaka i z niemałym trudem stanął na nogach. Uniósł zaciśnięte pięści i zaczął przecierać zalane łzami oczy. Powietrze nadal było ciężkie od smrodu, ale nie odczuwał już skurczu krtani.

Sharp siedział oparty o ścianę, dyszał ciężko i tarł oczy. Carol leżała rozciągnięta na podłodze. Oop, kucając w przejściu, wyciągał właśnie Nancy z przepełnionego fetorem pomieszczenia, skąd ciągle dochodziły odgłosy zmagania szablozębnego.

Maxwell ruszył na chwiejnych nogach do przodu. Pochylił się nad Carol, podniósł ją z podłogi, po czym przerzucił ciało przez ramię niczym worek i rozpoczął chwiejny odwrót w głąb korytarza.

Jakieś dziesięć metrów dalej zatrzymał się i obejrzał. W tym samym momencie z gabinetu wypadł uwolniony wreszcie od Sylwestra Kołowiec, a oba jego koła obracały się w tę samą stronę. Potoczył się w szalonym pędzie wzdłuż korytarza, lecz zachowywał się jak oślepy — zataczał się na boki, jeśli o stworzeniu na kołach można powiedzieć, że się zataczało odbiwszy się z impetem od jednej ściany, wpadał z hukiem na drugą. Z wielkiej wyrwy w jego brzuszysku wypadały i rozsypywały się po całej podłodze niewielkie, białawe obiekty.

Trzy metry przed Maxwellem Kołowiec upadł w końcu, kiedy jedno z jego kół huknęło w ścianę i rozpękło się. Powoli, jak gdyby na zwolnionym filmie, z jakimś dziwnym dostojeństwem przetoczył się jeszcze z kołami w górze, a z rozwalonego brzucha wysypał się na podłogę okazały stos insektów.

Sylwester skradał się chyłkiem, z brzuchem nisko przy ziemi i nastroszonymi ze zdumienia wąsami, wykonując powolne ruchy, jakby chciał ocenić efekty swojej pracy. Za nim zbliżył się

Oop i pozostali ludzie.

— Czy możesz mnie wreszcie postawić? — odezwała się Carol.

Maxwell zsunął ją z ramion i postawił na nogach. Dziewczyna oparła się o ścianę.

— Nikt mnie nigdy nie podniósł w podobnie prostacki sposób — oświadczyła. — Nie masz w sobie ani odrobiny rycerskości, jeśli zdolny byłeś zapakować dziewczynę w ten sposób...

— Zgadza się, popełniłem wielki błąd — odparł Maxwell. — Powinienem być cię tam zostawić, rozciągniętą na podłodze. Sylwester zatrzymał się, wyciągnął szyję i powąchał Kołowca, a jego pysk wykrzywił się wyraźnie w grymasie niesmaku i zdumienia. Kołowiec nie dawał znaku życia. Usatysfakcjonowany Sylwester wyprostował się, po czym przysiadł na zadzie i zaczął myć sobie łapą wąsy. W stosie robaków na podłodze obok leżącego Kołowca wrzało. Niektóre z nich zaczęły wypełzać ze sterty, rozłaząc się na wszystkie strony po korytarzu.

Sharp przesunął się przy ścianie obok szczątków Kołowca. — Chodźmy — powiedział. — Wynośmy się stąd.

W całym korytarzu powietrze nadal było przesiąknięte ohydny fetorem.

— Wyjaśnijcie mi, o co tu chodzi — wykrztusiła Nancy. Dlaczego pan Marmaduke...?

— To tylko cuchnące robaki — mruknął Oop. — Czy możesz to sobie wyobrazić? Olbrzymie galaktyczne imperium cuchnącego robactwa! A my się ich baliśmy!

Inspektor Drayton wysunął się do przodu i rzekł z powagą: — Obawiam się, że będziecie musieli wszyscy udać się razem ze mną. Musimy spisać wasze zeznania.

— Zeznania! — oburzył się Sharp. — Pan chyba postradał

rozum! Mamy teraz składać zeznania, kiedy smok toczy walkę...

— Zabito nieziemca — Drayton podniósł głos. — W dodatku nie będącego jednym z członków wspólnoty, ale przedstawiciela potencjalnie wrogiej nam rasy. Ten czyn może pociągnąć za sobą poważne reperkusje.

— Proszę napisać w protokole — podsunął Oop — że został zabity przez dziką bestię.

— Oop! — krzyknęła Carol. — Jak możesz proponować coś podobnego? Sylwester nie jest dziki, to łagodny, oswojony kotek. Poza tym nie jest bestią.

Maxwell rozejrzał się dokoła.

— A gdzie podział się Duch? — zapytał.

— Zmył się — wyjaśnił Oop. — Jak zawsze, gdy zaczynają się kłopoty. To zwyczajny tchórz.

— Powiedział przecież...

— Właśnie — przerwał Oop. — A my tu tracimy czas. O'Toole potrzebuje naszej pomocy.



O'Toole czekał na nich przy zejściu z pasa komunikacyjnego.

— Wiedziałem, że w końcu dotrzecie tu — rzekł na powitanie.

— Duch obiecał, że was zaraz sprowadzi. Potrzebujemy kogoś, kto dogada się z trollami, ukrywającymi się i bełkoczącymi pod tym swoim mostem, do których nie trafiają żadne argumenty.

— Cóż trolle mają z tym wszystkim wspólnego? — zapytał Maxwell. — Czy ty choć raz w życiu mógłbyś dać im spokój? — Otóż trolle, chociaż takie plugawe, mogą być naszym jedynym wybawieniem — wyjaśnił. O'Tolle. — Tylko one, jakkolwiek ani trochę nie cywilizowane, nie mające ani krzty ogłady, zachowały biegłość w tajemnych sztukach dawnych czasów, a specjalizują się w prawdziwie parszywych zabawach, w najbardziej złośliwych czarach. Jeszcze wróżki, naturalnie, hołdują dawnym umiejętnościom, ale wszystkie ich czary są z rodzaju tych subtelnych, a w naszym przypadku nie potrzeba ani trochę subtelności.

— Czy mógłbyś nam dokładniej wyjaśnić, co się tutaj dzieje? — poprosił Sharp. — Duch nie zadał sobie trudu wprowadzenia nas w sprawę.

— Chętnie — odparł chochlik. — Ruszajmy jednak w drogę, a podczas marszu zrelacjonuję wam wszystkie wydarzenia. Mamy bardzo mało czasu do stracenia, a trolle to zatwardziałe

dusze i będzie trzeba użyć perswazji, żeby cokolwiek dla nas zrobiły. Czają się pod omszałymi kamieniami tego niepotrzebnego mostu i zachowują tak, jakby wszystkie straciły rozum. Chociaż, żeby być wiernym prawdzie, te śmierdzące trolle nie miały czego tracić.

Maszerowali gęsiego w górę skalistego parowu, wrzynającego się pomiędzy dwa wzgórze. Na wschodniej stronie nieba pojawiła się pierwsza łuna nadchodzącego świtu, lecz ścieżka, wijąca się między drzewami i ocieniona kępami krzewów, tonęła w mroku. Tu i ówdzie rozbudzone ptaki zaczynały nieśmiało trele, a gdzieś w górze zбочa rozlegały się odgłosy buszowania szopa.

— Przyszedł do nas, do domu, smok — zaczął opowiadać O'Toole podczas marszu. — Wrócił do tego jedyne miejsce na Ziemi, jakie mu pozostało, gdzie mógł przebywać wśród znanych mu istot, ale Kołowcy, którzy w zamierzonych czasach nazywali się zupełnie inaczej, zaatakowali go w powietrzu, lecąc jak ogniste miotły w szyku bojowym. Nie udało im się zmusić go do opadnięcia na ziemię, gdzie mogliby go pojmać i zamknąć w zagrodzie bardzo szybko. Zaiste, wspaniała to była walka. Smok oganiał się od nich, zmęczył się jednak bardzo i teraz musimy wykazać dużo pośpiechu i sprytu, jeżeli chcemy przyjść mu z pomocą.

— Liczysz, że trolle będą w stanie ściągnąć na dół Kołowców, jak uczyniły to z autolotem? — zapytał Maxwell.

— W rzeczy samej, mój przyjacielu. Właśnie taki pomysł zrodził się w mojej głowie. Ale te parszywe trolle chcą przy okazji dobić targu.

— Nigdy nie przypuszczałem, że Kołowcy mogą latać odezwał się Sharp. — Dotychczas widywałem ich jedynie turlających się

po ziemi.

— Możliwości to oni mają wiele — stwierdził O'Toole. Ze swych ciał mogą wysuwać różne przyrządy w olbrzymiej ilości i nie mieszczące się w wyobraźni. Dysze do rozpylania ich ohydneho gazu, strzelby miotające śmiertelne strzały, czy silniki odrzutowe, dzięki którym mogą latać jak miotły po niebie z przeraźliwą szybkością. I nigdy nie używają tego w dobrych celach. Przepełnieni złością i urazą z dawnych czasów, zaszyli się gdzieś w głębinach galaktyki, a zawziętość drąży ich umysły niczym rak. Wciąż czekają na sposobność, żeby stać się czymś, czym nawet nie mają szansy zostać, jako że są i na zawsze pozostaną jedynie niewolnikami.

— Czy musimy angażować trolle? — spytał wyraźnie zirytowany Drayton. — Mogę w każdej chwili sprowadzić samoloty i uzbrojonych ludzi...

— Niech pan nie struga głupszego niż jest pan naprawdę rzucił bez pardonu Sharp. — Nie możemy tknąć ich jednym palcem, nie możemy nawet zaaranżować jakiegokolwiek wypadku. Ludzie nie mają prawa mieszać się w te sprawy. To jest zatarg pomiędzy niziołkami a ich dawnymi niewolnikami.

— Przecież kocur już zabił...

— Kocur, a nie człowiek. My możemy jedynie...

— Sylwester chciał nas tylko obronić — odezwała się Carol. — Czy musimy iść tak szybko? — zaprotestowała Nancy. — Nie przywykłam do takiego tempa.

— Proszę, oto moje ramię — odezwał się Lambert. — Ta ścieżka wygląda mi na nieco wyboistą.

— Czy wiesz, Pete, że pan Lambert zgodził się być gościem w moim domu przez jakiś rok, albo nawet dłużej, i namalować kilka obrazów dla mnie? — spytała Nancy, z trudem łapiąc

oddech. — Czy nie uważasz, że to wspaniale z jego strony?

— Tak, z pewnością — odparł Maxwell.

Ostatnie sto metrów ścieżka wspinała się stromo w kierunku szczytu wzgórza, lecz teraz znów sprowadziła ich na dno parowu, usiane gigantycznymi głazami, które w nikłym blasku poranka sprawiały wrażenie przyczajonych, szykujących się do skoku bestii. Ponad wąwozem przerzucony był prastary most o konstrukcji przypominającej żywo fragment jakiejś średniowiecznej drogi. Spoglądając na niego, Maxwell stwierdził, że trudno uwierzyć, iż został zbudowany zaledwie kilka dziesiątków lat temu, kiedy zakładano tutejszy rezerwat.

Dwa dni — pomyślał. — Czy rzeczywiście minęły zaledwie dwa dni od powrotu z nieudanej wyprawy i spotkania z inspektorem Draytonem? Tak wiele wydarzyło się w tym czasie, że odnosił wrażenie, iż musiało minąć znacznie więcej dni. Już miało miejsce tak wiele niewiarygodnych zdarzeń, które rozgrywały się nadal, równie niewiarygodne, a wszystkie miały niesłychaną wagę, mogły bowiem zdecydować o przyszłości rodzaju ludzkiego i całej federacji założonej przez człowieka.

Próbował rozbudzić w sobie nienawiść do Kołowców, ale nie znalazł w duszy nawet cienia niechęci. Byli zbyt obcy, zbyt wiele dzieliło ich od ludzi, by mogli wzbudzać tak bardzo ludzkie uczucia jak nienawiść. Byli raczej uosobieniem zła, niż istotami przesiąkniętymi złem. Uświadomił sobie jednak, że owo rozróżnienie w niczym nie umniejszało zagrażającego z ich strony niebezpieczeństwa. Istniał przecież drugi Peter Maxwell, który z pewnością został zamordowany przez Kołowców — na miejscu wypadku czuć było specyficzny, odpychający fetor, a teraz, po zajściach w gabinecie Sharpa, nie było wątpliwości co do pochodzenia owego smrodu. Został zamordowany, ponieważ

Kołowcy sądzili, że wracający Maxwell przebywał na krystalicznej planecie, a w morderstwie widzieli metodę na bezproblemowe zakończenie pertraktacji z Czasem w sprawie zakupu Artefaktu. Gdy pojawił się drugi Maxwell, Kołowcy nie mieli odwagi ponownie dokonać zabójstwa. Dlatego właśnie pan Marmaduke próbował go przekupić.

Na scenie pozostał jeszcze niejaki Monty Churchill, przypomniał sobie Maxwell. Kiedy to wszystko się zakończy, niezależnie od rezultatu, będzie musiał odszukać Churchilla i osiąść niezbitą pewnością, że wszelkie rachunki między nimi zostały uregulowane. Zbliżyli się do mostu, zanurzyli w jego cieniu i stanęli półkolem.

— W porządku, wy nędzne trolle! — wykrzyknął O'Toole w kierunku niemych kamieni. — Jest nas tutaj cała grupa i chcielibyśmy przeprowadzić z wami rozmowę.

— Zamilcz — odezwał się Maxwell do goblina. — Najlepiej w ogóle nie zabieraj głosu. Ty nigdy nie dojdiesz do porozumienia z trollami.

— A któż dojdzie z nimi do porozumienia? — zagrzmiał O'Toole. — Z tymi parszywcami, bez krzty honoru, baz odrobiny zdrowego rozsądku...

— Powstrzymaj się — powtórzył Maxwell. — Nie chcę już słyszeć ani słowa..

Otaczała ich cisza przedświtu. Dopiero po dłuższej chwili odpowiedział im skrzekliwy głos, dobiegający gdzieś z najciemniejszego zakamarka pod mostem.

— Kto tam jest? — zapytał głos. — Jeżeli przysłiście nam urągać, to próżne wasze wysiłki. Ten tam głośnousty O'Toole złorzeczy nam i wymyśla od wielu, wielu lat. Ale już dość tego.

— Nazywam się Maxwell — przedstawił się profesor

nieznanemu rozmówcy. — Nie przyszedłem, by z was szydzić. Chciałem was prosić o pomoc.

— Maxwell? Serdeczny przyjaciel O'Toole'a?

— Serdeczny przyjaciel was wszystkich, każdego plemienia niziołków. To ja czuwałem przy umierającym banshee, zamiast tych wszystkich, którzy powinni, a nie przybyli, żeby spędzić z nim ostatnie chwile jego życia.

— A pić z O'Toolem to pijasz. I rozmawiasz z nim, właśnie tak. I dajesz posłuch wszystkim jego kłamstwom.

O'Toole rzucił się krok do przodu, kipiąc niepohamowaną wściekłością.

— Wcisnę wam z powrotem te słowa do gardeł! — wrzasnął. — Pozwólcie mi choć raz zacisnąć palce na ich plugawych szyjach!...

Wrzaski urwały się nagle, ponieważ Sharp zaszedł go od tyłu, chwycił za zwisające nisko siedzenie spodni, uniósł wysoko w górę i trzymał nad głową, bulgoczącego jeszcze i krztuszącego się ze złości.

— Mów dalej — zwrócił się Sharp do Maxwella. Jeżeli ta miernota nadal będzie robiła tak kiepski użytek ze swojego gardła, znajdę pierwszą lepszą kałużę i zakleję mu je błotem.

Sylwester podszedł do Sharpa, uniósł łeb i obwąchiwał zwisającego bezradnie O'Toole'a. Ten zaczął oganiać się przed kotem, młóćąc rękoma jak wiatrak na silnym wietrze.

— Zabierzcie go ode mnie! — zawył.

— On myśli, że jesteś myszą — zabrał głos Oop. — Zastanawia się właśnie, czy jesteś wart choć najmniejszego wysiłku z jego strony.

Sharp obrócił się i kopnął Sylwestra między zebra. Kocur odskoczył i zaczął groźnie warczeć.

— Harlowie Sharp — odezwała się Carol, robiąc krok do przodu. — Nie waż się nigdy więcej postępować w ten sposób. Jeżeli jeszcze kiedykolwiek to uczynisz, ja...

— Zamknijcie się! — wrzasnął Maxwell, doprowadzony do ostateczności. — Zamknijcie wszyscy swoje jadaczki! Gdzieś tam w górze smok walczy o swoje życie, a wy tu kłóćcie się między sobą.

Zapadła cisza. Niektórzy cofnęli się o krok. Maxwell odczekał jeszcze chwilę, po czym przemówił do trolli:

— Nie wiem, co działo się tu do tej pory. Nie wiem, na czym polega wasz spór. Potrzebujemy jednak waszej pomocy, przyszliśmy więc, by o nią prosić. Obiecuję wam, że będziecie dobrze traktowani. Ale mogę wam także obiecać, że jeśli nie będziecie się zachowywać rozsądnie, nie omieszkamy przekonać się, co może z tym waszym mostem zrobić kilka lasek porządnego materiału wybuchowego.

Tym razem słaby skrzekliwy głos pod mostem się nie ociągał .

— Jedyne, czego zawsze pragnęliśmy, o co zawsze prosiliśmy tego głośnoustego O'Toole'a, to choćby najmniejsza beczułka słodkiego paździenikowego piwa.

Maxwell odwrócił się.

— Czy to prawda? — zapytał.

Sharp postawił O'Toole'a z powrotem na ziemi, by ten mógł odpowiedzieć.

— Nie możemy pozwolić na robienie precedensów — zaoponował goblin. — Tak nie inaczej. Od niepamiętnych czasów my, gobliny, mamy wyłączność na warzenie najwspanialszego piwa. Ale wypijamy je sami. Nie możemy zrobić więcej piwa, niż jesteśmy w stanie sami wypić. A jeżeli uwarzymy go dla trolli, to zaraz i wróżki będą chciały...

— Przecież wiesz, że wróżki nie pijają piwa — odezwał się Oop. — Tak jak krasnoludki interesuje je wyłącznie mleko...

— Tak, zaraz wszyscy byliby spragnieni — zaskamlał O'Toole. — A uwarzenie nawet tylko tego, co sami potrzebujemy, zajmuje przecież tak wiele czasu i tak wiele myślenia, jest poza tym pracochłonne...

— Jeżeli jest to tylko sprawa produkcji, z pewnością moglibyśmy wam pomóc — zaproponował Sharp.

Pan O'Toole zaczął rytmicznie uginać kolana ze złości. — A pluskwy?! — krzyknął. — Co z pluskwami?! Ja was znam, zaraz byście je wyeliminowali z procesu produkcji, zasłaniając się tą parszywą higieną. Żeby wyprodukować najlepsze październikowe piwo, do zaczynu należy wrzucić pluskwy i wiele innych rzeczy, które wy uznalibyście za całkowicie zbędne.

— Nie zapomnimy o pluskwach — rzekł Oop. — Będziemy pełzać, aż nazbieramy cały koszyk i wrzucimy je do...

Pan O'Toole wychodził już niemal z siebie. Jego twarz płonęła purpurą.

— Rozumiecie... wy zupełnie nie... — wrzeszczał, z trudem łapiąc oddech. — Pluskiew nie można tak po prostu wrzucać!... Pluskwy muszą trafić do kadzi po bardzo wnikliwej selekcji i...

Nagłemu zamilknięciu goblina towarzyszył głośny ryk.

— Sylwester! Puść go! — krzyknęła Carol.

O'Toole oklapł i tylko cicho zawodząc wymachiwał rękoma, uwieszony między szczękami tygrysa. Sylwester zaś trzymał łeb na tyle wysoko, że nogi goblina nie mogły dosięgnąć ziemi.

Oop tarzał się po piasku ze śmiechu i młócił pięściami ziemię.

— On myśli, że O'Toole jest myszą! — zapiszczał. Spójrzcie tylko na tego kotka. Złowił sobie małą myszkę! Sylwester

obchodził się jednak ze swym łupem bardzo delikatnie. Nie zadrasnął nawet O'Toole'a, jeśli nie liczyć zranionej godności. Trzymał go w swoich szczękach, a potężne kły obejmowały goblina w pasie.

Skarp uniósł nogę, żeby jeszcze raz kopnąć kocura.

— Nie! — wrzasnęła Carol. — Mówiłam ci, żebyś nigdy więcej tego nie robił!

Skarp zamarł w bezruchu.

— W porządku, Harlow — odezwał się Maxwell. — Niech trzyma O'Toole'a. Z pewnością zasłużył na jakąś nagrodę za to, co zrobił dla nas w twoim biurze.

— Zgadzam się! — wrzasnął zdesperowany O'Toole. Zrobimy dla nich oddzielną beczkę piwa. Zrobimy dla nich nawet dwie beczki.

— Trzy — podpowiedział skrzekliwy głos spod mostu. — Zgoda, trzy — przytaknął goblin.

— Nie wycofacie się później z umowy? — zapytał Maxwell.

— My, gobliny, nie wycofujemy się nigdy.

— W porządku, Harlow — rzekł Maxwell. — Rób swoje i uwolnij go.

Skarp ponownie zamierzył się do kopniaka. Sylwester puścił O'Toole'a i odskoczył dwa kroki do tyłu.

Trolle zaczęły się wysypywać spod mostu i wpełzać na stok wzgórza, popiskując z podniecenia.

Ludzie ruszyli za nimi pod górę.

Carol, idąca tuż przed Maxwellem, potknęła się i przewróciła. Ten dźwignął ją za ramię i pomógł wstać. Wyrwała rękę i popatrzyła na Maxwella z nieskrywaną wściekłością.

— Nie dotykaj mnie nigdy więcej! — syknęła. — Nie odzywaj się też do mnie. Powiedziałeś, żeby Harlow robił, co ma robić, to

znaczy kopnął Sylwestra. A poza tym wrzeszczałeś na mnie, kazałeś mi zamknąć jadaczkę.

Odwróciła się i pobiegła szybko pod górę, znikając mu po chwili z oczu.

Maxwell stał jeszcze przez chwilę, zaskoczony, wreszcie ruszył, omijając większe gałęzy i chwytając się gałązek krzaków.

W tej samej chwili usłyszał dobiegające ze szczytu wzgórza dzikie wrzaski. Po prawej stronie wielka czarna kula z kręcącymi się w szalonym tempie kołami runęła w dół i po chwili roztrzaskała się o konary drzewa. Zatrzymał się i rozejrzał. Przez korony drzew dostrzegł na niebie dwie inne czarne kule pędzące wprost na siebie. Żadna z nich nie wykonała skrętu ani nie zwolniła. Kiedy zetknęły się, po prostu eksplodowały, a rozrzucone szczątki powoli spłynęły w dół ku ziemi. Po kilku sekundach usłyszał szelest liści, jak gdyby lunął rześisty, trwający moment deszcz.

Na szczycie wzgórza nadal rozbrzmiewały okrzyki. W oddali, gdzieś w okolicy sąsiedniego wzgórza, piętrzącego się po drugiej stronie parowu, rozległ się dźwięk oznaczający kolejny upadek na ziemię, choć Maxwell nie widział pędzącego Kołowca.

W zasięgu wzroku nie było już na niebie żadnych obiektów, ruszył więc w dalszą drogę.

Już po wszystkim, pomyślał. Trolle wykonały swoje zadanie i teraz smok będzie mógł spokojnie osiąść na ziemi. Uśmiechnął się w duchu. Od lat zajmował się zagadką smoka, a teraz wreszcie miał swój okaz. Co więcej, to co znalazł, przeszło jego najśmielsze oczekiwania. Czymże w rzeczywistości był ten smok? — zastanawiał się. Z jakich powodów został uwięziony w Artefakcie, czy też przekształcony w Artefakt, obojętne jak by nazwać tę dwoistość?

Czyż sam Artefakt nie był rzeczą zdumiewającą? Opierał się wszystkiemu, odbijał każde promieniowanie, ale wystarczyło, by Maxwell wzmacnił pole swego interpretera i skierował je na martwą z pozoru bryłę. Cóż się naprawdę stało, co spowodowało uwolnienie smoka z Artefaktu? Z pewnością mechanizm interpretera odegrał niepoślednią rolę, ale jakie zjawiska zaszły tam w rzeczywistości? Nie ulegało wątpliwości, że mieszkańcy krystalicznej planety wiedzieliby, co się stało — posiadali przecież tak olbrzymią wiedzę, dysponowali tak kolosalnymi umiejętnościami, niedostępnymi żadnej innej rasie w całej galaktyce. Czyżby interpreter znalazł się w jego bagażu właśnie w tym celu, a nie, jak przypuszczał, przez pomyłkę? Czyżby został tam umieszczony specjalnie po to, by smok został uwolniony? Wreszcie, czy był to ten sam interpreter, czy też zupełnie inne urządzenie wykonane na kształt znanego mu przyrządu?

Przypomniawszy sobie teraz, że kiedyś przemknęła mu przez myśl teoria, iż Artefakt stanowił w zamierzchłych czasach coś w rodzaju bóstwa niziołków, czy też tych wszystkich innych stworzeń związanych z niziołkami, zamieszkujących w czasach prehistorycznych Ziemię. Czyżby teoria ta miała okazać się prawdziwa? Czyżby to właśnie smok miał być tym bóstwem z zamierzchłych pradziejów?

Wspinał się nadal, lecz zwolnił kroku. Nie było się już do czego spieszyć. Po raz pierwszy od chwili powrotu z krystalicznej planety nie musiał się spieszyć. Był już nieco dalej niż w połowie drogi do szczytu, kiedy usłyszał muzykę — początkowo tak cichą, tak przytłumioną, że nie był wcale pewien, czy jest to muzyka.

Zatrzymał się i zaczął nasłuchiwać. Tak, to była muzyka.

Słońce ukazało właśnie brzeżek swej tarczy ponad

horyzontem i strumień oślepiającego światła zalał wierzchołki drzew rosnących na szczycie wzgórza, po czym odbił się od nich pełną gamą barw jesieni. Lecz stok wzgórza, po którym się wspinał, pozostał nadal pogrążony w cieniu.

Zasłuchał się w dźwięki, brzmiące teraz jak kaskada srebrzystej wody, przelewającej się radośnie ponad kamieniami. Nieziemska muzyka, czarodziejska muzyka... Faktycznie, czarodziejska. Na tanecznej polance koncertowała orkiestra czarodziejek.

Orkiestra czarodziejek i tańczące wróżki na polance! Czegoś podobnego nigdy dotąd nie widział, po raz pierwszy nadarzyła mu się sposobność podglądania owego misterium. Obrócił się i ruszył powoli, najciszej jak potrafił w kierunku polanki.

— Nie odchódźcie, proszę — szeptał pod nosem. — Nie bójcie się mnie. Zostańcie, proszę, i pozwólcie mi popatrzeć.

Był już bardzo blisko, od polanki oddzielał go jedynie potężny głaz. Muzyka rozbrzmiewała nadal.

Centymetr po centymetrze prześlizgiwał się wokół kamienia, uważając pilnie, by go nie zauważono.

Orkiestra siedziała rzędem wzdłuż dłuższego boku polanki i przygrywała. Promienie porannego słońca rzucały blask na tęczowej barwy skrzydła i lśniące instrumenty. Ale nie było ani jednej wróżki! Za to ujrzał dwie zupełnie inne postacie, których nie spodziewał się tutaj — dwie na tyle prostoduszne istoty, by mogły puścić się w tany przy muzyce orkiestry czarodziejek.

Twarzą w twarz, podskakując w rytm niezwyklej muzyki, kręcili się po polanie Duch oraz William Shakespeare.



Smok usadowił się na jednej z wieżyczek zamczyska, a jego wielobarwne ciało błyszczało w promieniach słońca. Daleko w dole, między płonącymi jesienią, zalesionymi stokami toczyła swe wody rzeka Wisconsin błękitna jak zapomniane letnie niebo. Z zamkowego dziedzińca dobiegały odgłosy uczty, jaką wyprawiły wspólnie gobliny i trolle, odkładając chwilowo na bok wszelkie wzajemne animozje. Raczyli się październikowym piwem, serwowanym w olbrzymich kuflach, walili tymi kuflami w dębowe stoły, wytaszczone z tej okazji z zamkowego holu na dwór i śpiewali pradawne pieśni, zrodzone na długo przedtem, nim pojawiła się na Ziemi istota podobna do człowieka.

Maxwell siedział oparty o głęboko zagrzebany w ziemi olbrzymi głaz i spoglądał z góry na dolinę rzeki. Nie dalej jak cztery metry od jego stanowiska łąka urywała się i spadała trzydziestometrowym stromym urwiskiem, a na samej jego krawędzi rósł poskręcany cedr — zniekształcony przez wiatry hulające nad tą doliną od niezliczonych lat. Jego kora przyprószona była srebrem, igliwie odznaczało się jasną, świeżą zielenią i nawet z miejsca, gdzie siedział Maxwell, czuć było intensywny zapach igieł.

Pomyślał, że wszystko ułożyło się dobrze. Nie istniał już Artefakt, którym można by zapłacić za olbrzymią wiedzę

krystalicznej planety, ale odżył smok, a w końcu chyba właśnie smoka pragnęli jej mieszkańcy. Nawet jeśli prawda wyglądała inaczej, to pocieszająca była świadomość całkowitej porażki Kołowców. W przyszłości mogło to okazać się o wiele ważniejsze niż zdobycie biblioteki krystalicznej planety.

Wszystko ułożyło się pomyślnie. Nawet lepiej, niż można się było spodziewać. Za wyjątkiem tego, że obecnie wszyscy się na niego gniewali — Carol dlatego, że powiedział Harlowowi, by czynił swoje i kopnął Sylwestra oraz że kazał jej zamknąć jadaczkę; O'Toole za to, że pozwolił Sylwestrowi na znieważenie go i zmusił do przygotowania piwa dla trolli; Harlowowi nie minęła jeszcze wściekłość za uniemożliwienie sprzedaży Artefaktu, a ponadto za zrobienie z muzeum składowiska skorup i okruchów. Może jedynie fakt odnalezienia Shakespeare'a przemawiał odrobinę na korzyść Maxwella. Do tego wszystkiego Drayton wciąż chciał zadawać Maxwellowi nowe pytania, a Longfellow z Administracji bez względu na okoliczności z pewnością żywił nieuleczalną urazę.

Są ludzie, myślał, którzy nigdy nie przywiązują zbyt wielkiej wagi do takich spraw, którzy nie próbują o nic walczyć. Chociażby tacy jak Nancy Clayton — głupiutka Nancy, którą obchodzili jedynie niezwykle ważni goście w jej domu i jak największy rozgłos wokół jej przyjęć.

Coś stuknęło go w plecy. Odwrócił się szybko. Sylwester wysunął szorstki jak pumeks język i zaczął lizać go po twarzy. — Przestań — mruknął Maxwell. — Zedrzesz mi tym jęzorem skórę z policzków.

Sylwester mruknął z ukontentowania i usadowił się obok, napierając całym ciałem. Siedzieli tak, gapiąc się na dolinę rzeki.

— Twoje życie jest łatwe — odezwał się po chwili Maxwell. —

Nie masz żadnych problemów, nie masz się o co martwić... Na kamienistej łące rozległy się czyjeś kroki.

— Porwałś mojego kocura — odezwał się znany głos. Czy mogę tu usiąść i roztoczyć nad nim opiekę?

— Oczywiście, siadaj, proszę. Zrobię ci więcej miejsca. A wydawało mi się, że życzyłaś sobie nigdy więcej nie rozmawiać ze mną...

— Tam, na dole, zachowałeś się jak gbur — rzekła Carol. — Nie lubię tego. Teraz wydaje mi się jednak, że nie miałaś innego wyjścia.

Jakaś dziwna czarna chmura osunęła się z góry i spoczęła między gałęziami cedru.

Carol pisnęła, przytulając się do Maxwella. Ten objął ją ramieniem i przycisnął mocno do siebie.

— Wszystko w porządku — powiedział. — To tylko banshee.

— Ależ on nie ma żadnej cielesnej postaci. Nie ma twarzy, przypomina zwykły cień.

— To bez znaczenia — wyjaśnił banshee. — Tacy już jesteśmy, my, których pozostało zaledwie dwóch. Wielkie, ohydne ścierki kuchenne, trzepoczące na niebie. Ale ty nie masz się czego bać, człowiek siedzący przy tobie jest naszym przyjacielem.

— Wcale nie byłem przyjacielem tamtego trzeciego banshee — zaoponował Maxwell. — On sprzedał duszę Kołowcom.

— A jednak ty czuwałeś przy nim, kiedy nikt inny nie zdobył się na ten krok.

— Owszem, zrobiłem to. Nawet mój największy wróg może być pewny, że uczynię to również dla niego.

— Dlatego właśnie uważam, że ty nas rozumiesz. Co by nie mówić, Kołowcy także byli naszymi braćmi, są nimi nadal. Stare więzy nie pękają tak łatwo.

— Myślę, że rozumiem — odparł Maxwell. — Co mogę uczynić dla ciebie?

— Przybyłem tylko po to, żeby ci powiedzieć, iż miejsce, które nazywasz krystaliczną planetą, zostało o wszystkim powiadomione — rzekł banshee.

— A więc oni pragną mieć smoka? — zapytał Maxwell. Będziecie musieli podać nam odpowiednie koordynaty.

— Koordynaty zostaną przekazane Centrali Transportu. Zapewne będziesz chciał się tam udać wraz z wieloma innymi ludźmi, żeby odebrać informacje. A smok ma pozostać tu, na Ziemi, w rezerwacie goblinów.

— Nie rozumiem — zdziwił się Maxwell. — Przecież chcieli...

— Chcieli Artefaktu, ale tylko po to, by uwolnić smoka odparł banshee. — Już zbyt długo przebywał w niewoli.

— Od czasów jury? Zgadzam się, że to zdecydowanie za długo.

— Nie planowaliśmy tak długiego uwięzienia — stwierdził banshee. — Porwaliście Artefakt właśnie wtedy, kiedy zamierzaliśmy smoka uwolnić. Baliśmy się, że stracimy go na zawsze. Artefakt miał służyć jedynie jako osłona i schronienie smoka do czasu, aż kolonia na Ziemi rozwinie się na tyle, by zapewnić mu właściwą opiekę.

— Opiekę? Czyżby wymagał on specjalnej opieki?

— Ten smok jest już ostatnim ze swojej rasy i dlatego jest tak cenny — wyjaśnił banshee. — On jest ostatnim z... Nie wiem, jak mógłbym to nazwać... Macie zwierzęta, które nazywacie kotami i psami?

— Tak — wtrąciła się Carol. — Jeden z nich siedzi tu właśnie przy nas.

— Zwierzęta domowe — rzekł banshee. — Nawet więcej niż tylko domowi pupile. Stworzenia towarzyszące wam na Ziemi od

samego początku waszego rozwoju. Smok jest właśnie zwierzęciem domowym istot zamieszkujących krystaliczną planetę. Oni się już bardzo zestarzeni, niedługo odejdą na zawsze. Nie mogą jednak zostawić swojego ukochanego zwierzęcia bez właściwej opieki, chcieli przekazać go w jakieś dobre, godne zaufania ręce.

— Gobliny będą się nim dobrze opiekowały — powiedział Maxwell. — Zajmą się nim także trolle, wróżki i cała reszta. Będą z niego niezwykle dumni. Z pewnością otoczą go troskliwą opieką.

— Czy ludzie także będą o niego dbali? — zapytał banshee.

— Tak, oczywiście, ludzie także — przyrzekła Carol.

Nie zauważyli, kiedy odszedł. Po chwili już go nie było. Nie widać też było żadnej brudnej ścierki kuchennej trzepoczącej po niebie. Gałęzie drzewa uwolniły się od ciężaru.

Zwierzęciem domowym, pomyślał Maxwell. Nie żadne bóstwo, ale domowy pieszczoł. A może to wszystko nie było tak proste, jak się wydawało? Po co ludzie tworzyli pierwsze biochemy? Nie miały to być przecież stworzenia konkurujące z ludźmi, przynajmniej na początku. Nie miały to być także zwierzęta hodowlane, ani sztuczne istoty przeznaczone do jakichś specjalnych zadań. Stworzono po prostu domowych ulubieńców.

Carol poruszyła się pod jego ramieniem.

— O czym myślisz, Pete? — spytała.

— O terminie... — odparł powoli. — Tak, naprawdę myślałem o terminie, w jakim moglibyśmy zjeść wspólnie kolację. Co prawda zaprosiłem cię już raz, ale wydaje mi się, że nie była to taka kolacja, o jaką nam chodziło. Czy nie miałabyś ochoty spróbować raz jeszcze?

— Pod "Świnia i Świstawką"?

— Jeżeli tak sobie życzysz.

— Ale bez Oopa i bez Ducha, ani innych podobnych rozrabiaków.

— Ale, oczywiście z Sylwestrem?

— Nie — odparła Carol. — Tylko my dwoje. Sylwester zostanie w domu. Najwyższy czas, żeby się czegoś nauczył.

Podnieśli się i ruszyli w kierunku zamkowego dziedzińca.

Sylwester popatrzył na smoka, tkwiącego nadal na zamkowej wieżyczce, po czym warknął głucho.

Smok opuścił głowę, oparł ją na wygiętym w sinusoidę ogonie i rzucił na szablozębnego groźne spojrzenie. Z jego paszczy wysunął się długi, rozwidlony na końcu język.

K O N I E C